



Harlequin®  
**Scarlet**

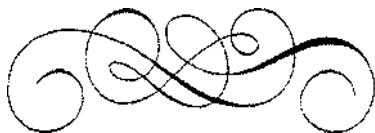
NR 4 (23)  
INDEKS 338003  
CENA 7,50 ZL

**RUTH  
LANGAN**

**Ballada  
o Czarnym  
O'Neilu**

*RUTH LANGAN*

**Ballada  
o Czarnym O'Neilu**



## PROLOG

Irlandia, 1560

Skromny kościółek z ciosanego kamienia w Ballinarin, gnieździe klanu O'Neilów, musiał dziś pomieścić wyjątkowo dużo wiernych. Zjechała się cała rodzina, dopisali też przyjaciele. Niektórzy przybyli aż z Dublina. Wszyscy byli w dobrych humorach, bo też i okazja sprzyjała wesołości. Czekano na uroczystość zaślubin Rory'ego O'Neila, najstarszego syna Gavina i Moiry, z wybranką jego serca, Caitlin Maguire.

W zakrystii za prezbiterium Rory miotał się niczym zwierz w klatce, niespokojny i czuły na każdy dźwięk, podczas gdy jego brat, Conor, obserwował przez szparę w drzwiach wewnątrz świątyni. Wciąż napływali nowi goście.

- Co ją mogło zatrzymać? - powtórzył Rory po raz kolejny. Wlewające się przez wysokie okno światło słoneczne nadawało jego czarnym włosom połyskliwy, granatowy odcień. Ubrany był na sposób dworski, tyle że na czarno. Zwisający z prawego ramienia płaszcz sięgał niżej kolan.

- Nie ma obawy, że zmieniała decyzję - próbował pocieszyć go brat. - Kochacie się wszak od dziecka. Musisz uzbroić się w cierpliwość.

- Oszczędź mi bzdurnych rad.

Conor wyszczerzył zęby.

- Przyznaję, cnotą cierpliwości nie możesz się pochwalić. Wiadomo przecież, że oblubienica stroi się przed ślubem, a to wymaga czasu.

- Żaden strój i żadne pachnidło nie uczynią z pięknej piękniejszej, bo piękności nie da się już ulepszyć. I niby dla czego to miałbym być cierpliwy? Czekałem na ten dzień przez całe życie.

- Też racja. Młodzi jesteście, ale wasza miłość to stare wino.

- Zapadła mi w serce już jako dwunastoletniemu wyrostkowi. - Na twarzy Rory'ego zajaśniał uśmiech, jeden z tych jego słynnych uśmiechów, które sprawiały, że okoliczne panny wołały marzyć przy krosnach o nim niż o zamorskich królewiczach. I rzeczywiście, były to marzenia, gdyż Rory O'Neil świata nie widział poza swą bogdanką. - Zdaje się, że już w kołysce nazaczył mnie los. Ja i Caitlin zostaliśmy sobie przeznaczeni. Mówię ci, Conor, czekam na spełnienie mego życia. - Ściszył głos. - Tej nocy wślizgnąłem się do jej komnaty. Wyznałem, że palą mnie ognie i że już dłużej nie mogę czekać. Zamierzałem lec z nią w pościeli.

Conor odchylił do tyłu głowę i ryknął śmiechem:

- Byłoby lepiej, żeby nie dotarło to do ojca Malone.

- Mniejsza z tym. Odmówiła. Postanowiła czekać do nocy poślubnej. Jej wianek ma być specjalnym podarunkiem dla męża. - Uśmiechnął się. - Męża. Jak ja lubię to słowo.

- Uwzględniając te wszystkie lata czekania, należy sądzić, że noc poślubna zapadnie wam w pamięć.

Bracia spojrzeli ku drzwiom, przez które wślizgnęło się do środka dziewczę świeże jak poranek, odziane w zwiewną różową sukienkę.

- Och, myślałam, że nie zdążę.
- Nie zdążysz na co, Briana?

Rory nie mógł spoglądać na swoją siostrę bez czułego uśmiechu. Musiała biec, gdyż jej sięgające talii płomienne włosy były w nieładzie, a policzki płonęły jak w gorączce. Żyła bardziej życiem swych braci niż swoim własnym i starała się zawsze być tam, gdzie oni.

- Że nie zdążę pocałować mojego brata, zanim na dobre mnie opuści.

- Mówisz, jak gdybym się gdzieś wybierał. A tymczasem ja i Caitlin pozostajemy w Ballinarin.

- Tak, ale już nie będziesz, bracie, tym, kim byłeś do tej pory. Dzisiaj zostaniesz mężem. - Bracia domyślili się, że podsłuchiwała część ich rozmowy. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Na siostrze można było polegać. Zawsze dotrzymywała sekretu. - I już wkrótce, sądząc po tym, jak na siebie patrzycie, zostaniesz ojcem. Przestaniesz zajmować się swoją siostrą.

Rory przygarnął ją do piersi i pocałował w czoło.

- Dla ciebie zawsze będę miał czas, Briana. Ty zaś będziesz nas odwiedzała, żeby pomóc Caitlin w wychowywaniu dzieci.

- A ile ich będzie?

- Myślę, że z tuzin. Chłopaczki będą strzeliści i szercy w barach jak ich ojciec, turkaweczki zaś odziedziczą krucze warkocze po matce i cerę tak czystą jak woda w rzece Shannon. Będę je musiał chyba zamykać w wieży, by któryś z miejscowych młodych rycerzy nie wpadł na pomysł porwania i uprowadzenia.

Conor i Briana wybuchnęli śmiechem.

- Właśnie to w tobie lubię, Rory - rzekł brat. - Jeśli już

marzysz, to unosisz się wysoko na skrzydłach swojej fantazji. A więc ufajmy, że stanie się wedle twoich pragnień. Choć chyba nie będziesz rwał włosów z głowy, jeśli synkowie wdadzą się w matkę i będą drobnymi i delikatnymi, a córki dorównają ci wzrostem i tężyzną?

- Wykluczone. One będą... - Od strony prezbiterium i nawy dobiegł ich uszu szmer. Na twarzy rycerza odmalowała się ulga. - Nareszcie. Już zaczynałem myśleć... - Odgłosy jednak w niczym nie przypominały tych, które towarzyszą zazwyczaj przybyciu orszaku panny młodej.

Rory wybiegł z zakrystii, a za nim brat i siostra.

W przejściu między ławkami blisko stopni ołtarza stał chłopczyk może siedmioletni. Jego porwany i zakrwawiony przyodziewek zaświadczał o niedawnych przejściach. Mówiąc, machał gwałtownie rękami:

- Angielscy żołnierze. Było ich dwa razy tyle co palców u rąk.

Rory torował sobie drogę przez tłum niczym pływak rozgarniający wodę. Rozpoznał w chłopcu syna najstarszego brata Caitlin. Dopadł do posłańca i uklęknął przy nim.

- Co z innymi, Innis? - zapytał strasznym głosem.

- Stało się to na zakręcie drogi. - Oczy dziecka wyrażały ból i grozę. - Ojciec przykrył mnie swoim ciałem. Mogłem tylko patrzeć. Wszyscy zabici, Rory.

- Nie! - To był krzyk zdolny skruszyć skały. Rory skoczył na równe nogi i rzucił się ku wyjściu. Już nie przypominał pływaka, tylko szarżującego odyńca.

Na placu przed kościołem wskoczył na pierwszego z brzegu konia i ruszył z miejsca cwałem. Inni mężczyźni poszli w jego ślady.

Rory mknął drogą wśród łąk i mokradeł, aż dotarł do zakrętu. Ściągnął wodze, koń zarył w miejscu przednimi kopytami. Panowała tu cisza tak głęboka, że aż przerażająca. Ptaki milczały, zwierzę zasył się w kryjówkach. Jakby natura wstrzymała na chwilę oddech.

I wtedy to zobaczył. Górę trupów. Zwierzęcych i ludzkich. Tam, gdzie krew nie zdążyła jeszcze wsiąknąć w ziemię, tworzyła połyskliwe kałuże. W piersiach i szyjach nieruchomych koni tkwiły włócznie. Mężczyźni padli po zacieklej walce. Wielu trzymało w zaciśniętych dłoniach miecze. Najgorszy los spotkał niewiasty.

Rory utkwiał wzrok w białej plamie. Była to ślubna suknia Caitlin. I tylko po tej sukni, poszarpanej i zbezczeszczonej, mógł ją rozpoznać. Ludzki potwór najpierw zgwałcił Caitlin, a potem ciął ją mieczem w szyję.

Z przejmującym okrzykiem bólu Rory rzucił się na ciało ukochanej. Jego ramionami wstrząsnęło łkanie, które szybko przeszło w zawodzenie.

- Rory, na Boga, uspokój się, bo z tej żałości pomiesza ci się w głowie. - Conor wysforował się na czoło kawalkady i jako pierwszy z jeźdźców znalazł się na miejscu rzezi. On również płakał rzewnymi łzami.

Zaraz jednak nadjechali inni. Gavin O'Neil stanął nad swoim pierworodnym i rzekł drżącym głosem:

- Innis powiedział, że ich dowódca nazywa się Tilden. Jest wysoki, muskularny, z żółtawymi włosami i blizną na lewym policzku, biegnącą od oka aż po brodę. Takiego nie trudno rozpoznać.

- Znajdę go - rzucił Rory jakby od niechcienia, po czym zdjął płaszcz i osłonił nim nagość Caitlin. Następnie

dźwignął ciało niewiasty, która do tej pory nadawała sens jego życiu. Tej nocy miała mu ofiarować swoje dziewictwo w małżeńskim łożu. Zamiast łoża miłości czekał ją ciemny dół.

Powiódł wzrokiem po świadkach dokonanego w obliczu niebios bestialstwa. Wszyscy płakali, a przecież byli to mężczyźni o twardych, zahartowanych sercach.

Sam czuł suchość pod powiekami. Nie umiał już zapłakać.

- Wysłuchajcie mojej przysięgi. Nie spocznę dopóty, dopóki nie dopadnę łotra, który to zrobił.

Ojciec położył dłoń na ramieniu syna.

- Zaraz nadjedzie wóz, na który zabierzemy ciała. Muszą zostać jeszcze dziś pogrzebane.

Rory cofnął się o krok. Dłoń ojca zsunęła się.

- Nikt nie ma prawa dotknąć mojej Caitlin. Zaniosę sam mój skarb. To wszystko, co mogę dla niej zrobić.

Drogą ku kościołowi posuwała się ponura, milcząca procesja. Weselne stroje uczestników konduktu tworzyły jakiś niesamowity kontrast z pokrwawionymi ciałami leżącymi na wysłanym słomą wozie. Na czele orszaku kroczył Rory O'Neil. Dźwigał drogi swemu sercu ciężar. Spod czarnej materii okrywającej ciało wysuwały się, sięgając ziemi, splamione krwią panieńskie warkocze.

Jeszcze długo po ceremonii pochówku, klęczał przy grobie swojej ukochanej. Wreszcie uniósł głowę i zapatrzył się w dal. Nie wiadomo tylko, czy w ogóle widział zielone pastwiska i wieczorne niebo.

Czas było ruszać w drogę. Rory uściskał rodziców i ucałował siostrę.



Drobnym ciałem Briany wstrząsał suchy szloch. Wszystkie łyzy po prostu już wypłakała.

- Nie odjeżdżaj, Rory. Nie zostawiaj mnie. Jeśli odjedziesz, to już nigdy cię nie zobaczę.

- Uspokój się, maleńka. - Raz jeszcze pocałował ją w czoło. - Wróć. Zaufaj mi.

Zbliżył się Conor.

- Pozwolisz mi pojechać z tobą?

Rory nie zwlekał z odpowiedzią:

- To moja misja, moje zadanie. Ty będziesz potrzebny tutaj.  
- Odwrócił się ku matce, której dłonie spoczywały na dziecięcych ramionach Innisa. - Zaopiekujecie się nim, matko?

Skinęła głową.

- Jak własnym synem.

Rory przypasał miecz. Zatknał nóż za pas. Drugi, mniejszy, ukrył w cholewie.

Gavin O'Neil zdjął płaszcz i zarzucił na ramiona syna. Uniósł rękę do ojcowskiego błogosławieństwa.

- Niech Bóg cię prowadzi, Rory. Niech sprawi w swej łaskawości, abyśmy mogli jeszcze nacieszyć oczy twym widokiem.

Po chwili Rory siedział już na koniu. Ostatnim spojrzeniem ogarnął Ballinarin. Daleki Croagh Patrick trzymał straż nad okolicą. Góra, w zależności od oświetlenia, przybierała różne kolory. Raz była turkusowa, a raz morelowa. W tej chwili zieleń mieszała się na niej z czerwienią. Tu i ówdzie błyszczały w zachodzącym słońcu srebrzyste wodospady. Niebem ciągnęły postrzępione chmury. Kwitły już dzikie różaneczniki, a w wiotkich gałęziach modrzewi rajcowało ptactwo.

To dzikie miejsce bliskie było jego sercu. Tu się urodził i tutaj zamierzał dokonać żywota. Lecz teraz z przyczyny gwałtu i straszliwej zbrodni wyruszał w długą podróż. Nie wiedział, kiedy wróci. Poszukiwanie człowieka z blizną mogło mu zająć całe lata. Wróci po wypełnieniu misji.



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Hrabstwo Dublin, 1562

- Sporo tego robactwa, Rory. - Głos był tak cichy, że wtopił się w szum wiatru w koronach drzew.

Dziesięciu, najwyżej dwunastu zbrojnych kuliło się w zagłębieniach wysokiego brzegu sadzawki. W dole w brązowej wodzie pluskali się angielscy żołnierze.

- Tak. Spodziewałem się ich tu mniej. A doliczyłem się pięćdziesięciu. - Rory przeniósł wzrok na klęczącego obok towarzysza. Mężczyzna miał pobrużdżoną twarz i oczy błyszczące jakby od gorączki. - Dlaczego jest tak wielu?

- Od kiedy Anglicy odkryli lecznicze właściwości tego gorącego źródła, stało się ulubionym miejscem ich spotkań. - Zmarszczył nos, gdyż wiatr przywiał ostry zapach siarki. - Najczęściej zażywają tu kąpeli zaraz po tym, jak uda się im zabić kilku z naszych.

Rory po raz kolejny wyrżał ze swojej kryjówki.

- Jesteś pewien, że jest wśród nich człowiek z blizną?

Oczy wieśniaka zwięzły się do szparek.

- Trudno mi go rozpoznać z tej odległości. Wiem jednak, że był w tym oddziale wczoraj, gdy osaczyli moją córkę w polu i uczynili sobie z niej przedmiot swoich sprośnych uciech. - Głos mężczyzny zdradzał straszny ból. - Ma do-

piero jedenaście lat. Och, co za bestie! Ten z blizną wymógł na innych pierwszeństwo. Następnie szydził z tych, którzy odmówili udziału w zabawie. - Po chwili milczenia dodał przez zęby: - Chcę być tym, który go zabije.

Rory położył mu dłoń na ramieniu.

- Wiem, co w tej chwili dzieje się w twojej duszy, Seamus. Zrobiłeś dość, naprowadzając nas na ich trop. Wracaj do swojej rodziny.

- Chcę widzieć, jak umiera. - Seamus przeciągnął palcem po ostrzu noża, swojej jedynej broni.

- Twoja rodzina nie może cię stracić. Jesteś jej potrzebny. Nam pozostaw zemstę.

- Zabijesz go, Rory? Wymierzysz mu karę za moją Fionę?

- Jeżeli tylko ten łotr jest wśród kąpiących się, niechybnie zginie.

Posiekam go za moją Caitlin, dodał w myślach.

Widząc płomień nienawiści w oczach Rory'ego O'Neila, wieśniak nabrał pewności, że może mu powierzyć swój honor. Przez ostatnie dwa lata Rory O'Neil stał się sławny w całej Irlandii. Śpiewano o nim ballady, rozmawiano po domach. Wszyscy wiedzieli, że krokami tego srogiego irlandzkiego wojownika kieruje chęć zemsty. Gdziekolwiek dochodziło do zbrojnych utarczek ze znienawidzonymi Anglikami, tam Rory mieczem naznaczał swą obecność. Zabił już tylu Anglików, że wyznaczono nagrodę za jego głowę. Stał się zwierzyną najzacieklej tropioną. Wieści o jego krwawych wyczynach dotarły już nawet na angielski dwór. Nadano mu przydomek Czarny O'Neil. Nie było garnizonu, nie było też zbrojnego oddziału w terenie, który nie miałby jego wizerun-

'ku. Im bardziej nienawidzili go Anglicy, tym goręcej kochali sami. Zawsze mógł liczyć na ich pomoc i wsparcie. Ukrywali go więc, karmili i garnęli się do jego oddziału. Z licznych ochotników wybierał najtwardszych i najmężniejszych.

- Czy atakujemy teraz, Rory? - spytał szeptem jeden z jego ludzi. Wieśniak zdążył się już bezpiecznie wycofać.

- Cierpliwości, Colin. - Dziwnie brzmiały te słowa w ustach człowieka, którego nikt jeszcze nie mógł pochwalić za cierpliwość.

Patrzył z pośępną miną, jak ostatni żołnierze zrzucali ubrania i wskakiwali do wody. Jedynie kilku zostało na brzegu i ci stanowili coś w rodzaju czujki. Pozostali oddawali się rozkoszom kąpieli i różnym żartom w rodzaju ochlapywania wodą towarzyszy, w czym zresztą przypominali małych chłopców.

- Gotowi, druhowie? - spytał Rory, wyciągając miecz z pochwy.

Wojownicy skinęli głowami i też obnażyli miecze. Ich surowe oblicza rozświetliły się bojowym zapałem. Nikt nie rzekł słowa. Nikt nie opuścił kryjówki. Wszyscy czekali na sygnał dowódcy.

- Teraz - rzucił Rory, a przypominało to warknięcie psa.

Wyskoczyli z krzaków i zagłębień. Rzucili się w dół skarpy z przeraźliwym wyciem. Zaskoczeni nagłośnością i gwałtownością ataku, wartownicy nie zdążyli nawet zasłonić się mieczami. W jednej chwili legli na ziemi niczym przewrócone porywem wiatru snopki.

Kąpiący się, którzy dopiero co prześcigali się w żartach, teraz rzucili się do brzegu, by dopaść pozostawionej tam bro-

ni. Aczkolwiek znacznie przeważali liczbą, rozstrzygające w tym wypadku okazało się zaskoczenie.

Rory wskoczył do wody. Pracował sprawnie, uważny i oszczędny w ruchach. Przypominał żniwiarza, który posuwa się naprzód, pozostawiając za sobą ścięty pokos. Jego sierpem był miecz, którym gasił ludzkie istnienia. Zamach, cięcie i nagi człowiek rozkładał ramiona i z jękiem lub bez jęku walił się do wody. Ta zaś zmieniała barwę z brązowej na czerwoną, choć rzeź dopiero się rozpoczęła.

Jednak za każdym razem, zanim wraził miecz w ciało wroga, Rory przyglądał się jego twarzy. Szukał blizny. Niestety, nie znajdował jej. Zbierała się w nim gorycz. Rosło rozczarowanie.

Już dawno temu zabijanie stało się dlań rzemiosłem. Nie odczuwał niczego poza satysfakcją z dobrze wykonanej roboty, gdy brzeszczot jego miecza przecinał ciało i druzgotał kości. Był głuchy na jęki i błagania o litość. W bitwach, potyczkach i rzeziach towarzyszył mu obraz ukochanej Caitlin, jej zakrwawionego i zhańbionego ciała. Żył pragnieniem pomsty, tak jak niegdyś żył miłością. Siłę jego ramieniu dawała żądza wyrównania rachunków. Nie ważył szans, puszczał się na każde ryzyko.

Odrąbał kolejnemu Anglikowi prawie cały bark i poszukał wzrokiem następnego. Zobaczył człowieka z rzyżymi włosami, któremu właśnie udało się wyrwać miecz z zaciśniętej dłoni poległego towarzysza.

Nareszcie, pomyślał Rory. Nareszcie będzie mógł spełnić przysięgę daną najbliższymi i całej społeczności Ballinarin. Podniósł miecz i rzucił się ku gwałcielowi i okrutnikowi.

Anglik momentalnie odrzucił swój miecz.

- Podnieś go, tchórze - ryknął Rory. - Zachowaj się jak mężczyzna.

Żołnierz, o dziwo, posłuchał wezwania. Pewność zwycięstwa sprawiła, że w duszy Rory'ego rozśpiewały się chóry anielskie.

- A teraz, Tilden, gotuj się na śmierć z ręki Rory'ego O'Neila.

Gdy uświadomił sobie pomyłkę, było już za późno. Twarz, którą ujrzał przed sobą w bezpośredniej bliskości, nie miała bliźny. Ot, zwykła, gładko wygolona twarz młodzieńca. Byłaby może nawet sympatyczna, gdyby nie rozszerzone przeżeniem oczy i usta otwarte do krzyku.

Siła pchnięcia spowodowała, że miecz Rory'ego zagłębił się w klatce piersiowej i przeszedł na wylot. Młody żołnierz wyzionął ducha, zanim padł, rozbryzgując czerwoną wodę.

Gdyby nie to przeświadczenie, że odnalazł wreszcie zniechęconego wroga, Rory przyjąłby tę śmierć jak każdą inną, to znaczy obojętnie. Okazało się jednak, że jego furia zwróciła się przeciwko komuś całkiem nieznanemu i w jakimś sensie niewinnemu. W rezultacie ogarnęło go coś w rodzaju przerażenia i wstydu.

Rozejrzał się wokół siebie. Wszyscy angielscy żołnierze leżeli zabici. Ciała zastygały w najróżniejszych pozach. Irlandcy wojownicy zasłużyli na odpoczynek. Niektórzy przetrząsali mundury, inni siedzieli na brzegu, przyglądając się w osłupieniu результатам swej pracy, jeszcze inni przewiązywali sobie rany. Jeden stał pod drzewem i rzygał.

Jak długo trwała ta praca żniwiarzy? Kilka minut? Godzinę? Czas wydawał się czymś niemierzalnym.

Czy naprawdę minęło już dwa lata od rozpoczęcia misji? Dwa lata przelewania krwi, gwałtu i zadawania śmierci? Dwa lata ukrywania się przed tropicielami w lasach i stogach siana? Wreszcie dwa lata na przemian nadziei i zwątpienia, zwątpienia i nadziei?

Czyż zresztą mógł powstrzymać dzieło zemsty? W każdej wiosce słyszał o palonych zagrodach, niszczonych zasiewach, gwałconych kobietach i katowanych dzieciach.

Czuł się śmiertelnie znużony. Ballinarin przyzywało go, kusiło niczym słodka obietnica. Czasami myślał o zaniechaniu pomsty i o powrocie do domu rodzinnego.

Ale wtedy stawała mu przed oczami Caitlin i już wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki tamten angielski łotr będzie chodził po świecie. Tilden musi ponieść karę.

- Czy odpoczniemy chwilę, Rory? - spytał jeden z jego ludzi.

- Ruszamy. - Przewyciężył zmęczenie. Opłukał w wodzie zakrwawiony brzeszczot miecza. - Dzisiejszą noc możemy przespać w Dublinie.

- Wybacz, Anno Claire, że muszę zostawić cię samą.

- Wszystko rozumiem, ojcie. Wzywają cię obowiązki.

- Ale minęło tak niewiele czasu, od kiedy Margaret nas...

Młoda kobieta dotknęła opuszkami palców warg ojca, uciśnięciem jego dalsze słowa.

- Nie zaprzeczam, że bardzo brakuje mi mamy. Podobnie zresztą jak tobie, ojcie. Zawsze będzie nam *jej* brakowało. Ale nie wolno mi żądać od ciebie, byś porzucił wszystko i spędził resztę życia na pocieszaniu mnie i niańczeniu.



- Wielka jest nasza zgryzota.
- Myślę, że po roku niewiele jej ubędzie. Dlatego trzeba zająć się czymś praktycznym. I jak najmniej rozpamiętywania. Będę trzymała się tych zasad.
- Mimo wszystko dobrze byś zrobiła, jadąc ze mną.
- Już o tym rozmawialiśmy, ojcze. Muszę opiekować się grobem mamy.
- Wiem. I rozumiem cię, moja droga. Poprosiłem lorda Davisa, by od czasu do czasu złożył ci wizytę. Poza tym lady Alice Thornly w najbliższym czasie planuje wydać przyjęcie. Napomknęła w rozmowie, że przybyło niedawno z Anglii kilku nader interesujących kawalerów. Mogłabyś się rozerwać w ich towarzystwie.

Anna Claire nieznacznie się uśmiechnęła.

- Jesteś niepoprawny, ojcze.
- Winisz mnie? Potrzebujesz męża, rodziny, duchowego oparcia. Znalazłaś się daleko od kraju, bez matczynej opieki, a teraz twój ojciec cię opuszcza.
- Nie opuszczasz mnie. Sam powiedziałaś, że zdążysz wrócić na moje urodziny.
- I dotrzymam słowa. Lecz byłbym spokojniejszy, wiedząc, że jakiś młody człowiek zainteresował się tobą i wziął cię w opiekę.
- Mam już opiekuna. Lord Davis to nasz przyjaciel.
- Wiesz dobrze, o jakim opiekunie myślę. - Spojrzał za siebie, by sprawdzić, czy bagaże przeniesiono już z wozu na statek. - Nie chcę, żebyś czekała. Nie przedłużajmy tego pożegnania. Tavis czeka na ciebie z powozem. Bywaj, kochana córko. I bądź ostrożna. Żyjemy w niebezpiecznych czasach.
- Żegnaj, ojcze. Szczęśliwej podróży.

Uściskali się czule i Anna Claire zaczęła przedzierać się przez tłum.

Był dzień targowy. Port kipiał życiem. Ogorzali, żyłaści rybacy naprawiali i zwijali sieci. Bose i brudne dzieciaki ciągnęły wózki z małżami i krabami. Stare kobiety w spłowiwałych sukniach namawiały przechodniów do kupna ryb. Ptactwo domowe rajcowało w drewnianych klatkach. Wieśniacy zachwalali płody ziemi - ziemniaki, marchew i groch.

Zapach morza, ryb, ludzkiego potu i zwierzęcych odchodów drażnił nozdrza. Bogaci właściciele ziemscy mieszały się z najbiedniejszymi z biednych. Sprzedawcy rywalizowali ze sobą cenami i donośnością okrzyków. Annie zrobiło się lekko na duszy. Od dziecka kochała widoki, zapachy i dźwięki Dublina.

Ze wspaniałego trójmasztowca, który dopiero co przycumował do nabrzeża, wysypali się angielscy żołnierze. Eskortowali grapę emisariuszy Jej Królewskiej Mości. Każdego miesiąca Elżbieta wysyłała kolejne zastępy urzędników i dyplomatów, by poradzili sobie z, jak ona to nazywała, „irlandzkim problemem”.

- Z drogi, ciemna maso! - krzyczał idący przodem postawny oficer, nie szczędząc kopniaków i razów najbardziej opieszałym.

Anna Claire patrzyła z niesmakiem. Za każdym razem, gdy nowy statek z żołnierzami przybijał do brzegów wyspy, rosło niezadowolenie jej mieszkańców. I były tego konkretne przyczyny. Niektórzy z tych gburowatych, ordynarnych drabów nie umieli pisać ani czytać, jednakże swoim zachowaniem starali się udowodnić, że pod każdym względem są lepsi od Irlandczyków. Udowadniali zgoła co innego.

Kiedy żołnierze wtargnęli na plac, przed oczyma Anny Claire rozegrała się mrożąca krew w żyłach scena. Młoda kobieta chwyciła za rękę dziecko, kilkuletnią dziewczynkę, chcąc usunąć ją z drogi, którą maszerował oddział. W ostatniej chwili mała wyrwała się matce i, pchana ciekawością, pobiegła na spotkanie żołnierzy.

- Och, nie! Niech ktoś ją zatrzyma! - krzyczała kobieta.

Anna Claire nie wierzyła własnym oczom. Żołnierze napierali na tłum. Przesuwali się niczym toczący się blok skalny. Za chwilę stratują i zgniotą dziewczynkę.

Nie namyślając się wiele i lekceważąc własne bezpieczeństwo, rzuciła się w kierunku dziecka i porwała je z ziemi. Dosłownie w ostatnim momencie.

- Och, dziękuję, panienko. Niech Bóg cię błogosławi. - Zanim matka odebrała przestraszoną dziewczynkę z rąk wybawicielki, najpierw wyciągnęła jej dłoń.

- Ależ zrobiłam tylko to, co należało zrobić. Stałam najbliżej. Dziwne, że nie zwolnili kroku. Może nie widzieli, że na ich drodze stało dziecko.

- Ależ widzieli, widzieli. - Oczy młodej kobiety zwęziły się jak szparki. - Dla nich zdeptać irlandzkie dziecko to jak zgnieść muchę. Traktują nas jak robactwo. - Zniżyła głos. - Ale już wkrótce poczują ukąszenie Czarnego O'Neila.

- Nie rozumiem.

- Przybył do miasta. - Na policzki kobiety wystąpiły rumieńce. - Mówią, że jest w tym tłumie.

- Ale kto?

- Rory O'Neil. Dzięki Bogu. Zjawił się, by położyć kres niesprawiedliwości. - Nagle szeroko otworzyła oczy. - Boże

w niebiesiech! Jest tam. Widzę go. Chodź, panienko. Za chwilę będzie tu bardzo niebezpiecznie.

Przez tłum przetoczył się złowrogi pomruk.

- Schowajmy się, panienko! - krzyknęła kobieta i odciągnęła Annę Claire za kram z rybami, cuchnący niczym dół kloaczy.

Tymczasem na placu stała się dziwna rzecz. Tłum rozstał się i jakby spod ziemi wyrósł oddział zbrojnych. Odziani byli pospolicie, a nawet nędznie, jednak w dłoniach trzymali lśniące miecze. Bez chwili wahania zaatakowali żołnierzy. Wywiązała się najprawdziwsza bitwa.

Żołnierze, których głównym zadaniem było bronić posłów, otoczyli ich zwartym szeregiem. Ich wyciągnięte miecze tworzyły zaporę na kształt ostrokołu albo kolców jeża. Napastnicy jednak nie bardzo się tym przejęli. Przypuścili szturm w miejscu, gdzie opasanie wydawało się najsłabsze.

W oddziale byli też młodzi żołnierze, którzy po raz pierwszy w życiu stanęli pierś w pierś z żadnym ich krwi wrogiem. Tych ogarnął strach. Zamiast stać murem, cofnęli się, by po chwili, głusi na ryki oficera, haniebnie czmychnąć.

Miary chaosu dopełniło ptactwo domowe. Kury, gęsi i kaczki z rozbitych klatek znalazły się na wolności. Miotły się pośród ludzi, gubiąc pióra i czyniąc straszny rwetes. Na dokładkę jedna ze straganiarek zaczęła ciskać w żołnierzy rybami. Inne poszły w jej ślady i rozpętało się prawdziwe piekło.

Anna Claire nie spuszczała oka z przywódcy irlandzkich zbrojnych. Właśnie zaatakował żołnierza, który dopiero co poważnie ranił jednego z jego ludzi.

- To Rory O'Neil - powiedziała kobieta z jakąś nabożną czcią. - Nasz Czarny O'Neil.

Anna Claire wciąż nie mogła oderwać oczu od postawnego mężczyzny o czarnych włosach. Wyglądał i zachowywał się niczym sam diabeł. Skakał, płażał, przykuczał i prostował się, a brzeszczot jego miecza ze świstem przecinał powietrze. Ciosy miały niesamowitą siłę i precyzję. Był wszędzie i zdawało się, że ma oczy z tyłu głowy. Gdy jeden z jego towarzyszy został ranny, odciągnął go na bok, ratując od pewnej śmierci, po czym znów rzucił się w wir walki. Bardziej zważał na bezpieczeństwo swych ludzi niż na własne. Toteż krwawił już z kilku ran. Nie były poważne, jednakże musiało już mu brakować sił.

Walka kończyła się. Na placu boju pozostało już tylko trzech zdolnych do walki żołnierzy. Posłowie królowej Elżbiety zaczęli wycofywać się w stronę statku. Rory zatrzymał ich krzykiem:

- Nie chcemy waszej śmierci. Tego, którego szukamy, nie ma wśród was. Przekażcie swojej królowej, że pragniemy żyć w pokoju. Ale powiedzcie jej również, że nie złożymy broni, dopóki jej żołdacy, krzywdziciele naszych kobiet i dzieci, nie zapłacą za swoje niegodziwe czyny. Na czele łotrów stoi niejaki Tilden. To jego szukamy. Swoimi postępkami hańbi sztandar, pod którym służy. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Szlachetni kawalerowie wymienili spojrzenia, w których malował się strach i niepokój. Pokiwali głowami.

Zadowolając się taką odpowiedzią, Rory opuścił miecz.

- Teraz rozkażcie żołnierzom schować broń. Wtedy my wycofamy się z placu.

Padł rozkaz, a trzech żołnierze chętnie go spełnili. I byłoby już po walce, gdyby nie pewien incydent.

- Tchórze! - dobiegł gdzieś z tyłu podniesiony głos. - Jak się nie wstydzicie poddawać tym barbarzyńcom!

W kręgu utworzonym przez gapiów pojawił się rostry żołnierz. Żółtawe włosy sięgały mu aż do ramion. Szeroka blizna o poszarpanych brzegach łączyła lewe oko ze szczęką. Powitał go powszechny szmer. Potem zapadło milczenie.

Anna Claire spojrzała na swoją towarzyszkę.

- Co się stało? Kto to jest? - spytała.

- Była już o nim mowa. Nazywa się Tilden. Nasi nazywają go Lucyferem. Szczególnie ci, którzy doświadczyli na własnej skórze, jak bardzo potrafi być okrutny.

- Jest okrutny?

- Ponad wszelkie pojęcie. Czerpie przyjemność z zadawania mąk ofiarom. Pastwił się już nad wieloma naszymi kobietami i dziećmi, często zmuszając ojców i mężów do przypatrywania się temu. Od dawna się chełpi, że będzie tym, który powstrzyma Czarnego O'Neila. - Wargi młodej kobiety zadrżały. - Lecz jeśli jest Bóg w niebie, Rory O'Neil pokona tego potwora. Inaczej przepadniemy.

Anna Claire uznała, że najlepiej zrobi, nie zdradzając się ze swoimi myślami. Inną sprawą były szanse wyczerpanego i rannego irlandzkiego buntownika w walce z doświadczonym i wypoczętym oficerem.

- Jest mój! - krzyknął Rory, rzucając się ku śmiejącemu mu się w twarz śmiertelnemu wrogowi.

Krzyk ów sprawił, że przez tłum przeszedł dreszcz podniecenia. Lecz zanim O'Neil zdążył dopaść Tildena, pomiędzy nim a człowiekiem z blizną stanęło kilkunastu żołnierzy, którzy wyrosli jakby spod ziemi. Rory znalazł się

w bardzo trudnej, niemal beznadziejnej sytuacji. Musiał walczyć o życie.

Pospieszyli mu z pomocą jego ludzie, ale walka od początku była bardzo nierówna. Gapie z zapartym tchem patrzyli, jak pasował się nie tyle człowiek, ile jego rozpacзлиwa determinacja. Zmęczeni i w większości broczący krwią Irlandczycy wznosili się na wyżyny kunsztu szermierczego. Goniąc resztkami sił, walczyli jak lwy. Żaden nie poddał się, żaden nie odrzucił miecza. Dwóch padło, ale reszta walczyła z tym większą zaciekłością. I stał się cud. Pokonali Anglików. Ostatni z odzianych w czerwone kubraki zwałił się na ziemię.

Dyszący i okrwawiony, Rory poszukał wzrokiem tego, który odmienił jego życie.

- Nie uda ci się ukryć przede mną, Tilden! Stań do walki, ty tchórze!

Do wodza podszedł jeden z jego ludzi.

- Musimy wycofać się, Rory. Na tym angielskim okręcie zostało jeszcze sporo żołdaków. Wszystkim nie damy rady. Nie licz na to, że taki tchórz jak Tilden zmierzy się z tobą. Z pewnością pobiegł po posiłki.

- Chcę go dostać. Zbyt długo go szukałem, abym teraz miał odejść z pustymi rękami.

- Nie, przyjacielu. Chodź z nami. Umrzesz z upływu krwi. Musimy opuścić to miejsce, dopóki jeszcze trzymamy się na nogach. Jutro też można walczyć.

Tym argumentem Rory dał się przekonać. Schował do pochwy skrwawiony miecz i, powłócząc nogami, ruszył w stronę miasta. W tej samej chwili gapie, przekupnie i kupujący, otoczyli obronnym murem swego bohatera, rzecznika ich pragnień i tęsknot.

- Widowisko tyleż ciekawe, co przerażające - rzekła Anna Claire, podnosząc się z klęczek i otrzepując spódnice. - Teraz już wiem, kim jest Rory O'Neil. - Spojrzała w bok, lecz w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała młoda kobieta z dzieckiem, nie było już nikogo.

Anna Claire zmarszczyła brwi. Miała wrażenie, że wszyscy ci ludzie posiadali zdolność rozplywania się w powietrzu.

Anna Claire podała Tavisowi koszyk z leżącym w nim związanym kurczakiem. Stary sługa położył go na podłodze pomiędzy przednim a tylnym siedzeniem otwartego powozu.

- Mam nadzieję - powiedziała - że Bridget ucieszy się z zakupu.

- Ma się rozumieć, panienko. A gdy już moja Bridget wyjmie kurczaka z piekarnika, to panienka będzie się cieszyć z dobrej kolacji.

Anna Claire ze śmiechem zajęła miejsce w powozie. Od-ruchowo sięgnęła po okrycie na nogi, ale jej ręka natrafiła na pustkę.

- Nie widzę mojego pledu, Tavis.

- Pled jest z tyłu. Pomyślałem, że w tak ciepły dzień...

- Masz rację. Ruszajmy.

- Będziemy jechać wolno. - Ujął lejce, trzasnął batem i powóz potoczył się ku miastu.

- To dobrze. Po tym wszystkim, czego byłam świadkiem, nie mam ochoty na szybką jazdę.

- A więc widziała panienka całe zajście? - Ominął grupkę kobiet i mężczyzn, żywo o czymś rozprawiających.

- Byłam tak blisko, że mogłam dotknąć ręką walczących.



Tavis odwrócił głowę.

- Widziała panienka naszego Czarnego O'Neila?
- Tak jak ciebie w tej chwili.
- Mówiono mi, że gładki to diabeł.
- Więcej w nim gwałtownika niż diabła.
- Wyrządzono mu wielką krzywdę. W dzień ślubu utracił narzeczoną, którą zgwałcono i zamordowano.

Annie Claire zaschło w gardle.

- Z tego, co widziałam, wolno mi wyciągnąć wniosek, że czyniąc się mścicielem jednej kobiety, pograżył w smutku i żalobie wiele żon, matek i sióstr. Tyle że są to angielskie żony, matki i siostry.

Tavis nie skomentował tych słów. Milczał. Wydawał się skupiony na wynajdywaniu drogi w natłoku pojazdów i przechodniów.

Ale Anna Claire domyślała się, co oznacza milczenie wiernego sługi. Tavis i jego żona Bridget byli Irlandczykami. I jakkolwiek nigdy nie doznali krzywdy od swych angielskich pracodawców, los rodaków bardziej leżał im na sercu niż los przybyszów z sąsiedniej wyspy.

Sytuacja Anny Claire była specyficzna. Jej matka, Margaret Doyle, urodziła się i wychowała w Dublinie. Poślubiwszy angielskiego szlachcica, przyjęła jego poglądy na wiele spraw. Między innymi na sprawę wychowania córki. Tak więc Anna Claire zdobyła wykształcenie w Londynie. Historia Anglii była historią jej ojczystego kraju. W rezultacie czuła się niemal wykluczona ze społeczności, do której przynależała jej służba.

- Dojechaliśmy na miejsce, panienko. - Tavis zatrzymał konie przed gankiem z kolumnadą. - Dopilnuję, żeby Bridget zajęła się kurczakiem.

- Dziękuję, Tavis. - Anna Claire wysiadła z powozu i ruszyła w stronę domu. Po kilku krokach zatrzymała się. - Zaczekaj. Zapomniałam wziąć pled do okrywania nóg.

- Proszę nie zaprzętać sobie głowy taką drobnostką, panienko. Wyprzęgnę konie, sypnę im obroku, a potem zajmę się pledem i kurczakiem.

- Ale...

Tavis jednak już odjeżdżał w stronę gospodarskich zabudowań. Annie Claire pozostało tylko odprowadzić wzrokiem powóz. Pled zwisał z tylnego siedzenia, niżej osi kół i powiewał na wietrze. Pedantyczny z natury, Tavis tym razem się nie popisał. Zamiast złożyć pled w kostkę, rzucił go nie dbale, tak iż przejechali przez miasto, ciągnąc za sobą jakby tren sukni.

Anna Claire wzruszyła ramionami i weszła do domu, od dwustu lat siedziby przodków jej matki. Od razu też wydała stosowne rozporządzenia. Przede wszystkim musiała wziąć kąpiel i przebrać się. Oczekiwała dziś wieczór starego przyjaciela ojca.

- Kolacja była bardzo smaczna, Bridget.

- Dziękuję, panienko. Może jeszcze herbaty?

- Nie, dziękuję. Lordzie Davis? Może pan życzy sobie herbaty lub piwa?

Stary człowiek poklepał się po brzuchu.

- Ani kropli, ani okruszyny więcej, moja droga. I tak już przesadziłem w przyjemnościach stołu.

- To miłe, że zechciał mnie pan odwiedzić.

- Pomyślałem, że będziesz czuła się bardzo samotna po wyjeździe ojca. No i nie przeczę, że ciekaw byłem bliższych

wiadomości o tym krwawym zajściu w porcie. - Otarł usta chusteczką. - Gdybym wiedział w południe, że jesteś tak blisko tych barbarzyńców, przyjechałbym zapewnić ci ochronę.

- Nic mi nie groziło. Tak naprawdę to zależało im tylko na angielskim żołnierzu, oficerze, który nazywa się Tilden.

- Twoja naiwność jest rozbrajająca, moja droga. Nikt nie może czuć się bezpieczny w pobliżu tych krwiożerczych bestii. Historie, jakie opowiadano mi o losie angielskich niewiast w rękach tych ludzi bez sumienia, sprawiają, że ręka mimowolnie dotyka rękojeści miecza.

Talerze zabrzczały w dłoniach Bridget.

Anna Claire spojrzała na gospodynię.

- Widzę bladłość na twojej twarzy, Bridget. Czy dobrze się czujesz?

Gospodyni miała spuszczonego wzrok.

- Tak, panienko. Jestem tylko trochę zmęczona. - Powiedziawszy to, wyszła z pokoju.

- A może zagramy w szachy, moja droga? - zaproponował lord Davis.

Anna Claire pokręciła głową.

- Proszę wybaczyć, lordzie Davis. Obawiam się, że po przeżyciach w porcie nie będę zdolna skupić się na tak subtelnej grze.

- Rozumiem. Przełożmy to zatem na inny wieczór.

Kiedy byli już w holu, powiedziała:

- Wiem od ojca, że lady Thornly wydaje wielkie przyjęcie. Czy można liczyć na pana obecność?

Podeszły wiek nie ujął wdzięku lordowi Davisowi.

- Wypada tam być. Choć, prawdę mówiąc, jedzenie nie dorówna dzisiejszemu. - Powóz, konie i stangret odznaczały

się ciemnym konturem na tle pogodnego nocnego nieba. Stary człowiek pocałował Annę Claire w policzek. - Życzę dobrej nocy, moja droga. I przekaz Bridget, że jej ciasto owocowe to prawdziwa rozkosz dla podniebienia.

- O ile pamiętam, usłyszała to już z pana ust. Trzy razy. Zachichotał.

- Tłumaczyłoby to, dlaczego dostałem trzykrotną dokładkę. Pilnuj jej, bo mogę ci ją ukraść.

Lord Davis zajął miejsce w powozie i odjechał. Anna Claire, trochę zamyślona, udała się do swojej sypialni. Nie zwlekając przebrała się w nocną koszulę. Po chwili nadeszła Bridget.

- Czy ma pani jeszcze jakieś życzenie, panienko?

Młodziutka pokojówka Glinna zmieniała pościel.

- Nie, dziękuję. - Anna Claire ziewnęła, zasłaniając usta dłonią. - Zapewne już wiesz od męża, co to był za niezwykle dzień.

- Tak, panienko.

Anna Claire uważniej przyjrzała się gospodyni. Zauważyła wyraz troski na jej wyjątkowo dziś bladej twarzy.

- Czy aby na pewno nie jesteś chora?

- Na pewno, panienko. To zwyczajne zmęczenie. Sen dobrze mi zrobi. Życzę dobrej nocy.

- Dobranoc, Bridget.

Anna Claire poczekała, aż gospodyni i pokojówka wyjdą, po czym zdmuchnęła świecę i położyła się do łóżka. Chciała zasnąć, sen jednak nie nadchodził. Przewracała się z boku na bok, szukając wygodniejszej pozycji. Wciąż wracały w jej wyobraźni wydarzenia w porcie. Przed jej oczyma pojawił się czarny jak noc i piękny jak bóg Rory O'Neil. Nigdy je-

szcze nie spotkała takiego mężczyzny. Była w nim dzikość, siła i władza. I ani śladu strachu, gdy stawał do nierównej walki. Jedno z dwojga: albo był bardzo odważny, albo świadomie szukał śmierci.

I ten jego głos. Dźwięczny i donośny niczym bicie dzwonu. Nasycony namiętnością. Wstrząsnęła się i usiadła na łóżku. Już wiedziała, że nie uda się jej zasnąć. Dobra okazja, by zrobić sobie herbaty i napisać list do ojca.

Wymacała bosymi stopami domowe pantofle i zarzuciła szal na ramiona. Na korytarzu jeszcze płonęły świece, ściekał roztopiony воск, a chybocliwe płomyki rzucały rozmazane, ruchome cienie.

Przekroczyła próg kuchni. Na szczęście palenisko jeszcze nie wystygło. Nastawiła czajnik, który po chwili zaczął szumieć. Wtedy to właśnie dostrzegła rzucony na ławę pled. Dziwne. Tavis nigdy go tutaj nie przynosił. Dotykając koca, wyczuła dłonią lepką wilgoć. Przyjrzała się swej dłoni. Jakby powalana była sokiem z malin. Wielkie nieba! Chyba nie uległa halucynacjom. Zbliżyła dłoń do światła. Nie, nie myliła się. To była najprawdziwsza krew. Pled nasiąknięty był krwią. Stłumiła krzyk.

Gdzieś za nią rozległ się szmer. Odwróciła się gwałtownie i zmartwiała.

Z ciemności wyłonił się Rory O'Neil. Niepewnym krokiem podszedł do stołu. Wsparł się na nim obiema rękami.

- Przykro mi z powodu tego pledu. Obawiam się, że do niczego już nie będzie się nadawał.

Z licznych ran na jego ciele sączyła się krew. Widać było, że z każdą chwilą opuszczają go siły.

Nie myślał jednak w tej chwili o sobie. Mrużył oczy, wpa-

trzony w przecudne zjawisko. Bo, doprawdy, ta biała postać była zjawiskowa. Skapana w ciepłym świetle świecy, zdawała się migotać i zmieniać kształt.

W pewnym momencie przejmująco westchnął.

- A więc już po wszystkim. Umieram - rzekł z bolesnym uśmiechem.

Jego rysy stężały i wyostrzyły się. Powoli osunął się na kolana. Upadł na podłogę niczym worek szmat.

Anna, przewyciężywszy strach, zbliżyła się do leżącego. Usłyszała jego szept:

- Myślałem, że zabijając, zapracuję sobie na piekło. Ale teraz widzę anioła. Ulituj się nade mną, aniele, i przeprowadź przez wrota niebios.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Nagle na progu stanęła Bridget. Dźwigała wiadro z wodą.  
- Myślałam, że już panienka śpi - wyszeptała zbielełymi wargami.

Tuż za nią pojawił się Tavis z zapaloną świecą.

Na twarzach małżonków malował się niepokój zmieszany z poczuciem winy.

- Dobrze wiem, czym wytłumaczyć waszą obecność o tak późnej porze. - Na policzki Anny Claire wystąpiły rumieńce gniewu. - Chcecie ukryć zabójcę i buntownika w moim domu. Pod moim dachem. - Wskazała palcem na leżącą na podłodze nieruchomą postać.

Małżonkowie w jednej chwili podbiegli do nieprzytomnego. Bridget uklękła i zaczęła szukać pulsu.

- Dycha jeszcze? - spytał Tavis.

Po długiej chwili Bridget stwierdziła wreszcie:

- Dycha. Dzięki Najwyższemu. - Przeżegnała się.

Anna Claire patrzyła jak zahipnotyzowana na wciąż powiększającą się kałużę krwi.

- Jeżeli tak wam zależy na życiu tego człowieka, to dlaczego nikt jeszcze nie opatrzył mu ran?

Tavis uniósł oczy ku górze i westchnął.

- Nie pozwalał nam na to, dopóki nie upewnił się, że jego ludzie są bezpieczni. Przemierzyłem całe miasto z północy

na południe i ze wschodu na zachód, zanim udało mi się zapewnić im schronienie.

- Dziwne, bo zważywszy na popularność, jaką się cieszy ten łotr wśród mieszkańców Dublina, nie powinieneś mieć z tym żadnego problemu.

- Tak, panienko. Ale po dzisiejszej burdzie w porcie angielskie władze zdecydowały się wydać obwieszczenie. Piszą w nim, że ktokolwiek użyczy schronienia Rory'emu O'Neilowi lub jego towarzyszą, uznany zostanie za wroga Korony i skazany na śmierć przez powieszenie.

- Powieszenie? - Gniew Anny Claire zamienił się w furję. - I wiedząc o tym, mimo to zdecydowaliście się przyprowadzić go do mojego domu?

- On walczy ze śmiercią, panienko - powiedział Tavis jakimś żalonym głosem. - Dostatecznie trudno było zabrać go z portu, a co dopiero znaleźć mu jakąś kryjówkę. Gdyby nie powóz i pled, pod którym go schowaliśmy, z pewnością by się to nie udało. - Jakby pojaśniał na twarzy. - Poza tym to dopiero co ustanowione prawo nie dotyczy Anglików, a ty, pani, uważana jesteś za Angielkę. Zawsze możesz powiedzieć, że o niczym nie wiedziałaś.

Anna Claire wciąż miała ściągnięte brwi, lecz czuła, że darzy tych dwoje ludzi coraz większą sympatią i szacunkiem. Znała ich od dziecka. Świadoma była ich rozlicznych zalet, lecz nigdy nie przypisywała im jakiejś szczególnej odwagi. Aż do tej chwili.

- Dlaczego zdecydowaliście się zaryzykować życie dla tego człowieka? - spytała.

Tavis rozłożył ręce.

- Rory O'Neil czyni to każdego dnia. Walczy, by wrócić



godność narodowi. Z naszej strony to tylko skromna forma podziękii. A teraz, za pozwoleniem panienki, chcielibyśmy opatrzeć mu rany.

- A potem co? - Anna Claire skrzyżowała ramiona. - Nawet jeśli przeżyje, to i tak trzeba będzie wywieźć go z Dublina.

Tavis podrapał się po policzku.

- Jeszcze będzie czas o tym pomyśleć. Najpierw musimy zadbać, by nie wypłynęła z niego wszystka krew.

- A gdzie, waszym zdaniem, spędzi tę noc?

- W stajni, za pozwoleniem panienki.

Anna Claire potrząsnęła głową.

- Tym sposobem dowie się o sprawie zbyt wiele osób. Chociażby stajenny i jego pomocnicy. Musimy za wszelką cenę zachować sekret.

Zamyśliła się, nerwowo przytupując nogą. Chyba nawet nie uświadamiała sobie, że zaczyna brać udział w bardzo niebezpiecznej grze. Traktowała rzecz całą jako okazję do wykazania się pomysłowością i inteligencją. Chciała jakoś pomóc tym dwojgu starym ludziom, którzy od tylu lat służyli wiernie jej rodzinie.

- Najlepiej byłoby ukryć go w miejscu, dokąd nikt nie mógłby zajść przypadkowo. - Nagle uśmiechnęła się, jakby witając zbawienną myśl. - Już wiem. Mała izba na poddaszu tuż nad moim pokojem.

Tavis i Bridget wymienili zdumione spojrzenia. Czy aby panna dobrze wiedziała, co mówi?

- Tylko że nikt tam nie może się dostać bez przejścia przez twój pokój, panienko - zauważył Tavis.

- I o to właśnie chodzi. Nawet Glinna nie będzie wiedziała o naszym gościu.

- Ale jak my będziemy go doglądali?

Anna Claire zafrasowała się.

- Nie pomyślałam o tym. Problem jednak da się rozwiązać. Wszystkie obowiązki spadną na mnie. Nic to dla mnie nowego, ponieważ tyle lat opiekowałam się chorą matką.

Tavis wolał nie czekać na zmianę tej decyzji. Schylił się, by dźwignąć nieprzytomnego Rory'ego.

Stęknął.

- Obawiam się, panienko, że nawet we trójkę nie uda się nam wnieść go na górę.

- Więc trzeba sprawić, by odzyskał przytomność. - Uniosła dół nocnej koszuli, by nie powalać jej krwią. Uklękała. - Rory. Rory O'Neil.

Ponaglający i ostry ton musiał dotrzeć do świadomości rannego, bo drgnął i otworzył oczy. Spojrzał nieprzytomnym wzrokiem.

- Musimy zabrać cię na górę. Bez twojej pomocy nie uda nam się.

- Na... górę. - Uśmiechnął się. - Tak. Czy... spotkam tam moją Caitlin?

Anna Claire spojrzała na Bridget.

- Co to za niedorzeczności? - spytała.

- Sądzi, że umiera, panienko.

- Rozumiem. - Pochyliła się niżej nad rannym. - Rory O'Neil, chwyć moją dłoń.

- Z... radością.

Choć półprzytomny i osłabiony ubytkiem krwi, spełnił jej polecenie, dając dowód drzemiącej w nim jeszcze zdumiewającej siły. Gdy zaś jego palce zacisnęły się na jej dłoni,

Anna Claire doznała czegoś niezwykłego. Fala gorąca oblała całe jej ciało.

- Teraz kolej na ciebie, Tavis - powiedziała, starając się nie myśleć o tym doznaniu. - Weź go za drugą rękę.

Jakoś udało im się postawić go na nogi. Następnie każde przerzuciło sobie ramię rannego przez szyję. Ruszyli w kierunku schodów. Zdyszani i zmęczeni, dotarli do sypialni Anny Claire. Tutaj Bridget ruszyła przodem, by otworzyć im drzwi prowadzące na strych. Wstąpili na kręte i wąskie schody. Pokonali je stopień po stopniu. Gdy znaleźli się wreszcie w izbie na poddaszu, Tavis i Anna Claire gonili resztkami sił, Rory zaś krwawił obficie. Położyli go na łóżku. Anna Claire cofnęła się pod ścianę, pozwalając służącemu zajmować się rannym. Zaczęli od ściągnięcia zeń przesiąkniętego krwią ubrania. Na widok głębokich obrażeń, ran kłutych i ciętych, Anna Claire poczuła, że robi się jej słabo. Nagle wyobraziła sobie jego cierpienie. Jak udawało mu się znosić taki ból?

Bridget zwróciła ku niej zatroskaną twarz.

- To nie jest przyjemny widok, panienko. Wracaj do łóżka. Dalej już sobie poradzimy.

Anna Claire przyjęła to jako wyzwanie.

- Nie spodziewałam się bynajmniej niczego przyjemnego. Opiekując się mamą, miałam już okazję zetknąć się z przykrą stroną wszelkich chorób i cielesnych słabości. I skoro wytrwałam wówczas przez tyle miesięcy, tym bardziej mogę być obecna przy opatrywaniu ran tego człowieka.

Od razu też przejęła inicjatywę.

- Będziemy potrzebowali czystego płótna, Bridget. I środków uśmierzających ból.

- Oczywiście, panienko. - Gospodyni skinęła na męża. - A ty, Tavis, przyniesiesz kubek gorącej wody.

Gdy małżonkowie opuścili izbę, Anna Claire utkwiała wzrok w postać leżącą na łóżku. Aż do tego momentu starała się nie myśleć o tym, w co się właściwie dała zaangażować. Nagle zadała sobie pytanie, czy czasami czyniąc to wszystko, nie dała dowodów szaleństwa, a już na pewno karygodnej lekkomyślności. Jak mogła użyzyć schronienia przestępcy w swoim własnym domu? Człowiekowi okrzyczanemu wrogiem Korony? Jeśli go tu odnajdą, wszyscy domownicy zawisną.

Wielkie nieba! Co na to wszystko powiedziałyby jej ojciec, gdyby ktoś mu o tym doniósł?

Nie. Przed ojcem rzecz całą trzeba zachować w tajemnicy. Zresztą Rory O'Neil może już jutro nie żyć. A jeśli nawet jakimś cudem przeżyje, to ona, Anna Claire, wymówi mu dom i opiekę. Ostatecznie nie ma w stosunku do niego żadnych zobowiązań. Za tydzień będzie wspominała tę noc niczym sen i przywidzenie.

- Nareszcie. Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy. Reszta w rękach Boga. - Bridget wygładziła kołdrę okrywającą nieszczęśnika. Powstała z klęczek. - A teraz proszę pomyśleć o wypoczynku, panienko.

- Każdemu należy się trochę snu. Ale zapamiętajcie sobie. Nie ufajcie nikomu. Nawet Glinnie.

- Ma się rozumieć. - Tavis otworzył drzwi, po czym cofnął się, by przepuścić niewiasty. Zeszli po wąskich, skrzypiących schodach. - Ta koza Glinna nie jest w stanie dochować żadnej tajemnicy. Od razu musiałyby się pochwalić swo-

im przyjaciółkom, że zna miejsce pobytu Czarnego O'Neila. Do pojutra wiedziałyby o tym cały Dublin.

Nagle Bridget chwyciła Annę Claire za rękę i gorąco pocałowała w dłoń.

- Niech Bóg cię błogosławi, panienko. Masz dobre i współczujące serce. Nigdy nie zapomnę, co uczyniłaś tej nocy.

- Ani ja. - Tavis również wyraził swą wdzięczność pocałunkiem w dłoń. - Jesteś, panienko, aniołem dobroci.

Albo szalona, dodała w myślach Anna Claire, zamykając za służącymi drzwi. Po chwili była już w łóżku. Noc mijała, lecz sen nie nadchodził. Wciąż była poruszona wydarzeniami ostatnich godzin. Tak więc leżała z otwartymi oczyma, patrzyła na widoczne w oknie gwiazdy i myślała o mężczyźnie, od którego dzielił ją strop nad głową.

Jeśli wyda się, że dała schronienie przestępcy, nie będzie mogła tłumaczyć się nieświadomością. Bardzo dobrze wiedziała, co robi. Znała też najgłębsze motywy swego postępowania.

Wystarczyło jedno spojrzenie i już była beznadziejnie zagrożona. Ten irlandzki wojownik, który na jej oczach skoczył w wir walki, a potem walczył jak natchniony, rozpałił gorący płomień w jej panieńskim, romantycznym sercu. Nie spotkała jeszcze nikogo takiego. Szlachetni kawalerowie z angielskich rodów, z którymi zetknęła się na dworze, wypadali przy nim bardzo blado.

Nie wiedziała, że mężczyzna może być tak pięknie zbudowany. Kiedy ona i Bridget rozebrały go, by przemyć i opatrzyć rany, zdumiała się muskularnością ramion i torsu. A zarazem przeraziła ją głębokość zranień i ilość blizn. Było w tym mężczyźnie coś, co poruszało i chwytalo za serce. Je-

go poświęcenia i desperacji nie można było z niczym porównać. Miłosna historia, którą usłyszała z ust Tawisa, pozostała w każdym szczególe w jej pamięci. Miłość Rory'ego do kobiety, którą utracił tuż przed zaślubinami, przypominała bardziej legendę niż rzeczywistość.

Zamknęła oczy, próbując mimo wszystko zasnąć. Próżna nadzieja. Serce waliło w piersi, drżał w niej każdy nerw. Wyobrażenia tworzyła zaskakujące wizje. Nagle tuż nad nią rozległ się hałas. Wyskoczyła z łóżka i pośpieszyła na górę.

Rory leżał na podłodze, szukając czegoś po omacku.

Uklęka i unieruchomiła jego niespokojne ręce.

- Rory O'Neil, słyszysz mnie?

Natychmiast się uspokoił. Otworzył oczy.

- Mój miecz. Gdzie jest... mój miecz?

- Nie obawiaj się. Nie ma tu nikogo, kto by chciał zrobić ci krzywdę.

- Mój... miecz.

Westchnęła.

- Dobrze, dostaniesz swój miecz. Ale najpierw musisz wrócić do łóżka. - Nawet nie próbowała go dźwignąć. Wiedziała, że nie da rady.

- Gdzie... ja... jestem?

- W moim domu. Na Clay Court. W Dublinie.

- W Dublinie - powtórzył i zamknął oczy. - A wciąż umieram. - Nagle uniósł powieki, spod których błysnęło prawie przytomne spojrzenie. - Kim... jesteś?

- Anna Claire. To moje imię.

Próbował skupić wzrok na jej twarzy. Kosztowało go to wiele wysiłku. Widać też było, że walczy z bólem. Uśmiechnął się.

- Ach, mój aniele.

- Wstań, Irlandczyku. Musisz wrócić do łóżka.

Zaczęła ciągnąć go za ręce, aż wreszcie zrozumiał, czego od niego żąda. Ogromnym wysiłkiem woli przewyciężył własną bezwładność. Gdy złożył głowę na poduszkach, okryła go kołdrą.

- Chcę mojej broni.

- Nie ma najmniejszej potrzeby...

- Zwróć mi moją broń. - Jego głos cichł z każdym słowem, lecz do końca brzmiało w nim gorączkowe żądanie.

- Dobrze, będziesz ją miał. - Rozejrzała się po izbie. Podeszła i sięgnęła po oparty o ścianę miecz. Jego rękojeść była arcydziełem sztuki zdobniczej. Rzeźbione motywy roślinne i szlachetne kamienie tworzyły niepowtarzalny wzór.

- Oto twój miecz.

Zacisnął dłoń na rękojeści.

- Więcej.

- Więcej broni?

Skinął głową.

Dopiero teraz zauważyła leżące na podłodze dwa sztylety. Po cóż umierającemu aż tyle broni? Widocznie przywykł do tych sztyletów i miecza i bez nich czuje się zdany na łaskę i niełaskę innych. I faktycznie, kiedy poczuł chłód metalu, uspokoił się i zamknął oczy.

- Teraz zostawię cię samego - szepnęła.

- Nie opuszczaj mnie.

Wzruszyła ją ta prośba.

- Dlaczego? Czy lękasz się czegoś?

- Nie boję się śmierci. Powitam ją z radością. Lecz zostań, aniele. Trzymaj mnie za rękę, gdy będę przekraczał wrota niebios.

- Nie umierasz, Rory O'Neil - zapewniła go gorąco i za-  
drżała.

- Czy wiesz to od... Niego?

- Masz na myśli Boga? - Rozbawiło ją to pytanie. - Nie-  
stety, On nie przemawia do mnie bezpośrednio. Po prostu znam  
się cokolwiek na obrażeniach ciała. Twoje rany, jakkolwiek głę-  
bokie i bolesne, nie są śmiertelne. - Ufała, że wybaczone jej  
zostanie to kłamstwo. Dopuściła się go w najlepszej intencji.  
Zależało jej, by chory nie tracił ducha. Nadzieja u chorego może  
wszakże zastąpić niekiedy najlepsze lekarstwo.

- Więc dlaczego tu jesteś?

Położyła dłoń na jego ustach. Mówił stanowczo za dużo.

- Żadnych więcej pytań. Jeśli chcesz wyzdrowieć, mu-  
sisz zasnąć.

Chciała cofnąć dłoń, ale chwycił ją i przytrzymał. Cało-  
wał opuszki jej palców. Zaskoczyło ją to i wzruszyło. Już po  
raz drugi sprawił, że oblała ją fala gorąca.

- Zostań. Choćby na jedną chwilę.

Słowa te, niesione na fali gorącego oddechu, zapadły głę-  
boko w jej duszę. Gdyby w tej chwili poprosił ją o gwiazdkę  
z nieba, z pewnością zaczęłaby się zastanawiać, jak mu ją  
podarować. Dotykał jej i chciała, by trwało to bez końca.

- Dobrze, Irlandczyku. - Okryła go szczelniej kołdrą  
i usiadła na przysuniętym do łóżka starym fotelu, w którym  
mogła przyjąć pozycję półleżącą. - Pobędę z tobą przez kilka  
chwil. A teraz spróbuj zasnąć.

Widziała, jak jego pierś wnosi się i opada w nierównym  
oddechu. Modliła się, by śmierć wstrzymała się z przyby-  
ciem. W końcu, zmęczona, schyliła głowę i zasnęła.



Środki uśmierzające ból przestały działać i ciało Rory'ego zaczęły lizać palące jezory ognia. Szarpiący ból promieniował od ramion i pleców aż po koniuszki palców u stóp. Oczy szczypały i łzawiły. W skroniach pulsowało. Serce biło jak oszalałe.

Ponieważ każdy, najmniejszy choćby ruch tylko wzmagał cierpienie, Rory starał się nie zmieniać pozycji. Czoło i górną wargę zrosiły kropelki potu. Był słaby jak noworodek. Nie miał nawet tyle siły, by otrzeć pot z czoła.

Nagle uświadomił sobie, iż z jego płytkim i niespokojnym oddechem miesza się jakiś szmer. Jakby oddech. Powolny i cichy. Przypominał trzepot anielskich skrzydeł.

Otworzył oczy i spojrzął. Ukazał mu się cudowny obraz. Na stojącym przy łóżku starym fotelu siedziała niewiasta. Podkuliła nogi i pogrążona była we śnie. Głowę skłoniła na ramię. Jej prześliczną twarz okalały falujące złociste włosy, opadające na ramiona.

W pierwszej chwili pomyślał, że śni. Ale ta piękność wydawała się rzeczywista i jak najbardziej cielesna. By zdobyć dowód jej realności, wyciągnął rękę i dotknął włosów. Były delikatne i miękkie jak puch.

Musiała wyczuć przez sen, że ktoś ją obserwuje, gdyż drgnęła i otworzyła oczy. Zmieszała się, widząc jego badawczy wzrok. Potem nagle pojaśniała w uśmiechu.

Wyprostowała się i spuściła nogi.

- A więc żyjesz, Irlandczyku.
- Naprawdę?
- Jak się czujesz?
- Jak ktoś, kogo dosięgło wiele angielskich mieczy.
- Twoje rany są liczne i trzeba je wyleczyć. - Wstała

i podeszła do stolika przy ścianie. - Dam ci napój łagodzący ból.

- Chętnie go wypiję. W tej chwili potrzebna mi jest jasność myśli.

- Dlaczego?

- Ponieważ chciałbym się dowiedzieć, gdzie jestem. - Ogarnął spojrzeniem ukośny sufit, przebijający dach kamienny słup komina i wąskie okienko, przez które wpadało trochę światła.

- Jesteśmy na poddaszu w moim domu, w Clay Court w Dublinie.

- To twój dom?

- Wybudowali go przodkowie mojej matki i od wieków należy do rodziny.

- Czy mogę wiedzieć, co to za ród?

- Moja matka pochodziła z Doyle'ów.

Powiedziała o swojej matce w czasie przeszłym. Usłyszał ból w jej głosie i wolał pójść inną ścieżką.

- A kim ty jesteś, anielska istoto?

- Anna Claire - odparła z wielką prostotą.

- Więc jeśli można, Anno Claire, poproszę cię o ten środek kojący. - Miał wrażenie, że ktoś rwie obcęgami jego ciało, a potem przypieka je ogniem.

Wsypała szczyptę proszku do kubka z wodą. Usiadła na brzegu łóżka. Delikatnie uniosła głowę rannego i przystawiła kubek do jego spieczonych warg.

- Czy ktoś już ci powiedział, Anno Claire, że jesteś uosobieniem delikatności?

- Próbujesz mnie oczarować, Irlandczyku.

- I z jakim skutkiem?

- Sądzę, że lepiej zrobisz, zachowując swój urok na inną okazję. Pij, proszę.

Wypił gorzki napój, ale wątpił, czy cokolwiek zdoła uśmierzyć ten niemożliwy do zniesienia ból przenikający każdą cząstkę jego ciała.

- Muszę już iść - powiedziała, kładąc jego głowę z powrotem na poduszce. Wyjęła z kieszeni spódnicy białą batystową chusteczkę i otarła mu pot z czoła.

Chwycił ją za rękę.

- Twoje dotknięcie jest jak muśnięcie anielskich skrzydeł.

Choć słowa te sprawiły jej niekłamaną przyjemność, starała się o nich nie myśleć.

- Przy porannej i wieczornej toalecie usługuje mi dziewczyna, która ma zwyczaj kręcić się po całym domu. Wrócę, gdy tylko będę sama. Ale pod żadnym pozorem nie wolno ci przywoływać mnie i w ogóle dawać znać o swojej obecności. Czy wyrażam się jasno?

- Dlaczego mówisz mi to wszystko?

- Ponieważ twoja obecność tutaj musi pozostać tajemnicą. Po tamtej potyczce w porcie wyznaczono nagrodę za twoją głowę, Rory O'Neil. Ale to nie wszystko. Ogłoszono, że każdy, kto udzieli schronienia tobie lub twoim ludziom, zginie z rąk kata.

- Przekłęci Anglicy - burknął pod nosem, po czym zwrócił się do swej wybawicielki: - Rozumiem. Nie obawiaj się, anielska istoto. Jeżeli nawet przyjdzie po mnie śmierć, powitam ją w cichości i pokorze. Nikt nie usłyszy mojego krzyku czy jęku. - Błady uśmiech przemknął po jego twarzy, przydając jej szlachetności.

- Trzymam cię za słowo, kawalerze. - Ruszyła ku drzwiom, nie spojrzawszy nawet za siebie.

Rory leżał nieruchomo, czekając, aż lek zacznie działać. W końcu zapadł w stan pośredni pomiędzy snem a jawą. W jego głowie kołatało się pytanie, czy ta anielska istota, z którą dopiero co rozmawiał, jest osobą z krwi i kości, czy też płodem jego wyobraźni. Tak czy inaczej, była olśniewająco piękna. Smukła, gibka i złocista, o skórze gładkiej jak jedwab i wargach jakby stworzonych do całowania.

Nie miała takich czarnych włosów jak Caitlin. I jej oczy nie były niebieskie. Przez całe swoje dotychczasowe życie traktował Caitlin jako miarę i odniesienie urody do innych kobiet. Żadna jednak pod tym względem nie dorastała jej nawet do pięt. Aż do dnia dzisiejszego. Dzisiaj przekonał się, że może istnieć na tym świecie piękność równa piękności utraconej ukochanej. A nawet może przesłonić obraz tamtej, który na zawsze wrył się w jego duszę.

To zapewne były skutki działania lekarstwa, niemniej poczuł coś w rodzaju wyrzutów sumienia.

Z imieniem Caitlin na wargach, które powtarzał niczym litanię, zapadł w niespokojny sen.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Dzień dobry, panienko. Mamy piękny poranek. - Zapukawszy raz tylko, Glinna, młodziutka pokojówka, weszła do sypialni tanecznym krokiem z upraną i wyprasowaną garderobą.

Anna Claire dosłownie w ostatniej chwili zdążyła przesłonić kołdrą rdzawe plamy na nocnej koszuli.

- Panienska wstała dziś wyjątkowo wcześnie. Usłyszałam kroki panienki, więc pomyślałam sobie, że trzeba biec z ubraniami. - Halki, majtki i gorset zawisły na poręczu krzesła, a suknia w szafie. - Czy mam jeszcze coś przynieść?

- Na razie nie. Jeszcze przez jakiś czas zostanę w łóżku. - Czy dobrze się panienska czuje?

- Cóż, chyba... - Anna Claire niedbałym ruchem ręki wygładziła kołdrę, unikając spojrzenia dziewczyny. - Myślę, że naszła mnie comiesięczna słabość.

Usłyszawszy pukanie, obie spojrzały ku drzwiom. Weszła Bridget, niosąc tacę ze śniadaniem, przykrytym białą serwetką.

- Dzień dobry, panienko. - Ona i Anna Claire wymieniły znaczące spojrzenia. - Mam nadzieję, że noc upłynęła spokojnie.

Anna Claire kiwnęła głową.

- Spałam tak głębokko, że nawet nie miałam snów.

Gospodyni westchnęła z ulgą.

- Przyniosłam owsiankę, herbatę i ciasteczka.

- Pani nie będzie jadła - oświadczyła Glinna z miną osoby wszechwiedzącej. - Słabuje i zdecydowała się zostać w łóżku.

Gospodyni postawiła tacę na nocnym stoliku.

- Mimo to zostawię śniadanie. Apetyt lubi wracać.

-- Dziękuję, Bridget. - Anna Claire przeniosła spojrzenie na Glinnę. - Ponieważ dzisiaj nie będziesz mi potrzebna, mam nadzieję, że pomożesz Bridget w kuchni.

- Ma się rozumieć, panienko. - Dziewczyna straciła cały humor. Dygnęła i odeszła. Pomaganie Bridget oznaczało bowiem zmywanie garów i podłóg, zakupy oraz pranie, czyli obowiązki, które Glinna z chęcią zrzuciłaby na kogoś innego.

Kiedy zostały same, Anna Claire wyskoczyła z łóżka. Obrzuciła uważnym spojrzeniem swoją nocną koszulę.

- Mam nadzieję - westchnęła - że znajdziesz jakieś wytłumaczenie dla tych plam bez wzbudzania podejrzeń tej małej.

- Postaram się coś wymyślić. - Bridget zniżyła głos. - Jak czuje się nasz gość? Właściwie powinnam zapytać, czy przeżył tę noc.

- Żyje.

Gospodyni przeżegnała się, po czym odmówiła krótką dziękczynną modlitwę. Otarła łzę z policzka.

- A może zajrzemy do niego?

- Dopiero co od niego wróciłam. - Anna Claire poczuła, że pod baczny spojrzeniem gospodyni oblewa się potem. - W nocy usłyszałam hałas. Pobiełam na górę. Okazało się, że spadł z łóżka. Prosił, żebym została. Skończyło się na tym, że noc spędziłam na fotelu.

- Człek, gdy zmęczony, zaśnie nawet na stojąco jak koń. Panienska wczoraj wiele przeszła. Niech Bóg paniencie nie po-

skąpi radości w życiu. To dzięki panience w Rorym O'Neilu wciąż kołacze się życie. Czy bardzo cierpi?

- Jego rany muszą być bardzo bolesne. Jednak sądząc z dawnych blizn, ten człowiek przywykł do bólu. Zmusiłam go do wypicia lekarstwa. Podziałało przynajmniej na tyle, że udało mu się zasnąć.

- A więc myśli panienka, że będzie żył?

Anna Claire wzruszyła ramionami.

- Bóg jedyny wie. My możemy pocieszać się tym, że ma silny organizm. To waleczny człowiek. I chyba minęło już najgorsze.

Bridget wskazała na tacę ze śniadaniem.

- Pomyślałam, że pewnie nie znajdzie panienka czasu, by zejść do jadalni.

- Jesteś przewidującą osobą, Bridget. Dopilnuj, żeby służba mnie nie niepokoiła.

- Może panienka na mnie polegać. A jeśli O'Neilowi polepszy się na tyle, że poczuje głód, panience zaś nie dostanie apetytu, to proszę podzielić się z nim tym śniadaniem. - Gospodyni zafurkotała halkami i spódnicami i pospieszyła do swoich zajęć.

Zostawszy sama w pokoju, Anna Claire zdjęła nocną koszulę i pochyliła się nad kadzią pełną wody. Po dłuższej chwili starannych ablucji poczuła się wreszcie czysta. Wytarła się szorstkim lnianym ręcznikiem i sięgnęła po bieliznę. Włożyła haftowaną koszulkę, długie po kolana majtki, sutą, szeleszczącą halkę, wreszcie suknię w kolorze bladego różu. Ciężkie włosy ujęła inkrustowanymi perłową macicą grzebieniami. Na stopy wsunęła buciki z kożłęczą skórą. Wziąwszy tacę, skierowała się ku prowadzącym na poddasze wąskim schodom.

Rory leżał w łóżku, nieruchomy niczym trup. Pomyślała, że śpi. Lecz kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że oczy ma otwarte. Były pełne bólu. Zlepione od potu włosy wydawały się jeszcze bardziej czarne. Leżał spokojnie i milczał, mimo że każdy na jego miejscu dałby wyraz swej męce.

Postawiła tacę na nocnym stoliku i pochyliła się nad łóżkiem. Dotknęła dłonią czoła chorego. Nietrudno było jej stwierdzić wysoką gorączkę.

- Ach, to ty. - Ledwie słyszalne tchnienie uleciało z jego spierzchniętych warg. - Wrócił mój anioł. Byłem posłuszny. Nie rzucałem się i nie krzyczałem.

Ujęła ją jego dzielność.

- Wybacz, że nie było mnie tak długo. - Umaczała w wodzie kawałek płótna i obmyła mu twarz, szyję, piersi i ramiona. - Czyżby lekarstwo nic nie pomogło?

- Przeciwnie. Tyle że nie na długo. Wzniosłem się najpierw ku niebu, by potem spaść w piekielną czeluść.

Poczuła wielki smutek. Rozpuściła szczyptę białego proszku w kubku wody i podała mu do wypicia.

- Obyś tym razem poczuł dłuższą ulgę.

- Już sama twoja obecność, aniele, wywiera na mnie zbawienny wpływ. - Wysączył lekarstwo do ostatniej kropli, po czym bezwładnie opadł na poduszki. Czuł zapach róż, znak, że jest pod czułą opieką anielskiej istoty.

- Jesteś czarującym kłamcą, Rory O'Neil. - Usiadła na fotelu, zdecydowana nakarmić chorego. Zbliżyła łyżkę do jego ust.

Wykrzywił się ze wstrętem.

- Co to takiego?

- Owsianka.



Potrząsnął głową.

- Moja matka też próbowała karmić mnie czymś takim. Wolałbym już jeść błoto.

- Dobrze, błoto będziesz miał jutro na śniadanie. Dziś jednak posilisz się owsianką. Ugotowała ją specjalnie dla ciebie moja gospodyni, Bridget Murphy, w nadziei, że wrócisz szybko do sił. Musisz zjeść przynajmniej trochę.

- Na miłość boską, mówisz, aniele, jak moja matka. - Otworzył usta i przełknął pierwszą łyżkę. Zmrużył oczy. - Pewnie ta Bridget Murphy to czarodziejka. Jej owsianka w niczym nie przypomina tej w moim domu. Jest o niebo lepsza.

- Powtórzę jej te miłe słowa. Być może dzięki temu nie będziesz musiał jeść błota na śniadanie.

Kolejną porcję przełknął niczym głodne pisklę.

Anna Claire uświadomiła sobie, że karmienie tego mężczyzny w najmniejszym stopniu nie przypomina tamtego karmienia - z czasów opieki nad chorą matką. Za każdym razem gdy rozchyłał wargi, doznawała osobliwej pokusy pocałowania go w usta. Gdy zaś przełykał, przymykając oczy z zadowoleniem, pociągała ją ku niemu jakaś niezwykła siła.

Była całkiem wytracona z równowagi widokiem tego irlandzkiego wojownika, który zdawał się czerpać nadzwyczajną przyjemność z przyziemnej czynności jedzenia. Nigdy jeszcze nie miała do czynienia z kimś takim. W najmniejszym stopniu nie krępował się tym, że pod kołdrą jest całkiem nagi. Ona, przeciwnie, była tym zażenowana i zaniepokojona. W głowie miała zupełny mętlik.

Pochłonał pół miski owsianki, zanim podniósł rękę w geście odmowy.

- Wystarczy. Zmęczyła mnie ta uczta.

Odstawiła miskę na tacę i nalała do kubka herbaty.

- Wypij choć kilka łyków.

Potrząsała głową.

- Ani jednego.

- A więc poczekajmy, aż lekarstwo zacznie działać. -

Anna usiadła wygodnie w fotelu.

Zdobył się na uśmiech.

- Czymś lepszym od lekarstwa jest zwykłe patrzeć na ciebie.

Nie udało się jej nie zarumienić.

- Jak na tak poważnie rannego jesteś wyjątkowo uwodzicielski, Irlandczyku.

Potarł dłonią czoło.

- Szkoda, że nie znasz mojego młodszego brata, Conora. On stokroć bardziej zasługuje na miano uwodziciela.

- Doprawdy? A za kogo ty się uważasz?

- Przede wszystkim jestem wojownikiem.

Upiła łyk herbaty.

- Powiesz mi coś o swojej rodzinie?

- Conor ma dwadzieścia jeden lat, jest dwa lata młodszy ode mnie. Zdobył wykształcenie za granicą. Marzeniem mojej matki było, by został księdzem. Ale ojciec widział swych synów w innej roli.

- Można wiedzieć, w jakiej?

- Conor łączy zalety ciała z zaletami ducha. Ojciec chce, i ma to zamiar przeforsować przy pomocy swoich wpływowych przyjaciół, by Conor bronił naszych interesów na angielskim dworze.

Anna Claire uśmiechnęła się.

- Gorąco popieram takie pomysły. Ufam, że przyniosą lepsze efekty niż twoje zamiłowanie do miecza.

- Słyszę nutę nagany w głosie mojego anioła.

- Nie lubię przemocy.

Rzucił na nią przenikliwe spojrzenie, ona zaś znów się zarumieniła. Uznała, że lepiej będzie zmienić temat.

- Masz jeszcze jakieś rodzeństwo?

Przytaknął ruchem głowy.

- Moja młodsza siostra ma na imię Briana.

- I którego z braci próbuje naśladować? Ciebie czy Conora?

- Gdy była jeszcze zupełnie mała, dreptała za mną jak kurczę za kurą. - Jego głos złagodniał i nabrał ciepła. - Władza szablą lepiej niż niejeden mężczyzna. Potrafi też użyć sztyletu.

Anna Claire nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Jeszcze jeden wojownik z rodu O'Neilów.

- Zgadza się. Briana jest oczkiem w głowie moich rodziców.

- Powiedz mi coś o nich.

- Mój ojciec, Gavin, to potomek arystokratów. Pochodzi w prostej linii od pierwszego króla Irlandii. Natomiast moja matka, Moira, może poszczycić się rodowodem sięgającym czasów druidów i Celtów. Są małżeństwem od ćwierć wieku i ich miłość jest jaśniejsza od gwiazd na niebie. Stanowią piękny przykład kochającej się i rozumiejącej pary małżeńskiej.

Anna Claire pomyślała o swoich rodzicach. Ojciec głęboko przeżył chorobę, a potem śmierć matki. Popadł w stan

zbliżony do melancholii. Margaret pozostawiła pustkę w jego sercu.

- Są szczęśliwi, bo mają siebie nawzajem - zauważyła z nutką smutku w głosie.

- Tak. Ten rodzaj miłości jest doprawdy rzadki. Wraz z upływającymi latami miłość zdaje się nabierać smaku niczym wino. - Zamilkł, a Anna Claire zadała sobie pytanie, czy myśli teraz o swojej narzeczonej, którą okrutny los zabrał mu, zanim zdołali w codziennym współżyciu potwierdzić swą miłość.

Odstawiła kubek z herbatą.

- Czas na sen i wypoczynek.

- Tak. Może uda mi się zasnąć. - Zamknął oczy. Kiedy jednak usłyszał, że wstaje, chwycił ją za rękę. - Dziękuję z głębi serca, miła Anno Claire.

- Za co?

- Za to, że dzięki tobie choć na kilka minut zapomniałem o bólu.

- To nie moja zasługa. To działanie lekarstwa.

Uśmiechnął się blado.

- I przekaz, proszę, moje podziękowanie Bridget Murphy. Jej owsianka bardzo mi smakowała. Z chęcią zjadłbym jutro taką samą na śniadanie.

- Powtórzę jej to.

Przez chwilę jeszcze Anna spoglądała na Rory'ego, czekając, aż zaśnie, po czym opuściła izbę.

W południe Bridget zjawiła się z nową tacą.

- Jak długo jeszcze panienka zamierza udawać słabość? - spytała.

Anna Claire wzruszyła ramionami.

- Najwyżej do wieczora. Późnym popołudniem muszę ozdrowieć. Jestem zaproszona do lady Thornly.

- Bardzo dobrze, że panienska się rozerwie. Przyjdzie tu Glinna, aby pomóc paniencie się ubrać, ale uprzedzę o tym.

- Dziękuję, Bridget. - Anna Claire wzięła tacę i ruszyła ku wejściu na strych. Nagle zatrzymała się. - Prawie bym zapomniała. Rory O'Neil nie mógł się nachwalić twojej owsianki. Powiedział, że jest lepsza od owsianki jego matki.

Oblicze gospodyni zajaśniało zadowoleniem i dumą. Wyszła, zamykając za sobą drzwi. A Anna Claire nie mogła się nadziwić, iż taka drobna pochwała może wprowadzić w aż tak dobry nastrój.

W izbie na poddaszu czekała ją niespodzianka. Zastała Rory'ego na środku pokoju. Zaciskając zęby, próbował oburącz podnieść miecz z podłogi. Niestety, zabrakło mu sił. Jęknął i zwałił się na łóżko. Leżał dysząc, zlany potem.

Anna Claire zauważyła, że rana na jego ramieniu otworzyła się i zaczęła krwawić.

- Zobacz tylko, co najlepszego zrobiłeś. - Z gniewnym sykiem postawiła tacę na nocnym stoliku i chwyciła kawałek płótna, by zatamować krew. - Po co w ogóle wzięłeś się za ten głupi kawał żelaza?

- Głupi? - Chwycił ją za przegub dłoni i spojrzał głęboko w oczy. - Kobieto, nie mówiłabyś tak, gdybyś znalazła się wobec godzących w ciebie mieczy. Wtedy wszystko byś dała za kawałek zaostzonej stali, dzięki któremu mogłabyś ocalić swoje życie.

- Tylko że tutaj z nikim nie musisz walczyć, Irlandczyku. W moim domu możesz czuć się całkowicie bezpiecznie.

Obrzucił ją zamyślonym spojrzeniem.

- Twoja pewność nie równa się mojej.
- Masz moje słowo. Czy to nie wystarczy?

Kiwnął głową.

- Masz rację. Zadowolę się twoim słowem.
- Lepiej, byś oszczędził siły. Pozwól, aby rany się zbliżyły.

- Tak też zrobię. - Zwolnił uścisk, by mogła zająć się jego raną. Ale nadal ją trzymał, jakby bojąc się, że ucieknie.

- Trudno się wyrzec własnych przyzwyczajęń.

Opatrując mu ranę, uświadomiła sobie, że bacznie ją obserwuje. Poczuła, że policzki oblewa rumieniem. Gorzej, bo krew zaczęła tętnić i pulsować w jej żyłach. I na dokładkę nie mogła tego ukryć przed Rorem, gdyż wciąż trzymał ją za przegub dłoni.

Chlusnęła spirytusem na zranione ramię.

- Za chwilę przestanie boleć. - Słyszała jego przyspieszony oddech. - A teraz nie ruszaj się, muszę starannie opatrzyć ranę. - Rzuciła na niego okiem i ich spojrzenia się skrzyżowały. Zaraz jednak Rory skupił całą swoją uwagę na jej ustach. Zaschło jej w gardle. Byli tak blisko siebie, że w każdej chwili, nieco nachylając głowę, mogła musnąć wargami jego wargi.

Jak gdyby czytając w jej myślach, przyciągnął ją ku sobie.

- Pachniesz niczym róże w ogrodzie mej matki.

Przełknęła ślinę. W jej uszach zabrzmiało to straszliwie głośno. Kiedy zaś otworzyła usta, stwierdziła, że głos jej drży.

- Nie jestem twoją matką, Rory O'Neil.

- Ani przez chwilę tak nie myślałem. - Na jego wargach pojawił się uśmiech, który w myślach nazwała bardzo nie-

bezpiecznym. - Nigdy nie całowałem matki w sposób, w jaki chcę cię pocałować.

Zaparła się ręką o jego pierś, w każdej chwili gotowa ratować się ucieczką.

- Nawet nie myśl...

Próżny protest. Już ją całował.

Smakował jej wargi. Drażnił i pobudzał zmysły.

Zabrakło jej powietrza. Zamierzała się wyrwać, ale przewidział to. Użył siły swych ramion i trzymał ją niczym brankę. Jedną dłonią dociskał od tyłu jej głowę, drugą zaś gładził jej ramiona i plecy. Wreszcie sprawił, a może to jego zaborcze usta sprawiły, że wyrwało się jej z piersi westchnienie rozkoszy.

- Niech będzie to dla ciebie nauką, aniele. Nigdy mi nie mów, co mam robić. Jest w mojej naturze coś takiego, co nie pozwala mi słuchać poleceń i rozkazów innych ludzi.

Wciągnęła w płuca powietrze. Poczowała zawrót głowy.

- Będę o tym pamiętała. A teraz zechciej mnie puścić, Irlandczyku.

W odpowiedzi jedynie się uśmiechnął. Był to znów ów dobrze jej znany psotny uśmiech. Zbyt późno uświadomiła sobie swoją pomyłkę.

- Jesteś niepoprawna. - Ujął w dłonie jej twarz. • - Znów chciałaś mi coś narzucić.

Tym razem pocałunek sięgnął w głąb jej jestestwa. Poczowała jego palce w swoich włosach. Przeszedł ją dreszcz. Zabrakło tchu.

Dobrze wiedział, kiedy jej opór przemienił się we współudział. Już nie odpychała go od siebie, tylko otoczyła

jego szyję ramionami, tuląc się do niego i odpowiadając na jego pocałunki. Wręcz leżała na nim - gorąca, gibka i kusząca.

Targnęła nim żądza. Doznanie było tak gwałtowne, że aż graniczące z bólem. Z trudem udało mu się je stłumić.

Delikatnym ruchem odsunął Annę Claire od siebie. Potrzebował tego dystansu, by wrócić jasność myślom i uspokoić serce.

- Mam nadzieję, że pojęłaś lekcję. Nigdy nie próbuj mi niczego narzucać.

Jej oczy ściemniały z gniewu. Pomimo suchości w gardle i szumu w głowie zdobyła się na sarkazm:

- A więc w celu uniknięcia tego, co właśnie się stało, powinnam rozkazać ci mnie pocałować.

Wybuchnął śmiechem. W Annie Claire było coś cudownego.

- Czy bierzesz mnie za kompletnego głupca? Cokolwiek byś powiedziała w związku z całowaniem, jesteś zbyt piękna, by człowiek nie uległ pokusie. Ciebie po prostu nie sposób nie całować, Anno Claire.

- Ciebie po prostu nie sposób nie opuścić, Rory O'Neil.

- I chcesz to zrobić teraz? Zanim zdążyłaś mnie nakarmić?

- Nakarmić! Dobre sobie! - Wskazała na tacę. - Ubiegłej nocy martwiłam się, że umrzesz. Ale śmierć jeszcze na ciebie poczeka, Irlandczyku. Kto ma dostateczny zapas siły, by stosować gwałt na kobiecie, tego stać na samodzielne zjedzenie zupy. Mam nadzieję, że rosół Bridget przypadnie ci do gustu tak jak owsianka.

- Dobra kucharka we wszystkim jest dobra.



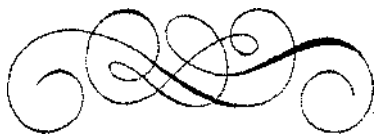
Kiedy zaś już przekroczyła próg dzielący izbę od schodów, dodał:

- Ale gdy ty mnie karmisz, jedzenie smakuje mi jeszcze bardziej.

Trzasnęła drzwiami.

Wróciwszy do siebie, usiadła na łóżku. Dotknęła palcami ust. Były gorące i lekko napuchnięte. Oblizała wargi. Poczowała smak mężczyzny.

Pozwoliła się wplątać w niebezpieczną grę. A wszystko dlatego, że dała do siebie przystęp romantycznym uczuciom. Jeszcze skończy się na tym, że złamie jej serce jakiś irlandzki hultaj. To jednak nie wszystkie kłopoty. Brała udział w grze, w której chodziło o życie. Właściwie na wszystkich mieszkańcach tego domu ciążył wyrok śmierci.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Jakie są pańskie wrażenia, lordzie Dunstan, z pierwszej wizyty w Irlandii?

Pani domu nalegała, by Anna Claire zajęła miejsce obok przystojnego, młodego gościa. Nie pozostało więc jej nic innego, niż rozpocząć grzeczną rozmowę z tym ponurym, zatopionym w myślach mężczyzną. Była jedyną kobietą na przyjęciu, która nie uległa magii jego chłodnego uśmiechu i stalowoszarych oczu.

- Przygnębiające. Z tego, co zobaczyłem do tej pory, wnioskuję, że to dziki kraj zamieszkały przez dzikich ludzi. - Zarejestrował przytakujące skinienia głów współbiesiadników. - Gdyby nie spotkanie z tobą, pani, wróciłbym do Anglii, uznając tę podróż za marnotrawstwo czasu.

Poczuła jego kolano tuż przy swoim. Kiedy się odsunęła, on znowu przysunął się nieznacznie, tak iż nie mogła uniknąć jego dotyku.

- Miałem szczęście spotkać się z twym ojcem, pani, kilka razy w Londynie.

Nakrył ręką jej dłoń, kiedy zaś chciała ją zabrać, wzmógł uścisk. Było oczywiste, że sprawiało mu przyjemność bycie w centrum uwagi. Wiedząc, że wszyscy żywo się nim interesują, postanowił spróbować nowej roli.

- Gdybym wiedział, że córka lorda Thompsona jest tak

cudowną istotą, dużo wcześniej pokonałbym kanał dzielący Anglię od Irlandii.

Jeżeli nawet wyczuł jej zniecierpliwienie, to nie okazał tego w żaden sposób.

- Mam nadzieję, lordzie Dunstan, że znajdzie się sposobność przekonać cię, byś został z nami trochę dłużej. - Lady Thornly sączyła wino, nie kryjąc zadowolenia, że gości u siebie tak świetnego rodaka. - Och, tutejszy język jest wręcz nie do zniesienia. Jakże tęsknię za londyńskim akcentem.

Młody mężczyzna zdobył się na czarującą uśmiech.

- Może powinnaś, pani, sprzedać mi swoje dobra za godziwą cenę i wrócić do Anglii, gdzie dożyłabyś swych lat wśród rodaków, z dala od tej dziczy.

- Mówisz panie, jakbyś potrzebował mojej ziemi. - Machnęła odmownie ręką i kokieteryjnie się roześmiała.

Zaśmiali się też inni goście. Było powszechnie wiadomo, że w ostatnich latach lord Lynley Dunstan bardzo szybko dołączył do grona najbogatszych ludzi w Anglii.

Jeden z siedzących przy stole mężczyzn powiedział:

- Bywałeś ostatnio na dworze, Dunstan. Jak królowa zamierza poradzić sobie z irlandzkim problemem?

Młody mężczyzna wypiął pierś. Jego ojciec i dziad zajmowali wysokie stanowiska na dworze ojca Elżbiety, Henryka VIII. Wdzięczny król hojnie obdarował ich ziemią i kilkoma najpiękniejszymi zamkami w Anglii. Obecny lord Dunstan wiele nauczył się od swych przodków. Wykorzystywał swą lojalność do pomnożenia fortuny.

- Królowa polega na mojej ocenie sytuacji. Przybyłem tu na jej życzenie, by zbadać, czy w ogóle powstał jakiś problem.

- Z pewnością sytuacja nie jest dobra - stwierdził lord

Davis, mężczyzna w podeszłym wieku, który zajmował miejsce obok gospodyni. - I pogarsza się z każdym dniem. - Powiódł spojrzeniem po twarzach biesiadników. - Czy ktoś słyszał coś o tym rannym irlandzkim wojowniku? Tym, którego nazywają Czarny O'Neil?

Anna Claire zamarła, prawie nie śmiać oddychać.

Dunstan parsknął z pogardą.

- Też mi wojownik! Lepiej nazwijmy go dworskim błaznem. Z tego, co już zdążyłem się dowiedzieć, wynika, że to jedynie chłopski przywódca niewielkiej bandy, który uroił sobie, że stanie się narodowym bohaterem.

- Widziałem na własne oczy, jak ten „wieśniak” wraz z kilku swoimi ludźmi zmusił do odwrotu cały oddział angielskich żołnierzy. - Lord Davis opróżnił swój puchar i poczekał, aż sługa napełni go znowu. - Nie ma nic niebezpieczniejszego od fanatyka, który przekona masy. Zważ na moje słowa, Dunstan. Od tego człowieka zależy, czy nienawiść przepęłniająca serca tutejszych ludzi znajdzie ujście w walce z Anglią. A już wkrótce tak może się wydarzyć. Wtedy Jej Wysokość znajdzie się w naprawdę trudnej sytuacji.

- Co masz na myśli, lordzie Davis?

- Mówię o wojnie, która opróżni angielskie szkatuły.

- Wojna! - Dunstan ponownie parsknął z pogardą. - Z tymi brudnymi wieśniakami? - Odrzucił do tyłu głowę i złowrogo się roześmiał, a biesiadnicy poszli w jego ślady. - Królowa Elżbieta jest mądrą władczynią. Jeśli temu Czarnemu O'Neilowi ambicja uderzy do głowy, otoczy się go kompanią wyborowych żołnierzy. Uwierz mi, lordzie Davis, zbrojne ramię Anglii słumi w zarodku każdą rebelię, chłopską zaś z dziecinną łatwością.

Odwrócił się ku Annie Claire.

- Milczysz, pani? Czy cała ta rozmowa o wojnie rani twą wrażliwą duszę?

- Owszem. - Anna Claire przełknęła ślinę, przerażona, że znowu uwaga wszystkich zwróciła się na nią.

- Wybacz, moja droga.

Lord Davis wstał i podszedł do niej. Położył dłoń na jej ramieniu. Rzekł z troską w głosie:

- Jak to nierozważnie z mej strony, że zapomniałem o tobie. Wszyscy wiemy, że wczoraj mimo woli byłaś świadkiem rozlewu krwi w porcie. Jestem pewien, że było to dla ciebie straszne przeżycie. - Przynął się bliżej. - A może wołała-bys nas opuścić?

Były to słowa, których oczekiwała z utęsknieniem. Ujęła go za rękę.

- Dziękuję. Rzeczywiście, chyba wrócę już do domu.

- O, moja droga - lady Thornly wytarła usta piękną koronkową serwetką. - Miałam nadzieję, że zatrzymamy cię trochę dłużej. Lordowi Dunstanowi pozostało już tak niewiele czasu do wyruszenia w drogę powrotną do Londynu.

- Będę szczęśliwy, mogąc towarzyszyć lordowi Charlesowi i Annie Claire - rzekł z galanterią przystojny Anglik.

Anna Claire miała już na końcu języka słowa odmowy, ale nie były one wystarczająco uprzejme. Skończyło się więc na tym, że pożegnawszy się z gospodynią, usiadła w powozie wraz ze starym przyjacielem swego ojca oraz młodym mężczyzną, którego arogancja mogła się równać jedynie jego ignorancji.

- Jak długo zamierzasz, panie pozostać w Irlandii? - zapytał lord Davis, usadowiwszy się wygodnie naprzeciwko młodych. Powóz ruszył ulicami Dublina.

- Myślałem, że przyjdzie mi tu zabawić jedynie kilka dni.  
- Lord Dunstan odwrócił się z uśmiechem do Anny. Jej twarz skryta była w cieniu. - Ale teraz wszystko wskazuje, że pozostanę trochę dłużej.

Anna Claire jęknęła w głębi duszy.

- Wspaniale. - Starszy pan uśmiechnął się w ciemnościach. Jego przyjaciel, lord Thompson, będzie zachwycony, że taki świetny kawaler, na dodatek bliski przyjaciel królowej, zainteresował się jego córką.

- Czy mam nakazać stangretowi, by wpierw zajechał pod twój dom, Charles?

Zanim Anna Claire zdążyła zaprotestować, starszy mężczyzna żywo przytaknął.

- Właśnie zamierzałem o to poprosić. Czuję się trochę zmęczony absorbującą rozmową u lady Thornly. Poza tym jestem ospały z przejedzenia.

Anna Claire wiedziała, co zamyśla przyjaciel jej ojca. W najlepszej wierze podjął się roli swata i pośrednika. I jakkolwiek było to bardzo irytujące, nic nie mogła poradzić. Był przekonany w tym samym stopniu co jej ojciec, że ten kandydat na męża spełnia wszystkie warunki.

Dunstan krzyknął na stangreta. Natychmiast zmienił się kierunek jazdy i niebawem zajechali przed dom starego lorda.

- Dobranoc, lordzie Dunstan. - Starszy pan uchylił kapelusza, następnie pochylił się i Anna Claire poczuła na swym gładkim policzku jego ostry zarost. - Dobranoc, moje dziecko. Będę spał spokojnie, wiedząc, że zostawiłem cię w dobrych rękach.

- Dobranoc, lordzie Davis. - Anna Claire obserwowała, jak wysiada z powozu i wspina się po schodach swej rezydencji.

Konie ruszyły, powóz okrążył podjazd i ponownie wjechali w ciemne uliczki miasta.

Kiedy gwałtownie skręcili w prawo, Anna Claire przechyliła się i dotknęła ramieniem ramienia Dunstana. Odwrócił się ku niej i sięgnął ręką do jej piersi. Zesztywniała i odepchnęła jego dłoń. Kiedy jednak spojrzała na niego, ujrzała jedynie lekki uśmiech na jego wargach. Zachowywał się jak człowiek wyzbyty wrażliwości i wstydu. Poczła ogromną ulgę, gdy poznała uliczkę, przy której stał jej dom.

Lord Dunstan wyrzął z powozu, rozglądając się po dziedzińcu i zabudowaniach. W oknach paliło się światło.

- A więc to tutaj mieszkasz, pani, gdy przebywasz w Irlandii. Jak nazywacie to miejsce?

- Clay Court. To dom moich przodków ze strony matki. Coś w jej tonie sprawiło, że przyjrzał się jej uważniej.

- Byłbym ostrożniejszy, pani, na twoim miejscu. Niektórzy mogliby pomyśleć, że to miejsce jest dla ciebie bardziej domem niż Anglia.

Anna Claire poczuła mrowienie. Lord Dunstan nawet nie zadał sobie trudu zamaskowania swej groźby.

- Przypominam panu, lordzie Dunstan, że mój ojciec jest szanowanym i cenionym członkiem Rady Królewskiej, i chociaż jestem dzieckiem z mieszanego małżeństwa, moja lojalność nigdy nie była kwestionowana.

- Ani też nie powinna być w przyszłości, pani. Ale zawsze znajdzie się ktoś, kogo zastanowi twa wierność tradycji rodaków twojej matki.

Lord Dunstan wyskoczył z powozu i wyciągnął rękę, by pomóc jej przy wysiadaniu. Musiała przyjąć tę pomoc.

Przy drzwiach zmusiła się do uśmiechu.

- Dziękuję za odwiezienie, lordzie Dunstan. Pozostaje nam jedynie *życzyć* sobie dobrej nocy.

Kiedy już zamykała za sobą drzwi, przeszkodził jej w tym, przestępując próg domu.

- Nie byłoby rzeczą rozsądną odwieźć cię, pani, i nie sprawdzić, czy jesteś tu bezpieczna.

- Mam wierne sługi, które troszczą się o moje bezpieczeństwo.

- To niewątpliwie uspokajająca wiadomość. - Wciąż się rozglądał, przemykając spojrzeniem po wygładzonych kamieniach holu i kryształowym żyrandolu, w którym palił się tuzin smukłych świec. - Tak lojalnych sług oczekiwałbym na progu twego domu, pani.

- Zatrzymały ich obowiązki. Tavis jest bez wątplenia na górze. Dogląda ognia na kominku w mojej komnacie.

- Ach, Tavis. Gdybyś tylko zechciała, uroczą damo, mógłbym go w tym zastąpić. Lecz nie potrzebowałbym do ogrzania cię ani drewna, ani też torfu. Wystarczyłyby dotyk mej dłoni, by ogarnęły nas płomienie.

Nienawidziła tego uśmiešku na jego wargach. Ale jeszcze bardziej nienawidziła gorąca zalewającego jej policzki, gdy słuchała tych jego propozycji. Jednak spokojnie kontynuowała rozmowę, pragnąc jak najprędzej go odprawić.

- Moja mała pokojówka, Glinna, czeka, by pomóc mi przy wieczornej toalecie.

- Z największą przyjemnością wyręczyłbym ją w jej obowiązkach.

Zaswędziały ją dłonie, by spoliczkować go za tę bezczelność. Wiedziała jednak, że musi obchodzić się bardzo ostrożnie z tym człowiekiem. Najmądrzej było ignorować je-



go zaczepki. Domyślała się, że przywykł do łatwych podbojów.

- A Bridget najpewniej jest w kuchni, parzy herbatę, którą zwykłam wypijać przed położeniem się spać. - Uniosła rękę do ust, zmuszając się do ziewnięcia. - Wybacz mi, lordzie Dunstan. To był długi dzień i obawiam się, że ze względu na zmęczenie muszę się pożegnać.

- Oczywiście. - Wziął jej rękę i uniosł do ust. Przedłużał pocałunek, aż musiała mu wyrwać dłoń. - Mam nadzieję, że mam twoje pozwolenie, pani, by odwiedzić cię jutro.

- Ja... - rozpaczliwie poszukiwała w myślach jakiejś uprzejmej wymówki. - Obawiam się, że będę nieobecna.

- Rozumiem. Wielka szkoda. Może innym razem. - Uśmiechnął się znacząco, dając jej do zrozumienia, że przejrział cały jej system obronny. Zniżył głos, jakby dzielił się z nią jakimś sekretem:

- Tak bardzo różnisz się, pani, od reszty przedstawicielek twej płci, które potrafią jedynie trzepotać rzesami na znak przyzwolenia. Opór w twym wykonaniu jest wielce intrygujący. Muszę przyznać, że rozbudziłaś mą ciekawość, podobnie jak moją... Teraz po prostu musimy lepiej się poznać. Dobrze, że lord Davis i ja rozumiemy się i lubimy. Możliwe, że złoży ci wizytę, a ja będę mu towarzyszył.

- Z przyjemnością przyjmę pana, lordzie Dunstan - rzekła bez cienia radości w głosie.

W blasku świec przyjrzał się jej uważniej.

- Jesteś, pani, naprawdę urocza. I więcej niż trochę tajemnicza. - Uśmiechnął się szeroko, kiedy uniosł rękę i dotknął jej policzka. Jej gwałtowna reakcja sprawiła, że roześmiał się w głos. - Dzięki temu, że cię poznałem, pani, nie pamiętam już

o przykrościach pobytu w tym kraju. Dobranoc, moja droga Anno Claire. Do zobaczenia jutro.

Obserwowała, jak schodzi po schodach i siada w powozie. Dopiero gdy pojazd zniknął w ciemnościach, uświadomiła sobie, że przez ten cały czas wstrzymywała oddech.

- Domyślam się, że to ten próżny angielski paw wydarł z ciebie to westchnienie.

Anna Claire odwróciła się. Rory wyszedł z cienia, ubrany jedynie w zaplamione krwią spodnie, które w pośpiechu naciągnął na siebie. Na jego twarzy malowała się furia.

- Co robisz tu na dole?

- Obserwuję, jak robisz z siebie idiotkę. Czy nasze kobiety muszą flirtować z naszymi wrogami?

Uniosła podbródek i obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Nie czuję się Irlandką.

- Co też ty mówisz, kobieto? Jesteś Irlandką. Powiedziałaś, że twoja matka nazywała się Margaret Doyle.

- Owszem. Lecz mój ojciec to lord James Thompson.

Przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu. Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, rzekł:

- Zdaje się, że twój ojciec przewodniczy radzie doradców tej żadnej podbojów królowej Anglii.

Przytaknęła, a on, potrząsnąwszy głową, zapytał:

- Jak sądzisz, co powie, gdy dojdzie jego uszu, że pomogłaś Czarnemu O'Neilowi?

- To złamałoby mu serce. Nigdy nie może się dowiedzieć.

- Tak więc pomimo wysokiej pozycji swego ojca uważasz się za Irlandkę.

Wyprostowała się sztywno.

- Nie jestem ani Angielką, ani Irlandką. Odpowiadam jedynie przed sobą. A co do flirtowania, to mylisz się podobnie jak lord Dunstan.

Przysunął się o krok.

- Więc to był lord Dunstan? Słyszałem o nim. Za zaszczytami, jakie na niego spadały, trzeba widzieć krew niewinnych chłopów. Powie i zrobi wszystko, by przypodobać się królowej, póki ta będzie gotowa nagradzać jego lojalność bogactwem i władzą. - Obrzucił Annę Claire długim i uważnym spojrzeniem. - Mam podstawy sądzić, że twoje próby odrzucenia jego umizgów były nieszczerze, pani. Pomimo jego zuchwałego natręctwa, pozwalałaś mu mówić do siebie. - Jego głos nabrał chrapliwych tonów. - I widziałem na własne oczy, jak pozwalałaś mu się dotykać.

Gwałtowność, z jaką czynił te wyrzuty, zaskoczyła ją. Wszystko w niej wrzało. Niewiele brakowało, by wybuchła.

-- Nie będę stała tu i dyskutowała z człowiekiem twego pokroju, Rory O'Neil.

- Nie. Szczególnie gdy brakuje ci argumentów. Nie pozwolę ci pozbyć się mnie niczym natrętnego żebraka.

Bez zastanowienia chwycił jej ramiona i przyciągnął do siebie.

Zapalczywość zawsze była jego bolączką. Przed chwilą, kiedy przystojny nieznajomy dotykał Anny Claire, w jego duszy szalała burza. A jakby tego było jeszcze za mało, przywołane imię ojca Anny Claire rozjuszyło go jeszcze bardziej. Zaczął działać bez przemyślenia, wiedziony impulsem. Jego duże twarde dłonie zamknęły się na jej ramionach żelaznymi obręczami, a roznamietnione usta poszukiwały jej oczu, policzków, czoła i ust.

Namiętność spotkała się z namiętnością. Efekt był jak uderzenie mieczem. Cofnął się gwałtownie, by spojrzeć na tę, która odpowiedziała na jego pocałunki. Nie mógł do końca w to uwierzyć. Czuł w skroniach pulsowanie krwi płynącej prosto z serca.

Anna Claire nagle zamarła, jakby zaczęło jej coś zagrażać. Mężczyzna, do którego się tuliła, był nagi, przynajmniej od pasa w górę. To jego obnażonego ciała dotykała rozbieganymi dłońmi. Czuła mrowienie w koniuszkach palców. Czym innym było dotykać go, gdy leżał nieprzytomny i trawiony gorączką, a czym innym, kiedy przeżył mięśnie i płonął z zupełnie innego powodu.

Kiedy uświadomiła sobie to wszystko, próbowała go odepchnąć.

- Jak śmiesz, Rory O'Neil. Puść mnie. Natychmiast.

Myślał o tym. Przez chwilę. A później równie szybko zignorował jej protesty. W tym oszałamiającym momencie cały jego gniew gdzieś się ulotnił. Zastąpiło go coś bardzo dziwnego - dojmujące, gwałtowne pragnienie. Czuł ciepło jej oddechu na swym policzku. Widział pociemniałe oczy przypominające kolorem morze przed sztormem. Oddychał wonią róż unoszącą się wokół jej postaci.

Pochylił głowę i dotknął ponownie jej ust. Tym razem miarkował swą namiętność. Ale jakkolwiek teraz jego pocałunek był mniej dziki, to równie gorący. Jej wargi miały smak tak upojny i słodki jak nektar w kielichach kwiatów w letnim ogrodzie, zroszonym o poranku ciepłym deszczem. Lecz przede wszystkim była w nich jakaś niewinność, świeżość młodości i panieństwa. A mimo to pulsowało w nich pożądanie. Zaskoczyło go to i zachwyciło zarazem.

Anna Claire słyszała bicie swego serca i czuła, że poca się jej dłonie, którymi gładziła jego nagie ramiona i plecy.

Całowała się już z kawalerami. Kandydatów do ręki miała bez liku. Wielu liczyło na jej posag, a potem spadek po bogatym i potężnym lordzie Thompsonie. Zdarzali się też i tacy jak lord Dunstan, którzy myśleli, że ich tytuły i przywileje dają im prawo do bezczelnych żądań. Anna Claire do tej pory starała się unikać tych wszystkich pułapek miłosnych. Aż stało się - nagle i niespodziewanie.

Nie mogła nic poradzić na to, iż topniała jak wosk w rękach Rory'ego O'Neila. Jego wargi były pełne żaru, pierś falowała niczym morze, dłonie szalały. A jej serce waliło jak młotem. Wołałaby, żeby nie usłyszał tego zdradzieckiego bicia.

Oślabła i poddała się. Lekkie westchnienie wyrwało się jej z ust, ramionami otoczyła jego szyję. Wtedy poszukał dłońmi jej piersi. Były cudownie twarde, choć już nie dziewczęce. Zaczęła się wykręcać, przelękniona tym szturmem. Wysłuchał tej niemej prośby i przeniósł dłonie na jej plecy, które zaczął pieścić i głaskać, podczas gdy wargi spijały nektar z jej ust.

Cudowna. Niewinna, a zarazem namiętna. Nieśmiała i bezpośrednia aż do zuchwałości. Niezdecydowana, a równocześnie świadoma swych pragnień.

Był pod wrażeniem nieprzepartej siły swojego pożądania. Przemknęła mu przez głowę myśl, by wziąć ją tu i teraz, nie oglądając się na nic. Krew pulsowała mu w skroniach. Wiedział, iż jeśli natychmiast nie przerwie tej ryzykownej gry, przekroczy za chwilę wszelkie dopuszczalne granice. Ale wciąż się ociągał z podjęciem ostatecznej decyzji. Zbyt wielką czerpał radość z pocałunków i pieszczot.

W końcu jednak zdobył się na odwagę wyrzeczenia. Oderwał usta od jej warg.

- Wykonuję jedynie twoje rozkazy, pani - uśmiechnął się do niej na poły ironicznie. - Nakazałaś, bym cię puścił.

- Rzeczywiście - rzekła przez ściśnięte gardło. Cofnęła się o krok, by jak najprędzej zerwać fizyczny kontakt. Nadal czuła na wargach tajemniczy smak jego ust. Jej oddech był płytki i nierówny. Kilka razy przełknęła ślinę, nim wykrztusiła:

- Jeśli już czujesz się na tyle zdrowy, by mnie napastować, to tym bardziej możesz opuścić mój dom. Chciałabym, żebyś zrobił to bezzwłocznie.

- Stanie się, pani, wedle twego życzenia - rzekł z szerokim uśmiechem na wargach. - Lecz gdybyś zechciała zdobyć się na szczerość, to przyznałabyś, że nie musiałem używać siły.

Poczuła, że się czerwieni. Jego słowa odniosły skutek. Bo to była prawda. Otrzymał to, czego chciał, prawie bez żadnych starań i zabiegów. I jeśli ta prawda miała być dopowiedziana do końca, to już od dawna pragnęła, by pocałował ją jeszcze raz. Od dawna marzyła o cudownym dotyku jego ust.

Odwróciła się, by ukryć zawstydzenie.

- Najlepiej zrobisz, odjeżdżając tuż przed świtem. Tym sposobem nikt cię nie zauważy.

Spodziewała się sprzeciwu z jego strony, jakiejś utarczki słownej. Toteż zaskoczyło ją jego milczenie. Spojrzała za siebie, gotowa do ataku i obrony.

Rory stał oparty o blat stołu. Był śmiertelnie blady. Krew sączyła się z jego zranionego ramienia, ściekając po plecach cienką czerwoną strużką.

Podbiegła i przyjrzała się ranie. A potem objęła go w pół i poprowadziła ku schodom.

- Widzisz, co narobiłeś. - Gniew był bardzo bezpiecznym uczuciem. Z gniewem nie wiązało się żadne ryzyko. Gniew potrafił zmusić ją do podjęcia natychmiastowej akcji.

- Gdzie... mnie zabierasz? - spytał przez zęby.

- Na górę, do łóżka.

- Dopiero co kazałaś mi opuścić ten dom.

- Sytuacja się zmieniła. Rany ponownie się otworzyły.

Nie miał ani ochoty, ani siły na kłótnie. Otrzymał odroczenie wygnania. Nie był wszak pewien, gdy wspinał się z nią po schodach, czy ma traktować, to jako błogosławieństwo, czy też jako przekleństwo.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Czy znów będzie pani jadła tutaj? - Glinna, krzątając się po pokoju, przyglądała się Annie Claire. - Może zaszkodziła pani jakaś potrawa na wczorajszej wieczerzy u lady Thornly?

- Ale skądże znowu. Nie jestem chora, Glinna. Tylko trochę zmęczona. Zostaw tacę i wracaj na dół pomagać Bridget.

- Oczywiście.

Gdy tylko za służącą zamknęły się drzwi, Anna Claire uniosła się z łoża i dokończyła porannej toalety. Następnie ubrała się w to, co przygotowała dla niej Glinna, i balansując po schodach z zastawioną tacą, wspięła się do pokoiku na poddaszu. Bez wątplenia, pomyślała z westchnieniem, dziewczyna martwi się jej złym samopoczuciem. Prawda jest taka, że faktycznie nie ma humoru. Wolałaby pozostać tego ranka w swoim pokoju, niż stawać twarzą w twarz z Rorym O'Neilem. Miała go dosyć po dzisiejszej nocy. Kiedy już obandażowała mu ramię i ułożyła do snu, nie zapominając podać środków nasennych, długo jeszcze o nim myślała. Myśli zmieniły się w ciemne wizje, których jedyną rolą było odebranie jej cennych godzin snu. Irlandzki buntownik rozbudził w niej namiętności i pragnienia, o których nikt nie powinien się dowiedzieć.

Westchnęła. Jeszcze dzień lub dwa i usunie go ze swe-



go życia. Lekkim pchnięciem otworzyła drzwi. Wśliznęła się do środka napięta i podenerwowana. Świadomość, że Rory niebawem zniknie z tego domu, bynajmniej nie działała kojąco.

- Dzień dobry. - Postawiła zdecydowanym ruchem tacę na stoliku i odwróciła się.

Twarz Irlandczyka miała kolor popiołu. Zaciskał dłoń na zranionym ramieniu.

Zbliżyła się do chorego.

- Co się dzieje? Czy coś cię boli?

- Nie mogę... poruszyć tą cholerną ręką.

Usiadła na krawędzi łóżka.

- Jestem pewna, że to jedynie przejściowy stan zapalny spowodowany otwarciem się rany.

- Nie. Tej nocy próbowałem podnieść mój miecz, on zaś wyslizgnął mi się z dłoni. Nie mogłem go utrzymać. Brak mi w prawej ręce władzy i czucia.

Z bliska mogła odróżnić pojedyncze krople potu na jego czole i górnej wardze.

- Za wiele żądasz od siebie, Rory. Jeszcze za wcześnie na władanie mieczem. Jestem pewna, że do jutra wszystko będzie dobrze.

- Nie rozumiesz. - Lewą dłonią oplótł jej nadgarstek. Jak zwykle, tak i teraz siła jego uścisku pozbawiała ją wszelkiej chęci oporu. - Pieszczę się z sobą niczym dama w połogu. Leżę tu w łóżku, podczas gdy powinienem prowadzić mych ludzi do nowych bitew. A teraz spadła na mnie kara. Jestem bezbronny niczym dzieciuch.

- Powiedziałaś „kara”?

- Tak. .

- Bez wątpienia za grzech lenistwa.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Czy drwisz sobie ze mnie?

Skrywając uśmiech, powiedziała przez zęby:

- Myślisz, że śmiałabym drwić z największego z żyjących gwałtowników, Czarnego O'Neila?

Patrzył na nią zwięzonymi oczami. Wyglądała olśniewająco w sukni koloru wrzosu i z tą pełną niewinności świeżością policzków. Jej oczy migotały wewnętrznym światłem, czyniąc ją jeszcze bardziej godną pożądania. Słyszał jej niski głos, ciągle szepczący w jego zmysłach. Drażniła się z nim, urągała mu, szydziła sobie z niego, a mimo to stawała mu się coraz droższa i droższa.

- Dobrze się bawisz moim kosztem, Anno Claire. I to teraz, kiedy leżę tutaj bezsilny i zdany na twoją łaskę i nie-łaskę.

Spojrzała na jego rękę, zaciśniętą na jej nadgarstku.

- Jeśli teraz nazywasz siebie bezsilnym, to nie chciałabym, doprawdy, mieć z tobą do czynienia, gdy jesteś w normalnym stanie.

Uświadomił sobie wreszcie, że sprawia jej ból, i puścił jej rękę. Miał nadzieję, że uścisk nie był aż tak mocny, by pozostawić siniaki na gładkiej skórze. Uniósł się do pozycji siedzącej.

Anna Claire dostrzegła, że skrzywił się z bólu. Pośpiesznie poprawiła poduszki, wygładziła koce, a następnie z tacy wzięła miskę z owsianką.

- Jeśli chcesz wrócić szybko do zdrowia, to musisz się dobrze odżywiać. Bridget ugotowała ją specjalnie dla ciebie.

Gdy pełną owsianki łyżkę zbliżała do jego ust, Rory spoglądał na nią zachmurzony.

- Nie jestem dzieckiem, które trzeba rozpieszczać. Nie wymagam karmienia. Sam sobie poradzę.

- Proszę bardzo. - Wręczyła mu miskę i łyżkę i zajęła się nalewaniem herbaty do filiżanek.

Z owsianką uporał się zadziwiająco prędko. Przyszła kolej na ciasteczka i herbatę. Jadł w milczeniu, na pozór z apetytem. Był to dobry sygnał. Miała nadzieję, że już wkrótce powróci do zdrowia.

- A teraz twoje ramię... - Dostrzegła, że wciąż się na nią boczy. - Powinieneś zacząć je ćwiczyć, ale nie nazbyt forsownie. Zacznij od najłatwiejszych ćwiczeń. Po niedługim czasie, jeśli nie będziesz od razu rwał się do miecza, ramię powinno odzyskać dawną sprawność.

- Łatwo dawać ci takie rady. To nie ciebie boli.

- Musisz pokonać ten ból.

- Naprawdę? - Obrzucił ją wściekłym spojrzeniem. - A skąd ty w ogóle znasz się na takich rzeczach?

- Opiekowałam się przez kilka lat chorą matką. Niestety, umarła.

Nie udało się jej powiedzieć tego chłodno i rzeczowo. Nutka bólu zabrzmiała w jej głosie. Rory patrzył i słuchał, domyślając się, że to smutne wydarzenie miało miejsce nie tak dawno temu.

- Leżenie w łóżku przez dłuższy czas jest zabójcze. Mięśnie zaczynają wiotczeć, chory opada z sił. Dotyczyło to też mojej matki. Odkryłam, że dzięki masażom i odpowiedniej higienie można spowolnić ten proces.

Obserwował ją w milczeniu, uświadamiając sobie, że już

kolejny raz sprowokował ją swym zachowaniem do smutnych wspomnień.

Odebrała mu pustą miszkę i postawiła ją na tacy. Czyniąc to, starała się unikać jego spojrzenia.

- Powinniśmy zacząć od prostego zginania i rozprostowywania ręki. Chodzi o to, by rana znów się nie otworzyła. Straciłeś wystarczająco dużo krwi. Jeżeli będziemy postępować ostrożnie i rozsądnie, to myślę, że uda nam się wkrótce przywrócić pełną sprawność ręce.

- My? Czyli ty i ja, czy tak? - Ton jego głosu był twardszy, niż to sobie zamierzył. Szarpiący ból i słabość, jak również świadomość, że oto leży przykuty do łóżka, podczas gdy inni cieszą się zdrowiem i swobodą, wszystko to sprawiło, że zapragnął na kimś wyładować swą złość. - Wydaje mi się, że to ja będę odwałał całą robotę, wzmacniał ramię. Co w takim razie ta druga część „nas” będzie robiła?

- Będę pomagała.

- Jeśli to wszystko, to poradzę sobie bez ciebie. - I by to udowodnić, chwycił swe prawe ramię i uniósł do góry.

Ból przeszył go na wskroś. Jęknął. Ręka opadła bezwładnie. Odkrył ze zdziwieniem, że nie ma siły nawet zacisnąć palców.

Świadoma, że wszystko to wynikło raczej z nadmiaru dumy niż gniewu czy niechęci, Anna Claire poczuła ciepło w okolicy serca. Zdołała jednak ukryć wzruszenie. Współczucie było ostatnią rzeczą, jakiej ten mężczyzna potrzebował i oczekiwał. Był w kiepskim nastroju i wołała go nie drażnić.

Wzięła tacę i skierowała się ku drzwiom.

;

- Cóż, jeśli jesteś taki samodzielny, to radź sobie sam.
- Anno...

Na dźwięk swego imienia zawahała się, a po chwili odwróciła z uprzejmym uśmiechem na twarzy.

- Czy jeszcze czegoś potrzebujesz?
- Potrzebuję... - Gardził sobą za tę słabość. Nie miał jednak wyboru. W tym momencie to była jego jedyna szansa.
- Wygląda na to, że potrzebuję twojej pomocy.

Przecięła szybkim krokiem pokój i odstawiła tacę na stolik. Wyprostowała się i zakasała rękawy. Widząc jej energię i zapał, zaklął pod nosem.

- Zaczynasz mówić rozsądnie. Nie ma co zwlekać. Bierzmy się do rzeczy.

Gdy usłyszała, jak zaakcentowała to „my”, ponownie cicho przeklął.

- Prawdopodobnie będzie ci wygodniej na krześle. - Podała mu rękę i pomogła wstać z łóżka.

Usiadł obłany potem, a przecież wysiłek nie był wielki, Ukłękła przed nim i ujęła jego prawą dłoń.

- Czy boli? - zapytała, masując mu palce.
- Troszkę: - Widząc ją klęczącą u swych stóp, nie myślał o bólu. Gdyby znała jego myśli, prawdopodobnie spaliłaby się ze wstydu. Wdychał zapach róż, który chyba nigdy jej nie opuszczał. Stwierdził, że choroba nie musi być koszmarem, gdy się ma taką opiekunkę.

- Świetnie. - Wciąż masowała mu palce, na przemian zaciskając dłoń i ją rozwierając.

Czuł mrowienie i kłucie, a w barku dotkliwy ból. Zdecydowany był jednak znosić wszystko w milczeniu.

Miała długie palce o szlachetnie ukształtowanych pazno-

kciach. Jej dłonie były wręcz stworzone do miłosnych pieszczoł. Gorąco zrobiło mu się na myśl, że mogłaby dotykać nimi innych części jego ciała. Natychmiast skarcił się w duchu za tę lubieżność. "Wreszcie uśmiechnął się.

Nie uszło to jej uwagi.

- Widzę, że dobrze się bawisz.

Uniósł brew.

- A powinienem się smucić?

- Nie będzie ci do śmiechu, kiedy przejdziemy do następnych ćwiczeń.

- Jakich, jeśli można wiedzieć?

- Ćwiczeń całego ramienia. Już moja w tym głowa, byś z wojownika nie stał się chłopcem. Niebawem będziesz wymachiwał swoim mieczem nie gorzej, jak czyniłeś to w porcie, gdy zostałeś ranny.

- Czy już ci wspomniałem, że wpadłaś mi wtedy w oko?

Spojrzała ze zdziwieniem w górę.

- Jak to możliwe? Dostrzegłeś mnie w tym tłumie?

- Chyba nie zaprzeczysz, że tam byłaś?

- Rzeczywiście. I widziałam całą bitwę, którą ty i twoi ludzie stoczyliście z angielskimi żołnierzami. Tylko jak to możliwe, że w tym tłumie i tłoku, zaprzątnięty walką, zwróciłeś na mnie uwagę?

- Jest niemożliwością nie zauważyć cię, pani. - Jego niski, gardłowy głos był jak pieszczota. - W porcie było wówczas wiele kobiet, ale ja zapamiętałem sobie tylko twoją twarz.

Schyliła głowę, by ukryć rumieniec, który rozpałił jej policzki. Ale nie mogąc całkowicie wyrzec się patrzenia na niego, od czasu do czasu zerkała spod opuszczonych rzęs.

- Masz piękne oczy, Anno Claire. Czy wiesz, że oczy to zwierciadło duszy?

W tym zwierciadle dostrzegł, że jej dusza jest czysta i niewinna.

- Myślę, że powinieneś przestać bawić się w poetę i skupić się na pracy.

- Tak, praca - powiedział z uśmiechem. - Jeśli to jest praca, to chętnie zatrudnię się do takich robót do końca życia.

- Przypomnę ci twoje słowa jutro, kiedy przejdziemy do trudniejszych zadań.

Jakie miały być to zadania, nie wiedział, ale poważnie się ich zląkł, bo już teraz zaczęła zginać i prostować jego rękę.

Ból wywołany tym prostym ruchem zmusił go do zaciśnięcia zębów.

- Przepraszam, że tak cię dręczę, ale to konieczne, jeśli chcesz odzyskać władzę w ręce.

- Rozumiem. - Nabrał w płuca powietrza, jak przed skokiem do wody. Wściekły ból przeszył mu ramię rozpalonym ostrzem. Bark miał całkiem zdrętwiały.

Kilka razy powtórzyła ćwiczenie, aż ulitowała się nad nim i dała mu spokój. Usłyszała westchnienie ulgi.

Wstała i strzepnęła spódnice. Odwróciła się.

- To wszystko? To w ten sposób zamierzasz pomóc mi odzyskać zdrowie?

Omam nie wybuchnęła śmiechem, widząc jego pełne udręki spojrzenie.

- Czyżbyś zapomniał już, jak poważnie zostałeś ranny? To cud, że w ogóle przeżyłeś. Jeśli będziesz ćwiczył zbyt forsownie, może się to obrócić przeciwko tobie. Teraz potrzebujesz odpoczynku.

Zdusił w ustach przekleństwo, kiedy pomagała mu ułożyć się w łóżku i podawała kubek wody, do którego wsypała wcześniej środki nasenne.

Gdy zamykała za sobą drzwi izdebki, on był już w objęciach snu. Usnął z wyobrażeniem dotyku jej dłoni i wypełniającym mu nozdrza zapachem róż.

- Pani, czy mogę wejść?

Chwilę po tym, gdy Anna Claire wróciła do siebie, usłyszała na korytarzu głos Glinny. Uporządkowała suknię, przygładziła włosy i otworzyła drzwi.

- Glinno, coś tak ważnego zmusiło cię do przyjścia o tak późnej porze?

- Przychodzę na polecenie Bridget. Przybył lord Davis.

- Zniżyła głos: - I nie jest sam. Jest z nim jakiś przystojny młody kawaler.

Oczy Anny Claire zwęziły się.

- Lord Dunstan?

- Tak właśnie się nazywa. On i lord Davis oczekują w salonie. Czy przebierze się panienka w coś bardziej eleganckiego?

Anna Claire spojrzała kątem oka na swe odbicie w lustrze. Suknię miała pomiętą, a włosy w nieładzie, choć niedawno przygładzała je dłońmi. Ale jakoś nie miała ochoty stroić się na spotkanie z lordem Dunstanem.

- Dziękuję, Glinno. Nie będę się przebierała. Możesz zanieść tę tacę na dół.

Dziewczyna nie potrafiła ukryć swej dezaprobaty. Gdyby to jej złożył wizytę mężczyzna choćby w połowie tak wspinały jak lord Dunstan, poruszyłyby niebo i ziemię, by wy-



glądać jak najlepiej. Poza tyra cała służba medytowała nad przyszłością Anny Claire. Straciła zbyt wiele lat, opiekując się chorą matką. Teraz była zbyt dojrzała, zbyt niezależna i zbyt obojętna na te sprawy, żeby rozglądać się za mężem. Jakiż mężczyzna zaproponowałby swoje nazwisko i fortunę kobiecie, która nie ma najmniejszego pojęcia, jak użyć swych niewieścich wdzięków?

Mała pokojówka spoglądała krytycznym okiem na schodzącą przed nią Annę Claire.

- Lordzie Davis. - Anna Claire zawahała się na progu, by jednak po chwili śmiało wkroczyć do pokoju i nadstawić policzek.

- Moja droga. - Starszy pan czule ją pocałował. - Mam nadzieję, że nie sprawiliśmy ci kłopotu tym najściem.

- Jesteś dla mnie jak ojciec, lordzie Davis. Nigdy nie będziesz w tym domu intruzem.

Obdarzył ją promiennym uśmiechem.

- Lord Dunstan i ja wybieramy się do portu, by przywitać naszego przyjaciela przybywającego z Londynu. Pomyśleliśmy więc, że mogłabyś przyłączyć się do nas i zażyć świeżego powietrza.

- Przykro mi, panowie. Mam... umówione spotkanie.

- Zechciej w takim razie, pani, skorzystać z mojego powozu - zaproponował grzecznie lord Dunstan. - Będzie dla mnie zaszczytem oddać na twe usługi powóz i woźnicę.

- Dziękuję, lordzie Dunstan. - Podała mu dłoń do ucałowania. - To bardzo uprzejme z pana strony, ale już wydałam stosowne polecenie. Tavis ma przygotować mój powóz.

- Może zatem innym razem przyjmie pani moją propozycję?

Skinęła głową, uśmiechając się z przymusem.

- Z prawdziwą przyjemnością.
- Może jutro?
- Obiecałam lady Thornly, że złożę jej jutro wizytę.
- Zatem lord Davis i ja zjawimy się tu po panią. Również planowaliśmy odwiedzić drogą lady. Nieprawdaż, Charles?

Starszy mężczyzna przytaknął, szczerząc zęby w uśmiechu niczym koń na widok owsa.

Anna Claire wiedziała bardzo dobrze, że została złapana w pułapkę. Poczciwy lord Davis z determinacją grał rolę swata. Dunstan natomiast z uporem dążył do celu. Nie pozostało jej nic innego, jak przyjąć porażkę z honorem.

- Dziękuję, lordzie Dunstan. Miło jest mieć opiekuna, ale jeszcze milej dwóch.

Uklonił się na sposób dworski.

- Zatem do jutra, pani.

Odprowadziła ich do drzwi i patrzyła, jak wsiadają do powozu. Następnie, by jakoś zagłuszyć wyrzuty sumienia, nakazała Tavisowi przygotować powóz. Możliwe, że przejażdżka na świeżym powietrzu jest całkiem dobrym pomysłem. Będzie miała okazję przemyśleć pewne sprawy, a może nawet pokusi się o rozwiązanie nabrzmiałych problemów.

Wróciła do swojej komnaty i zamarła. Zobaczyła uchylone drzwi wiodące na poddasze. Rory stał trochę w głębi, na drugim czy trzecim stopniu wąskich schodów i opierał się o barierkę.

- Co ty wyprawiasz? - spytała oburzona.

- Kontroluję sytuację.  
- W tej chwili powinieneś leżeć i spać.  
- Owszem. Spałem. Obudziła mnie prowadzona na dole rozmowa. - Zbliżył się ku niej. - Czegóż znowu chciał ten twój Anglik?

- Mówiłam ci już, że on nie jest moim Anglikiem. Zaproponował mi swój powóz.

- Założę się, że z sobą w środku.

- To nie twoja sprawa, Rory O'Neil.

Złapał ją za ramię.

-- Do diaska, Anno Claire. Wszystko, co się dzieje w tym domu, jest moją sprawą. Ten mężczyzna jest takim samym rzeźnikiem jak Tilden. A ty pozwalasz mu przymilać się i umizgać do siebie.

Jej oczy zapłonęły.

- Nic nie poradzę na jego unizgi. Wiedz, że żaden mężczyzna nie dopnie celu bez mego pozwolenia. Lord Dunstan jest daleko od domu i szuka towarzystwa. Zobaczył we mnie pokrewną sobie duszę.

Rory zaczerwienił się z gniewu.

- Jeśli tak myślisz, to jedynie robisz z siebie idiotkę, Anno Claire. Ten mężczyzna kieruje się wyłącznie fizycznym pożądaniem. Zresztą trudno mu się dziwić. - Przejechał kciukiem po jej pełnych wargach. - Jesteś najcudowniejszą kobietą pod słońcem.

Cofnęła się z obawy, że mogłaby zdradzić, jak bardzo chce być przez niego dotykana.

- Mówisz od rzeczy, Rory. To środki nasenne tak na ciebie działają.

- Leki mogą mnie osłabić, ale nie mogą wpłynąć na oce-

nę tego, co widzę. Czy nie dostrzegasz w sobie tego, co uważają inni, Anno Claire?

- Dostrzegam... - Zawiesiła głos. Prawdę powiedziawszy, widziała swoje odbicie w jego oczach. Ogarnęło ją dziwne uczucie. Była przyzwyczajona do pochlebstw różnych bawidamków. Słowa uznania dla jej urody w ustach ludzi pokroju lorda Dunstana brzmiały gładko i protekcyjalnie. Kiedy jednak wypowiadał je ten mężczyzna, nabierały całkiem nowego znaczenia.

- Chodźmy - wskazała na schody. - Musisz wrócić do łóżka, zanim zemdlejesz tu, w moim pokoju.

Nie oponował. Ostudził swe podniecenie długim, głębokim oddechem, a potem powoli zaczął pokonywać stopnie. Anna Claire podążyła za nim.

Kilka minut później, leżąc już w łóżku, słuchał odgłosów dochodzących z dołu. Wkrótce dobiegł go turkot kół powozu na dziedzińcu, a potem nastała cisza.

Zapomniał o bólu i wzburzeniu. Leżał spokojnie, jakby pogodził się z losem. Myślał o Annie Claire. Różniła się od kobiet, które poznał do tej pory. Błyskotliwa, wykształcona, naturalna, miała ostry dowcip i subtelną inteligencję. Była bogatą młodą kobietą, która jednak zdawała się unikać uciech wielkiego świata. Mieszkała w dużym, pięknie urządzonym domu, jednakże wiodła w nim życie proste i skromne. Odznaczała się wyjątkową urodą, a równocześnie wszystko wskazywało na to, że nie jest świadoma swego wpływu na mężczyzn.

Ponadto była córką lorda Jamesa Thompsona, bliskiego przyjaciela i doradcy królowej.

Kiedy ostatecznie zapadł w sen, obraz jej uroczej twarzy-

czki pojawił się w jego marzeniach. Byłby zdumiony, gdyby wiedział, że jadącą powozem Annę Claire zaprzatają podobne myśli. Pociągał ją ten buntownik ukrywający się w jej domu i gorączkowo szukała pretekstów, by nadal się nim opiekować.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Słyszałam, lordzie Dunstan, że spotkałeś się wczoraj w porcie z przyjaciółmi. - Lady Thornly zaprosiła gości do przytulnego saloniku. Siadając, rozłożyła jak wachlarz swoją spódnicę. Jej goście zajęli miejsca w ustawionych w krąg fotelach. - Czy przywieźli jakieś nowe wieści?

Dunstan wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Królowa otrzymała moje pierwsze sprawozdanie i spełniła mą prośbę, przysyłając statek z wojskiem. Natychmiast wydałem rozkaz przeszukania całego miasta, by znaleźć irlandzkich rozbójników.

Serce Anny Claire niemal przestało bić.

- Przypłynął dodatkowy kontyngent żołnierzy?

- Jej Wysokość zapewniła mnie, że wszystkie me rady weźmie sobie do serca - powiedział z naciskiem Dunstan. - Poza tym to właśnie w tym celu przysłała mnie tutaj. Abym słał jej raporty o sytuacji na wyspie.

Anna Claire wzięła głęboki oddech. Zmuszona była znośić towarzystwo lorda Dunstana przez całe popołudnie. Przystawszy na to, próbowała przynajmniej zebrać wszystkie informacje dotyczące ostatnich wydarzeń.

- Myślę, że teraz rebelianci opuszczą Dublin i ukryją się po wioskach. Czy zgadzasz się ze mną, panie?

- Nie, pani. Nie zgadzam. Żołnierze są rozstawieni na

wszystkich drogach prowadzących do Dublina. Jak dotąd żaden z rozbójników nie został jeszcze złapany. A to dowodzi, że zdecydowali ukryć się gdzieś tutaj, w mieście.

- Cóż zatem zrobicie? - W jej głosie słychać było wyraźnie napięcie. - Będziecie chodzić od drzwi do drzwi i przeszukiwać domy?

- Owszem, jeśli zaistnieje taka konieczność. Ale jest prostszy sposób.

- A jakież to? - zapytała lady Thornly.

- Wyznaczyć taką nagrodę za ich głowy, a szczególnie za głowę ich przywódcy, że nawet ich własnym ludziom będzie trudno to zignorować. Poza tym połowa tych chłopów przymiera głodem. Myśl o bogactwie leżącym na wyciągnięcie ręki powinna przynajmniej paru skłonić do zdrady. W tej chwili musimy jedynie poznać kryjówki choć kilku z tych szurów. Pokażemy na ich przykładzie, jakie mogą być konsekwencje gwałcenia porządku. Mieszkańcy tak się przerażą, że odmówią schronienia nawet swym synom i braciom. I tym sposobem ta żałosna rebelia zdechnie niczym skrofuliczny pies.

- Zaprawdę, godne podziwu jest zdecydowanie naszego gościa. - Lady Thornly sączyła jasne piwo i przerzucała spojrzenie z Dunstana na Annę Claire. - Nie uważasz, moja droga?

Anna Claire odpowiedziała, ostrożnie dobierając słowa:

- Siła jest czymś, co wszyscy możemy podziwiać. Ale jestem ciekawa, czy nie zapominamy o woli tkwiącej w ludzkiej Irlandii.

- Czyżbyś uważała, że żadna suma pieniędzy nie popchnie Irlandczyka do zdrady?

- Nie wiem. W każdym narodzie znajdują się ludzie niegodni.

- Liczę na to. Potrzebuję przynajmniej jednego człowieka, który przyjdzie do mnie z właściwym adresem. Wtedy Czarny O'Neil będzie mój.

- Ufam, że masz rację - stwierdził lord Davis, próbując ukryć ziewanie. Spędzili większą część dnia w gościnie u lady Thornly, a teraz, kiedy już kończyli obiad, zmierzch otulił miasto. - Jeśli dasz sobie radę z tym buntownikiem, królowej spadnie kamień z serca.

- Kto wie? - Głos lady Thornly był pełen szacunku. - Może wdzięczna Elżbieta uczyni cię gubernatorem tej wyspy, lordzie Dunstan.

- I byłyby to godna oklasków decyzja - żywo podjął lord Davis. - Myślę, że Irlandia daje wielkie możliwości ludziom dynamicznym. Owszem, jest tu bieda, ale są też bardzo urodzajne tereny i kilka naprawdę pięknych posiadłości.

Starszy pan spojrział na Annę Claire, której twarz wydawała się dziwnie blada w blasku świateł.

- Ucichłaś, moja droga. Czy jesteś zmęczona?

- Troszkę.

- W takim razie musimy już iść. - Wstał i podszedł do niej, podając ramię.

Obrzuciła go wdzięcznym uśmiechem. Ten sam uśmiech towarzyszył jej podczas pożegnania z gospodynią oraz w trakcie nudnej jazdy do domu w towarzystwie lorda Dunstana. Na koniec jej cierpliwość ponownie została wystawiona na próbę. Dunstan zwlekał z puszczeniem jej ręki.

- Dobranoc, lordzie Dunstan.



- Dobranoc, pani. Dziękuję za cudowne popołudnie. Czy mogę odwiedzić cię jutro?

- Przykro mi, ale prawie cały dzień nie będzie mnie w domu.

- Rozumiem. - Nie zrażony tą odmową, przebiegle się uśmiechnął. - Zdajesz sobie sprawę, że za każdym razem, kiedy mi odmawiasz, jedynie powiększasz mój apetyt? W takim razie może pojutrze?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, potrząsnął głową.

- Nie teraz, pani. Przyślę jutro woźnicę po odpowiedź. Dobranoc.

Patrzyła, póki jego powóz nie znikł w gęstniejącym mroku.

Potem zamknęła drzwi i wspięła się po schodach na piętro.

W swojej sypialni zastała Glinnę. Musiała więc udawać, że przygotowuje się do snu.

- Czy ma pani ochotę coś przekąsić?

- Dziękuję, Glinno. Poproszę jedynie o herbatę i trochę ciasteczek.

- Zaraz powtórzę Bridget.

Bridget zjawiała się po chwili z tacą. Zamknęła za sobą drzwi i powiedziała półgłosem:

- Gdy panienki nie było, odwiedziłam naszego gościa.

- Dziękuję, Bridget. I co z nim?

- Zachowuje się jak wszyscy mężczyźni, którzy zaczynają odzyskiwać siły. Gwałtownik. Niecierpliwy. Skłonny do użalania się nad sobą.

Anna Claire roześmiała się.

- Twój opis idealnie pasuje do Rory'ego O'Neila. Czy coś jadł?

- Niewiele. Jak tylko usłyszał, że wyjechałaś na cały dzień, odepchnął tacę i wpadł w zły humor.

Z jakichś dziwnych powodów Anna Claire miała teraz wyśmienity nastrój.

- Jestem pewna, że nadrobi to. Lepiej przygotuj więcej owsianki.

- Ma się rozumieć. - Bridget kiwnęła głową w stronę tacy. - Nałożyłam wystarczająco dużo jedzenia dla was obojga. - Spojrzała na Annę Claire. - Na wypadek gdyby panienka zechciała odwiedzić go przed pójściem spać.

- Dziękuję, Bridget. - Nagle uświadomiła sobie, że rzeczywiście chciała go zobaczyć. Wręcz tego pragnęła. - Chyba rzeczywiście zajrzę do niego.

- Dobranoc, panienko.

Gdy tylko gospodyni znikła za drzwiami, Anna Claire wzięła tacę i poszła na górę.

Rory usłyszał ciche stapanie. Leżał, obserwując drzwi i czując dziwną suchość w gardle. Oczekiwanie przyspieszyło bicie serca. Brakowało mu jej. Bez mej dzień wydawał się długi i szary. Czuł ból budzących się pragnień.

Uświadomił sobie, że z utęsknieniem oczekuje jej wizyt, nawet kiedy związane były z tymi okropnymi ćwiczeniami. Wysiłek wart był nagrody. Nie tylko przybywało mu sił, ale ponadto mógł spędzać coraz więcej czasu w jej towarzystwie.

Anna Claire bardzo zmieniała się w ciągu tych ostatnich dni. Początkowo traktowała go z chłodnym dystansem, dotykając jedynie wtedy, kiedy było to konieczne. Czyniła to z prawie lekarską powściągliwością. Ale z czasem odkryła w sobie cierpliwość, o jaką nigdy siebie nie podej-

rzewała. On zaś był zamyślony, uprzejmy i chłodny jak ona. Wydawało się, że zawarli ostrożny rozejm. Były jednak chwile, gdy pod powłoką spokoju dostrzegał dręczący ją niepokój.

Anna Claire weszła z uśmiechem na twarzy. Postawiła tacę na stoliku koło łóżka.

- Dobry wieczór, Rory. Jak ci się powodziło podczas mej nieobecności?

- Większość czasu przespałem jak dziecko.

Rozbawił ją jego grymas.

- Więc dlaczego jesteś taki skrzywiony?

- Ponieważ to dobre dla niemowlaków. Mężczyzna w moim wieku ma trochę rzeczy do zrobienia.

- Sen przyspiesza wyzdrowienie. - Uniosła pokrywę wazy i zapach rosołu rozniósł się po pokoju. - Wygląda na to, że Bridget przeszła samą siebie. - Wręczyła mu parującą miskę, - Pewnie chciałyby, żebyś przybrał na wadze.

Zjadł kilka łyżek. Od razu odzyskał humor.

- Powiedz Bridget, że uważam ją za świętą, a jej potrawy za istne чудо.

- Kiedy jej to powtórzę, zarumieni się jak dziewczynka.

Anna Claire otworzyła wąskie okienko. Wraz z lekką wieczorną bryzą wpadło do środka trochę chłodu. Podczas gdy jadł, rozłożyła mu na krześle czyste spodnie i świeżo wypraną białą koszulę.

- Po cóż mi to?

- Najwyższy czas, żebyś się przebrał.

- Z przyjemnością. - Zrobił ruch ręką ku paskowi, ale uniosła dłoń, by go powstrzymać.

- Wolałabym, żebyś poczekał z tym, dopóki nie wyjdę.

- I zaprzepaścił całą zabawę? Chodź, urocza Anno Claire, pomóż mi zdjąć spodnie.

- Masz we krwi dokuczanie innym, Irlandczyku. Zdejmiesz je po moim wyjściu.

- A w ogóle to dlaczego mam się pozbywać takich dobrych spodni? Przecież Bridget wywabiła z nich plamy krwi.

- Tak, ale nie zdołała zacerować dziur po cięciach nożem i mieczem. Zdecydowałam, że najlepiej będzie je spalić.

- Chcesz je spalić? - Jego wzrok stał się badawczy. - Po co te wszystkie środki ostrożności?

- Wolałabym, żeby twego ubrania nie zobaczył nikt obcy. Każdy, kto widział cię tamtego dnia w porcie, pamięta, co miałeś na sobie. Idę o zakład, że nie ma wielu mężczyzn, którzy kładą się do łóżka w pociętych na strzępy spodniach i koszuli.

Jego głos był zimny jak lód:

- Jeszcze raz pytam cię, Anno Claire, po co to całe zamieszanie wokół mego ubrania?

Zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu:

- Prawda jest taka, że przycumował dzisiaj do nabrzeża kolejny statek. Angielscy żołdacy przeczesują miasto. Lord Dunstan nałożył cenę na twoją głowę w nadziei, że skłoni to innych do zdrady. Za wszelką cenę pragnie zostać tym, który złapie nieuchwytnego Czarnego O'Neila.

Odepchnął jedzenie. Nie po raz pierwszy znalazł się w niepewnej i niebezpiecznej sytuacji. Czuł, że musi zadać jeszcze jedno pytanie.

- Uświadamiasz sobie całe to niebezpieczeństwo, dlatego więc mimo wszystko ukrywasz mnie i pielęgnujesz?

Zabrała pustą miskę i wręczyła mu talerz wołowiny z se-

rem i razowym chlebem. Mięso było jeszcze ciepłe. Niedawno wyjęto je z pieca.

- Jeśli sobie przypominasz, to nie miałam wyboru. Zostało to na mnie wymuszone.

- Mogłaś przecież wezwać żołnierzy.

- Owszem. - Zamknęła okno, zaciągnęła zasłony i podniosła koc, który zsunął się na podłogę.

- Ale nie zrobiłaś tego, Anno Claire. - Chwytał ją za rękę. - Pozwoliłaś mi zostać tu, wiedząc, że naraża to ciebie i wszystkich domowników na straszliwe niebezpieczeństwo. Dlaczego?

Unikała jego wzroku.

- Potrzebowałeś mojej pomocy. Postąpiłabym podobnie z każdą inną istotą będącą w potrzebie.

- Na miłość boską, Anno Claire. Jest wyznaczona nagroda za moją głowę. Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy, co zrobią z tobą Anglicy, kiedy znajdą mnie tutaj?

- Nie znajdą cię. - Wreszcie spojrzała na niego. Poczowała, że gorąco zalewa jej policzki. Uniosła dumnie głowę. - Przecież sam powiedziałeś, że dla ciebie jestem okupantem.

- Powiedziałem wiele rzeczy. Niektórych wstydzę się teraz. - Zniżył głos. - Ale za ciebie mi nie wstyd, Anno Claire. I nigdy nie będzie.

- A skąd to wiesz? Mój ojciec jest jednym z najbardziej zaufanych doradców królowej. I możliwe, że w tej chwili rozmawia z nią, doradzając jej najlepszy sposób wybrnięcia / . irlandzkiego problemu, jak to oni zwykli nas nazywać.

- Widzisz? - uśmiechnął się do niej - Właśnie powiedziałeś „nas”. Uważasz siebie za jedną z nas.

- Przejęzyczenie. Nic więcej.

- Nie. To nie pomyłka. Twoja matka była Irlandką. Twe serce jest tu. Z nami. - Dotknął jej policzka. - Ze mną.

Otrząsnęła się. Starła się nie okazywać żadnych emocji. Ale za każdym razem, kiedy jej dotykał, czuła rozlewając się głęboko w jej wnętrzu ciepło i słyszała szybkie, mocne uderzenia serca.

- Trochę przesadzasz, Irlandczyku. Przeceniasz rzeczywiste znaczenie moich słów. Byłeś ranny. Potrzebowałeś schronienia. Ja wskazałam tę izdebkę. Zrobiłabym to dla każdej zranionej istoty, czy byłby to pies, czy człowiek.

- Tak, masz bardzo miękkie i tklive serce. To kolejna rzecz, którą zaczynam w tobie kochać, Anno Claire.

- Nie - zamachała ręką, próbując nie dopuścić do siebie znaczenia jego słów. - Emablujesz mnie, by złamać mój opór.

- Czy rzeczywiście to robię?

- Mam wrażenie, że zawsze dokładnie wiesz, co zamierzasz zrobić, Rory O'Neil. Teraz również. - Mówiła chłodnym tonem, zdecydowana nie ustępować w żadnym punkcie. - Jeśli przeniesiesz się na krzesło, popracujemy jeszcze przed snem nad twym ramieniem.

- Razem? - Ironiczny błysk ponownie pojawił się w jego oczach.

- Jedyną rzeczą, którą razem zrobimy, będzie ćwiczeni twjej ręki.

Usiadł i podwinął rękaw koszuli, w napięciu czekając na dotyk jej palców. Kiedy stanęła za nim i zaczęła masować mu ramię, zamknął oczy. Głęboko odetchnął.

Dotyk jej dłoni działał nań jak balsam. Przystawał myśleć

Zaczynały nim rządzić zmysły. Chciał ją smakować i kosztować. Rozpaczliwie pragnął ją posiadać. Tu i teraz.

Zacisnął zęby. Najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się przed chwyceniem jej w ramiona.

- Chyba nie robiłeś ćwiczeń, o których mówiliśmy.

- A skąd o tym wiesz?

- Ponieważ mięśnie są twarde i napięte. - Ugniatała mu obojczyk, a on przechylił głowę, by ułatwić jej dostęp.

- Możliwe, że napięcie mięśni spowodowane jest zupełnie czym innym.

- A czymże to, jeśli można wiedzieć?

Westchnął, tyleż z przyjemności, ile z zakłopotania.

- Sama sobie odpowiedz na to pytanie, moja pani.

Przekłęła w duchu wieczorne cienie, które wprowadzały intymną atmosferę do tego małego pokoiku na poddaszu. Sama również poddawała się nastrojowi chwili. Coraz bardziej wzbierała w niej pokusa.

- Wystarczy tego na dzisiaj. - Sięgnęła po kubek z wodą i napiła się. Odzyskała trzeźwość myślenia.

- Tak prędko mnie opuszczasz?

- Niestety, muszę. - Skierowała się ku drzwiom. Nie pozwoliła sobie nawet na jedno spojrzenie za siebie. Jeden rzut oka na tę piękną twarz, uśmiechnięte usta i złośliwy błysk w oczach i byłaby zgubiona.

- Czy odwiedzisz mnie rankiem? A może planujesz spędzić kolejny dzień w towarzystwie tego Anglika?

Dopiero teraz odwróciła się i zmierzyła go wyniosłym spojrzeniem.

- Dożyjesz, to zobaczysz, Irlandczyku.

Kiedy jednak znalazła się w bezpiecznej przystani, jaką

był jej pokój, niemal z jękiem bólu osunęła się na łóżko. Ta gra stawała się coraz trudniejsza. Oszukiwała wszystkich - Rory'ego, Dunstana, królową. Rory'ego oszukiwała w tym sensie, że zamiast po prostu przytulić się do niego, oblekała twarz w maskę chłodnej rezerwy.

- Jak to było dorastać w Anglii, Anno Claire?

Stało się to już ich codziennym rytuałem. Anna Claire przynosiła Rory'emu posiłek, on go zjadał, prznosił się na krzesło i oddawał ramię w jej mocne, a zarazem delikatne dłonie. Wtedy zaczynali gawędzić. Opowiadała mu o swoim dzieciństwie albo wypytywała o jego młodość. Jego rodzice, Gavin i Moira, jego brat Conor i młodsza siostra Briana stali się jej równie bliscy jak własna rodzina.

- Moje dzieciństwo w Anglii było samotne. Byłam jedynym dzieckiem, ponieważ moja matka wciąż zapadała na zdrowiu. Pamiętam, że chciałam mieć braci i siostry, by bawić się z nimi i rozmawiać. Potem mój ojciec uznał, że czas na staranną edukację. Otoczył mnie wianuszek domowych nauczycieli. Musiałam uczyć się dworskiego ceremoniału, muzyki, francuskiego i hiszpańskiego, jak również szlifować angielski. - Zaśmiała się. - Nauczycielka angielskiego stale ganiła mnie za pewne irlandzkie naleciałości, które przejęłam od matki.

Nareszcie Rory dowiedział się, dlaczego tak dziwnie akcentowała sylaby. Jej mowa brzmiała niczym kojąca, cichnąca gdzieś w oddali melodia.

- Szkoda, że nie pobierałaś nauk w Dublinie. Twój irlandzki nauczyciele wzmocniliby twój akcent.

- Pani Morgan zwykła sięgać po różgę, gdy usłyszała u mnie coś irlandzkiego.



- Biła cię? - Na myśl o tym zacisnął zęby. - I co na to twoi rodzice?

- Nie śmiałam im o tym powiedzieć. Matka zawsze była delikatna, słabego zdrowia. Wolałam jej nie martwić i nie denerwować. Więc... znosiłam lanie i starałam się być pilną uczennicą.

Poczuł, że chciałby zawsze chronić tę stanowczą, małą kobietkę.

- A co z twoimi przyjaciółmi?

- Miałam kilku, ale większość z nich uważała, że jestem w niedostatecznym stopniu Angielką. Z kolei inni mówili o mnie, że jestem zbyt angielska. Przypuszczam, że na tej ostatniej ocenie zaważyło moje upodobanie do samotności. - Pragnęła zmienić temat. - Teraz powiedz mi coś o swoim bracie Conorze. Dlaczego rodzice wysłali za granicę jego, a nie ciebie? Jako pierwotnemu taka edukacyjna podróż przysługiwała ci niejako z mocy tradycji.

Zachichotał.

- Nie pojechałbym. Miałem dość książek i nauczycieli. Mnisi z St. Brendan od szczenięcych lat wbijali mi do głowy wiedzę. Ale to nie książki skupiały moją uwagę. Interesowały mnie dzierżawy ojca. Dla mnie zawsze liczyła się tylko ziemia. Nasze cudowne Ballinarin.

Dosłyszała nutę melancholii, jaka zawsze wkradała się do jego głosu, kiedy wspominał o domu. Tęsknotę, której nie ukryła żadna męska buta.

- Dlaczego zatem nie wracasz, Rory?

Potrząsnął głową.

- Nie mogę. Nie wrócę, dopóki nie zakończę swej misji.

- Misji! - Zirytowało ją to słowo. Nie pasowało do zem-

sty na żołdaku o nazwisku Tilden. - Co dobrego przyniesie rodzinie twoja śmierć?

- Absolutnie nic. Oprócz, rzecz jasna, bólu i rozpacz. - Uniósł ku niej twarz. - Oto dlaczego pragnę pozostać przy życiu. Naprawdę żałuję, że musiałem opuścić ich na tak długo. W rezultacie ojciec wypruwa z siebie żyły, choć w tym wieku powinien odpoczywać w ciepłe domowego ogniska, otoczony wnukami. A moja matka, Boże zmiłuj się nad nią, musi wychować młodego Innisa, jedyną istotę, która przeżyła masakrę. Głęboko żałuję, że Briana nie dojrzewa i nie staje się kobietą na moich oczach. I jeszcze Conor. - Jego głos nabrzmiał uczuciem. - Byliśmy ze sobą bliżej niż zwykli bracia. Jeden z nas zwykł kończyć zdanie rozpoczęte przez drugiego. Chociaż wyglądem i charakterem bardzo się różnimy, to mamy identyczne dusze. Każdego dnia tęsknię za nim.

Zacisnęła dłonie na jego ramionach. Przybliżyła wargi do jego ucha. Szepnęła:

- Tak bardzo mi przykro, Rory. Wiem, że ci ciężko. Nie wolno ci jednak się zadrećzać.

Dobry Boże w niebiesiech! Czy domyślała się, co się z nim dzieje, gdy dotyka go w ten sposób? Gdy owiewa jego twarz swoim wonnym oddechem? Poczul falę gorąca, a potem powolne, jednostajnie pulsowanie w łądźwiach. Krew szumiała mu w skroniach.

Za późno uświadomiła sobie swój błąd. Chciała się cofnąć, lecz zdążył chwycić jej rękę.

- To jeszcze nie wszystko, co mnie trapi, Anno Claire.

Próbowała się uwolnić, lecz trzymał mocno. Poczula suchość w gardle.

- Czas, bym już wróciła do siebie. - Nagle ten pokój wydał się jej zbyt ciasny i jakiś duszny.

- Nie, pani. - Podniósł się z krzesła i wziął ją w ramiona.

- Nie odejdziesz teraz.

Próbowała zagłuszyć swój niepokój słowami.

- Wydaje się, że dobrze wykorzystaliśmy ten czas. Myślę, że wróciłeś już w pełni do zdrowia.

- Powrócił mi też apetyt.

- Przekażę to Bridget.

- Nie miałem bynajmniej na myśli rosołu czy owsianki.

To ciebie pragnę, Anno Claire.

- Zostaw mnie, Rory.

- Dlaczego? Nie tylko mnie przepełnia pragnienie. Ty też *mnie pożądasz.*

- Puść mnie. Zabierz te ręce. Nie chcę nic z tych rzeczy.

- Kłamczyni. - A kiedy zaczęła się wrywać, mruknął:

- Twoje oczy cię zdradzają. Pragniesz mnie. Tak, pożądasz dokładnie tego samego co ja. I to cię przeraża, nieprawdaż?

Uniosła dumnie głowę.

- Nie obawiam się niczego. A już na pewno nie takich jak ty.

- Dowiedz tego. Pocałuj mnie.

To wyzwanie zmroziło krew w jej żyłach. Odpowiedziała głosem tak chłodnym jak powiew północnego wiatru:

- Nie muszę niczego ci udowadniać.

- Owszem. Ale co z udowodnieniem samej sobie, Anno Claire? A może przeraża cię to, że możesz odkryć w sobie płomień namiętności? - Opuścił ręce, dając jej pełną swobodę wyboru. Najdalszy był od myśli naginania jej woli. Zakła-

dał, że poznał ją już wystarczająco dobrze. Liczył na to, że sprowokowana podejmie wyzwanie.

I nie przeliczył się. Wspięła się na palce i dotknęła wargami jego ust. Przez cały czas wpatrywała się w jego oczy. Gdy jednak pocałunek stał się gorący, powoli zaczęła opuszczać obrzeżone frędzlami rzęs powieki, aż w końcu całkiem je zamknęła. Przebiegł ją przejmujący dreszcz. Zawładnęła nią taka namiętność, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczyła.

Gdy otworzyła oczy, uświadomiła sobie, że Rory przez ten czas nawet nie drgnął. Wciąż trzymał ręce spuszczone wzdłuż ciała. Jednak ten dziwny bezruch miał tylko maskować napięcie. Wykrzywił wargi w lekkim uśmiechu. Uśmiechu, który był dla niej kolejnym wyzwaniem.

- No i cóż takiego odkryłaś w sobie, Anno Claire?
- Nic nie odkryłam. - Rumieniec zdradził jej kłamstwo.
- Nic w ogóle. Czy wystarczy ci taka odpowiedź?
- Owszem. Wiedz tylko, że jesteś piękną, czarującą kłamczucha.
- Myśl sobie o mnie, co chcesz. Ja mogę powtórzyć to, co już...

Słowa zamarły na jej wargach, ponieważ chwycił ją w ramiona i przycisnął do piersi. Tym razem całował z żarłoczną namiętnością. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko poddać się temu szturmowi.

Powściągana do tej pory namiętność wybuchła jak wulkan. Anna Claire przywarła do Rory'ego całym ciałem. Jej język ożywił się i szukał jego języka. Mrok opanował jej umysł.

- Rory, daj mi chwilę pomyśleć. - Cofnęła głowę, wciągając w płuca powietrze niczym uratowana topielica.

- Nie myśl, Anno Claire. Poddaj się uczuciom. - Delikatnie całował jej skronie, a ominąwszy lekko zadarty nos, osunął wargi na jej policzki. Słodczych tych pieścizot wyrwała z niej westchnienie.

Chwycił jej dłoń i przycisnął do swej obnażonej piersi.

- Patrz, co czynisz z moim sercem.

Waliło, jakby za chwilę miało pęknąć. Zresztą podobnie zachowywało się jej własne.

Uniosła rękę, a on przycisnął ją do swych warg. Ich oczy spotkały się. Jedno drugiemu zajaśniało do duszy.

Bez słowa przywarli do siebie, a ich usta się połączyły.

Zanurzył palce w jej włosy. Ramionami otoczyła mu szyję. Pragnęła czuć go każdą cząstką swego ciała.

To było najzwyczajniejsze szaleństwo. Wiedział o tym. A przecież nie potrafił się powstrzymać, podobnie jak nie był w stanie zatrzymać słońca na niebie czy bryzy więcej od morza. Ta kobieta z każdą chwilą wzmagała głód, który zżerał go od wewnątrz. Musiał ją mieć. Inaczej umrze.

- Połóż się ze mną, Anno Claire. Pozwól się kochać. Nie odmawiaj mi wody ze źródła.

Słowa zabrzmiały w jej uszach niczym słodka melodia. Byłoby tak prosto przystać na to. Przeważała jednak obawa, że zatraci się bez reszty.

- Nie... nie mogę.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Nie wiem. Nie potrafię logicznie myśleć, kiedy mnie tak trzymasz i całujesz.

Puścił ją zatem, nie chcąc uciekać się do gwałtu.

- Rozumiem. Kobieta taka jak ty nie pokocha kogoś ta-

kiego jak ja. A poza tym jest jeszcze wyznaczona nagroda za moją głowę.

W jej oczach pojawiły się niebezpieczne błyski.

- Myślisz, że tym się kieruję? Jeżeli tak, to zupełnie mnie nie znasz.

- Ach, myślę, że znam cię wystarczająco dobrze. - Dotknął palcem jej ust, wilgotnych i nabrzmiałych od jego pocałunków. - Odpowiedz na moje pytanie.

- Jakie pytanie?

- Nie wątpię, że pragniesz mnie równie mocno jak ja ciebie. Możesz temu zaprzeczać, ale zdradziłaś się sama.

- Jak śmiesz...

Obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

- Znowu zaprzeczasz. W takim razie zaprzecz, że nie potrzebowałaś żadnej zachęty, by mnie pocałować z namiętnością równą mojej.

Milczała, przygryzając wargę.

- Tak, jest w tobie ogień, Anno Claire. Głęboko w ciemnościach ukryta namiętność, czekająca na to, by ktoś ją wyzwolił.

Odsunęła się.

- Do diabła z tobą, Irlandczyku.

- Tak, jestem draniem, zgadzam się. Przekleństwem jest pragnąć kobiety, która nie zna samej siebie. Raz odpowiada na pocałunki jak wytrawna kochanka, raz znów ucieka niczym przelęknione dziecko. Możesz mnie okłamywać, ale przynajmniej siebie nie okłamuj. Kiedy będziesz sama w ciemnościach, w swoim dużym, miękkim łóżu, pomyśl o mężczyźnie, który leży w izbie nad tobą. Jeśli mnie zapragniesz, będę tam. I bardziej niż ochoczo otworzę sekretne drzwi, które tak uparcie pozostawiasz zamknięte.

Odwróciła się i wybiegła z pokoju. Nie umiała wytłumaczyć swego zachowania. Szczególnie teraz, kiedy dotarł tak blisko prawdy. Ciągle czuła smak jego ust. Nadal paliło ją pragnienie. Pożądała go.

Zbiegła po schodach, zatrzasnęła za sobą drzwi i rzuciła się z płaczem na łóżko.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Annę Claire wyrwało ze snu delikatne pukanie do drzwi. Miała za sobą niespokojną noc. Słowa Rory'ego rozpełtały burzę w jej duszy. Prześladował ją jeden obraz. Rory trzymał ją w ramionach i namiętnie całował.

Wyskoczyła z łóżka i na palcach przebiegła przez pokój. Uchyliła drzwi, a Glinna wślizgnęła się do środka z tacą ze śniadaniem.

- Dlaczego zaszuwa pani na noc rygiel?

Anna nie oczekiwała takiego pytania. Zaskoczyło ją. Nie potrafiła znaleźć na nie przekonującej odpowiedzi.

- Jeśli obawia się pani buntowników, którzy podobno grasują w Dublinie, to proszę się nimi nie przejmować. Z tego, co mówią ludzie, wynika, że nie krzywdzą kobiet. Nawet Angielek. Walczą tylko z żołnierzami królowej.

- Dziękuję za troskę, Glinno. Uspokoiłaś mnie.

- Czy mam zostać i pomóc pani przy porannej toalecie?

- Może później. Lordowie Davis i Dunstan chcą mnie dziś zabrać na piknik.

Słowa te zrobiły na pokojówce duże wrażenie.

- Lord Dunstan? Ten przystojny młody kawaler?

Anna Claire przytaknęła.

- Przygotuj mi więc płaszcz i kapelusz. I możesz powie-



dzieć Bridget, by uwinęła się z szarlotką. Wiem, że lord Davis za nią przepada.

- Wedle życzenia, panienko. I będę czekała na dzwonek.

- Tak, oczywiście. Ale tymczasem zostaw mnie samą. Chcę jeszcze wrócić do łóżka. Miałam niespokojną noc.

Glinna, idąc ku drzwiom, spojrzała na zastawioną tacę.

- Mam nadzieję, że nie straciła pani apetytu i wysiłki Bridget nie pójdą na marne. - Zniżyła głos. - Proszę się nie gniewać, ale myślę, że nasza gospodyni jest trochę pomyłona. Kiedy zwróciłam jej uwagę, by nie stawiała dwóch filiżanek herbaty i dwóch misek owsianki, spojrzała na mnie, jakby chciała mnie zamordować.

Anna Claire kaszlnęła, przykrywając usta dłonią, by ukryć uśmiech.

- Możliwe, że ostatnio zbyt ciężko pracuje i jest przemęczona. Porozmawiam z nią.

- Tak chyba będzie najlepiej. - Pokojówka zamknęła za sobą drzwi. Po chwili dobiegł jej uszu odgłos zasuwanego rygla.

Kiedy Anna Claire została sama, włożyła aksamitny szlafrok i obwiązała się mocno w talii paskiem. Zdecydowała, że w żadnym wypadku nie mogą się powtórzyć wydarzenia ostatniej nocy. Postanowiła zachować swą czystość.

Westchnęła, wzięła tacę i ruszyła po schodach na poddasze. Otworzyła drzwi, przyciskając klamkę łokciem.

- Dzień dobry, Irlandczyku. - Starła się zachować obojętny ton głosu.

- Dzień dobry. - Ziewnął i przeciągnął się. Sprawiał wrażenie wyrwanego ze snu. Prawda jednak była całkiem in-

na. Przebudził się wiele godzin temu i z niecierpliwością oczekiwał tego porannego spotkania.

Usiadł i obserwował, jak schyla się, stawiając tacę na stole. Pomimo iż szlafrok szczelnie ją okrywał, widział każdą krzywiznę i wypukłość jej smukłego ciała.

Podawała mu miskę z owsianką.

Zanim zdążyła się odwrócić, złapał ją za rękę i przyciągnął do brzegu łóżka.

- Nie zjemy razem śniadania?

Zaśmiała się. Ale był to sztuczny śmiech.

- Nie tym razem. Moja pokojówka, Glinna, bystra dziewczyna, zauważyła dwie filiżanki i dwa talerze na tacy. Uważa, że biednej Bridget pomieszało się w głowie. Obawiam się więc, że dzisiaj musi zostać coś z jedzenia.

- W takim razie podzielimy się połową. - Zbliżył łyżkę do jej ust, ona zaś rozchyliła je i przyjęła pokarm. Było w tym coś osobliwie intymnego.

Rory zazdrościł łyżce dotykającej jej warg.

- Taką drobiną nie najadłby się nawet ptaszek. - Karmił ją dalej, nieświadomą podstępów i zasadzki. Dostrzegała grę mięśni jego ramienia. Widziała oczy, które patrzyły na nią z głębokim uczuciem. Chłoneła zapach włosów, czarnych, gęstych i zmierzwionych po śnie, opadających w nieładzie; na czoło.

- Ty zjedz resztę. Musisz jak najszybciej wrócić do zdrowia. - Wstała i podeszła do małego okienka. Chciała jej otworzyć.

- Jaka mamy dzisiaj pogodę?

Odpowiedziała, wdzięczna losowi, że miała okazję uciec przed wzrokiem Rory'ego.

- Jest lekka mgła, przez którą jednak przebija słońce. Ufam, że będzie dziś piękna pogoda.

- Jakie masz plany na dzisiejszy dzień?

- Wybieram się na piknik. - Zamilkła, lecz zaraz dodała:

- Z lordem Davisem, starym przyjacielem mego ojca.

Zauważył ten moment wahania.

- Jedzicie tylko we dwoje?

Pokręciła głową. Wpatrywała się w kąć pokoju.

- Będą też inni. Lady Thornly, lord Dunstan.

- Słowem, towarzystwo w komplecie - rzucił z przekonaniem.

- Nie znalazłam żadnej rozsądnej wymówki.

- Czy próbowałaś powiedzieć po prostu „nie”?

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

- To nie jest takie proste. Bardzo lubię lorda Davisa, którego raduję rola swata. Mógłby poczuć się zraniony. - Widząc, że miska jest pusta, podeszła do Rory'ego i podała mu filiżankę herbaty. - Przykro mi, ale dzisiaj będziesz musiał obyć się bez towarzystwa.

- Jakoś wytrzymam. Życzę miłego spędzenia czasu. - Kontrolował swój głos. Mówił bez śladu emocji. - Planuję rozpocząć dziś ćwiczenia z mieczem.

- Tylko pamiętaj, żeby nie były zbyt forsowne. - Opuściła ręce wzdłuż ciała. Rozpaczliwie szukała jakiegoś tematu, by podtrzymać rozmowę. - Może czegoś ci trzeba?

- Nie, niczego. Jesteś bardzo uprzejma.

- Zatem do zobaczenia, Rory.

Schylił głowę w milczeniu.

Anna odwróciła się i zeszła po schodach. Była dziwnie przygaszona. Niech piekło pochłonie lorda Dunstana, który

wyciąga ją z domu, kiedy ona zupełnie nie ma na to ochoty. I niech piekło pochłonie tego irlandzkiego buntownika. Obu im udało się bowiem obrzydzić jej ten pięknie zapowiadający się dzień.

- Widzisz, Lynley. - Lord Davis siedział oparty o drzewo i sączył piwo. - Mówiłem ci, że w Irlandii są cudowne miejsca.

- Tak. - Dunstan prześlizgnął się spojrzeniem po twarzach partnerów do gry w karty, których od pewnego czasu szczęśliwie dla siebie uwalniał od ciężaru złota, i spojrzał ku osobie, której pożądał bardziej od brzęczących monet, a która siedziała na rozłożonym na trawie pledzie. W jednej ręce trzymała puchar z piwem, w drugiej kunsztownej roboty wachlarz. Przeprosił mężczyzn i podszedł do Anny Claire.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego wolałaś zostać w tym kraju, pani.

Uśmiechnęła się w podzięcie za te nieoczekiwane słowa uznania.

- Bądź ostrożny, lordzie Dunstan. Możesz ulec czarowi Irlandii.

- Sądzę, że już tak się stało. Ale to nie ten kraj rzucił na mnie swój urok.

Lady Thornly, mimowolny świadek rozwijającego się flirtu, nie mogła powstrzymać westchnienia.

- Ach, lordzie Dunstan. Mój nieodżałowanej pamięci małżonek zwykł patrzeć na mnie całkiem w taki sam sposób, w jaki ty patrzysz na naszą słodką Annę Claire. Nieprawdaż, lordzie Davis?

- W rzeczy samej, moja droga. - Starszy pan wstał i po-  
dał jej ramię. - Może przespacerujemy się, pozostawiając  
młodych ze sobą?

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, wolałabym iść  
z wami. - Anna Claire wstała i otrzepała spódnicę. Była zde-  
cydowana nie pozostawać sam na sam z Dunstanem. - Po  
tym świetnym lunchu, który zjedliśmy, spacer jest tym, czego  
wszyscy potrzebujemy najbardziej.

Lady Thornly odwróciła się do Dunstana.

- W takim razie i ty, kawalerze, musisz przyłączyć się do  
nas. Nalegam.

Zadowolony, przysunął się do Anny Claire, ofiarowując  
jej swoje ramię. Ruszyli przez las.

- Czy poczyniłeś jakieś postępy w poszukiwaniach Czar-  
nego O'Neila, lordzie Dunstan?

- Nie. Ale wiem od szpiegów, że wyznaczona nagroda  
bardzo poruszyła mieszkańców Dublina. Suma jest tak duża,  
że większość z nich nie widziała podobnej w całym swoim  
życiu. Nie mam żadnych wątpliwości, że ktoś się wreszcie na  
nią skusi.

- To było wspaniałe posunięcie, Lynley. Wręcz błyskot-  
liwe. - Lord Davis uniósł nieznacznie brew, a potem wskazał  
na leżący pień. - Jeśli nie macie nic przeciwko temu, siądę  
sobie na chwilę, by złapać oddech.

- W takim razie odpocznę tu razem z tobą. - Lady Thornly  
chłodziła wachlarzem rozpaloną twarz.

Kiedy Anna Claire też się zatrzymała, Lord Davis pokazał  
jej ruchem ręki, by szła dalej.

- Nie musisz zostawać z nami. Zażyj przechadzki, moja  
droga.

Dunstan wskazał na prześwit pomiędzy drzewami.

- Proponuję przejść się nad rzekę.

Anna miała wielką ochotę odmówić, ale nie wypadało. Ruszyła zła na siebie i cały świat. W oddali słychać było śmiechy i krzyki innych spacerowiczów.

Kiedy Anna Claire i Dunstan dotarli do rzeki, stała już tam grapa elegancko ubranych kobiet i mężczyzn otaczająca młodą matkę. Ta miała na sobie jedynie wilgotny stanik i halkę. Stała po kolana w wodzie. W rękach trzymała nagiego, wrzeszczącego niemowlaka. Za jej plecami kryło się dwoje przerażonych dzieci. Było oczywiste, że przeszkodzono im w kąpielu.

- Wynoście się stąd - krzyknął jeden z mężczyzn. - Zanieczyszczacie naszą rzekę.

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem. Chłopka i jej dzieci zaczerwienili się z upokorzenia i wstydu.

- Lordzie Ramsey - Anna Claire dołączyła do znajomych - doprowadziłeś do tego, że ta młoda kobieta, nie będąc niczemu winna, chce się zapaść ze wstydu pod ziemię.

- Ma się wynieść stąd jak najprędzej. Jej obecność działa mi na nerwy. Poza tym moja żona pragnie napić się wody.

Wspomniana dama trzymała chusteczkę przy ustach i nosie.

- Jakże teraz mam napić się tej wody, Thomasie. Widziałam w niej chłopkę i jej bachory. I spójrz. - Wskazała na koszyk pełen mokrych ubrań. - Oni w dodatku wyprali w rzece swoje brudne łąchmany.

Inna dama wskazała palcem na stojącą nieopodal brzegu chatę krytą strzechą.

- Spójrzcie tylko, jak żyją. Zupełnie jak zwierzęta. To poniżej ludzkiej godności.

Anna Claire zapomniała o manierach. Zwyciężył jej gwałtowny temperament.

- A może to ty, pani, zachowujesz się niegodnie? Skąd ta biedna kobieta mogła wiedzieć, że właśnie teraz będziecie tędy przechodzić? Przynajmniej powinniście dać jej sposobność okrycia siebie i dzieci. Dlaczego naigrawacie się z niej tak bezlitośnie? Przecież to też człowiek, który ma swoją godność.

- Godność? - Żona lorda Ramseya nie posiadała się z oburzenia. - Jak możesz sugerować, pani, że ci barbarzyńcy kierują się dumą i zasadami honoru! Spójrz na nich. Brudni żebracy.

Rozległy się śmiechy i złorzeczenia. Serce Anny Claire ścisnęło się z bólu. Odważnie ruszyła ku rzece. Zdjęła swój płaszcz i podała go przerażonej kobiecie.

- Proszę. Okryj nim siebie i swe dziecko.

Kobieta przycisnęła niemowlę mocniej do piersi. Chłopiec i dziewczynka uczepili się jej mokrej halki. Ich szeroko otwarte oczy były pełne przerażenia.

Kiedy Anna Claire podeszła do płycizny, wieśniaczka potrząsnęła głową.

- Nie mogę przyjąć twojego miłosierdzia, pani. Ten płaszcz jest zbyt wspianały. Skalam go.

- Nalegam. - Anna Claire postąpiła w kierunku chłopki i zarzuciła okrycie na jej skulone ramiona.

- Jak ci dziękować, pani? Jeśli poczekaś chwilkę, wrócę tak szybko, jak tylko będę mogła.

- To nie jest konieczne. Mam inny płaszcz. Ten zatrzymaj sobie. - Anna Claire spojrzała na trzęsące się z zimna dzieci.

- Zabierz je prędko do domu, by mogły się ogrzać.

- Oczywiście, pani. Niech Bóg panią błogosławi.

Kobieta owinęła niemowlę w poszarpany szal i ułożyła je na wypranej odzieży w koszyku. Potem spiesznym krokiem, bez spoglądania za siebie, ruszyła ku chacie. Uginała się pod ciężarem mokrego prania. A dodatku dwójka brzdąców czeptała się jej spódnicy.

Kiedy Anna Claire wreszcie przeniosła wzrok na towarzysztwo, stwierdziła, że wszyscy, nie wyłączając lorda Davisa i lady Thornly, bacznie się jej przyglądają.

- Cóż - lord Dunstan pierwszy uznał, że warto coś powiedzieć - musisz uświadomić sobie, moja droga Anno Claire, że twój piękny płaszcz zostanie sprzedany na najbliższym jarmarku, a za uzyskane pieniądze w tej nędznej lepiance długo będzie się lała whisky do szklanek.

- Możliwe. Ale możliwe też, że płaszcz długo będzie służył matce jako okrycie dla niemowlęcia.

Dunstan odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się.

- Widzę, że potrzebujesz kogoś, kto by prostował twe szlachetne złudzenia, pani. Tych ludzi nie obchodzi los ich potomstwa. Z tego, co widzę i wiem, żyją jak zwierzęta.

- Czy właśnie to zamierzasz powiedzieć królowej, lordzie Dunstan? - Pod wpływem gniewu Anna Claire zapomniała o ostrożności. - Może chciałbyś, by w Anglii wydano dekret pozbawiający irlandzkich wieśniaków możliwości posiadania dzieci?

- To nie jest taki zły pomysł. Poruszę z Elżbietą ten temat. Może znajdzie się jakieś racjonalne rozwiązanie. Chodzi o to, by postawić tamę tej nie kontrolowanej rozrodczości. Spójrz wokół siebie, Anno Claire. Pozostawienie tego kraju tarzającym się w rui i poróbstwie wieśniakom wprędce zamieni tę wyspę w Barbarię.



Annę Claire dławiło oburzenie. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, lord Davis zarzucił jej na ramiona swój własny płaszcz i rzekł z naciskiem:

- Wystarczy, moja droga. Od rzeki ciągnie chłodem. Myślę, że najwyższy czas wracać do domu.

- Jeszcze nie skończyłam.

- Ależ owszem, skończyłaś.

Chciała protestować, lecz wziął ją pod ramię i poprowadził przez las. Reszta towarzystwa niespiesznie ruszyła za nimi.

Kiedy dotarli do powozu, lord Davis rzekł, ścisząc głos:

- Doradzałbym ci, moja droga, byś nie prowokowała gniewu lorda Dunstana. Może być uczynnym przyjacielem, ale równie dobrze groźnym wrogiem.

- Nie dbam o lorda Dunstana ani o tych pozostałych okrutników.

- Och, moja ty dziewczyno - westchnął, nie kryjąc swej troski. - Jeśli nie dbasz o innych, to niech przynajmniej interesuje cię mój los.

Dotknęła dłonią jego policzka.

- Zapewniam, że darzę pana szacunkiem i miłością, lordzie Davis.

Chwycił ją za rękę.

- Więc powstrzymaj swój język. Więcej nie będziemy wracać do tego tematu. A jeśli lord Dunstan w swej wielkoduszności zechce o tym zapomnieć, ty uczynisz to samo. Zgoda?

Wzięła głęboki oddech i kiwnęła głową.

- Dobrze. Spełnię pana prośbę.

- Świetnie. - Poklepał ją po ramieniu, a potem pomógł wsiąść do powozu.

Niebawem dołączył do nich lord Dunstan. Ruszyli. Nikt nie miał ochoty na rozmowę. Lord Davis pogrążony był w niewesołych myślach. Wiedział, że Anna Claire posunęła się za daleko. Znał też mściwość lorda Dunstana. Ci, którzy mu się sprzeciwiali, nie tylko zostawali pozbawieni łask królowej, ale nadto fortuny ich kurczyły się, a dobra ulegały konfiskacie.

Lord Davis mógł mieć jedynie nadzieję, że uroda Anny Claire naprawi to, co zepsuło jej litościwe serce.

Kiedy powóz zatrzymał się na dziedzińcu Clay Court, powtórzyła się scena, która już wielokrotnie miała tu miejsce. Dunstan, żegnając się, poprosił Annę Claire o pozwolenie odwiedzenia jej wieczorem.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Obawiam się, że ten piknik na świeżym powietrzu cokolwiek mnie wyczerpał. - Spojrzała na lorda Davisa, który z napięciem ich obserwował, i politycznie dodała: - Natomiast z miłą chęcią spotkam się z panem jutro.

- Czy przedpołudniowe godziny odpowiadają pani?

- Jak najbardziej. A zatem do jutra, lordzie Dunstanie. I dziękuję za cudowną wycieczkę.

Szarmancko ucałował jej dłoń.

- Do jutra, pani.

Anna Claire weszła do sieni i zamknęła za sobą drzwi. Zaraz też oparła się o nie i zamknęła oczy. Opuściły ją wszystkie siły, a serce waliło jak oszalałe. Niemal przez cały dzień ukazywała innym uśmiechniętą twarz i teraz nastąpiła reakcja. Poza tym nie mogła zignorować ostrzeżeń przyjaciela. Dunstan faktycznie był niebezpieczny. Wiedziała, że w jego towarzystwie powinna zachowywać szczególną ostrożność.

Powinna raczej usypiać jego czujność, niż budzić podejrzenia. Tam, nad rzeką, zachowała się dość lekkomyślnie.

Chwilę później wchodziła już po schodach. Zauważyła, że z każdym stopniem powracają jej siły. Czyżby powodowała to świadomość, że już niebawem zobaczy Rory'ego O'Neila?

Z uśmiechem na myśl o czekającej ją rozmowie, otworzyła drzwi swego pokoju.

- Ach, to pani. - Glinna odwróciła się i przysłoniła usta ręką. - Ależ się przestraszyłam.

- A co ty tu robisz, Glinno?

- Zawieszałam w szafie panienki czyste suknie. - Pokójka obrzuciła pokój szybkim spojrzeniem, po czym wycofała się ku drzwiom. - Czy będę jeszcze do czegoś potrzebna?

- Nie sądzę, Glinno. Dobrej nocy.

- Dobranoc, panienko. - Dziewczyna wypadła z pokoju niczym myszka goniona przez kota.

Ten niezwykle pośpiech zastanowił Annę Claire. Doszła jednak do wniosku, że Glinna umówiła się na ten wieczór z którymś z chłopców stajennych. Nie mogła jej za to winić. Czyż ją samą nie roznosiła niecierpliwość na myśl o spotkaniu z kimś, kto czekał na nią w pokoiku na poddaszu?

Przez chwilę przypatrywała się swemu odbiciu w lustrze. Wyjęła z włosów kilka źdźbeł trawy. Godziny spędzone na świeżym powietrzu utrwaliły się rumieńcami na jej policzkach. Oczy błyszczały jak po tańcu. Wygładziła spódnice, przeszła przez pokój i nagle stanęła w pół kroku.

Drzwi na schody prowadzące na poddasze były uchylone.

Pamiętała bardzo dobrze, że tego ranka dokładnie je zamknęła.

W jednej chwili uświadomiła sobie grozę sytuacji. Uniosła obie ręce do ust. Jeśli Glinna odkryła tajemnicę, życie ich wszystkich było w niebezpieczeństwie. Każdy znał plotkarstwo tej dziewczyny. Nie można było jej ufać. Jeśli wyjawia sekret choć jednej przyjaciółce, to wkrótce dowie się o Rorym cały Dublin.

Anna Claire pomyślała o przechwałkach Dunstana. Prawdą było, że choć mieszkańcy Dublina wielokrotnie składali dowody patriotyzmu, wielu z nich żyło w straszliwej nędzy. Perspektywa otrzymania ogromnej sumy niewątpliwie była wielką pokusą nawet dla tych najbardziej lojalnych.

Anna Claire zbiegła po schodach. Musiała czym prędzej odnaleźć pokojówkę i porozmawiać z nią.

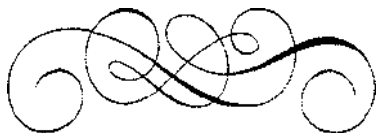
W kuchni natknęła się na Bridget i Tavisę, delektujących się herbatą i ciastkami.

- Czy widzieliście Glinnę? - spytała z nutą paniki w głosie.

- Tak, panienko. Przed chwilą wypadła stąd, jakby sam diabeł siedział jej na plecach.

- Słodki Zbawicielu, ratuj nas - jęknęła Anna Claire i okręciwszy się w miejscu w szaleńczym pędzie wbiegła z powrotem na górę.

Rory O'Neil musi natychmiast zniknąć. Zapaść się pod ziemię. Wyparować. Inaczej, jeśli jej obawy się sprawdzą, ona, Anna Claire, stanie w obliczu śmierci.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Rory, ubieraj się.

Anna Claire wpadła bez tchu do izdebki na poddaszu. Z przerażeniem w oczach spojrzała na puste łóżko. Rory stał w cieniu. Był boso i bez koszuli, jedynie w czarnych spodniach.

Stanęła jak wryta. Poraziła ją bijąca od niego moc, wręcz potęga. Nie chodziło tu jedynie o jego szerokie bary, umięśniony tors czy niebezpieczną zwinność widoczną w jego postawie. Unosiła się wokół niego aura siły, która przykuła ją do podłogi.

- Musisz natychmiast opuścić ten dom.

Skoczył ku niej i chwycił za ramiona.

- Co się stało? Grozi nam jakieś niebezpieczeństwo?

- Moja pokojówka, Glinna... - Urwała, by złapać oddech. - Była w moim pokoju, gdy wróciłam z wycieczki. Drzwi do ciebie były uchylone. Czy słyszałeś może skrzyknięcie schodów?

Jego oczy zwięzły się.

- Spałem przez większą część dnia. Ale myślałem...

- Co takiego?

- Usłyszałem w pewnej chwili czyjeś kroki. Kiedy jednak wyjrzałem, nikogo już nie było. Mimo to niepokój nie pozwolił mi już wrócić do łóżka.

- Wiedziałam. - Anna odwróciła się i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. - Nasza tajemnica nie jest już tajemnicą, Rory. Jeżeli ona dowiedziała się o twojej obecności, inni też będą wkrótce wiedzieć. Musisz uciekać. Każę Tavisowi przygotować powóz, a Bridget prowiant na drogę.

- W żadnym wypadku - Oddychał ciężko. - To naprowadziłoby Anglików na twój ślad. - Zniżył głos. - Zwlekałem wystarczająco długo. Czas, bym wyrównał porachunki z Tildenem.

- Nie nadajesz się jeszcze do walki.

- Właśnie coś takiego powtarzam sobie od wielu dni. - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Ale obydwójce wiemy, że okłamuję samego siebie. Moje rany zagoiły się, a biorąc miecz do ręki, nie czuję już jego wagi. Inna sprawa, że nie chcę opuszczać tego miejsca, bo to oznacza rozłąkę z tobą. - Dotknął jej policzka. - Ale muszę. Każdego dnia narażam cię bowiem na wielkie niebezpieczeństwo.

- Mówiłam ci już, mój ojciec jest zaufanym doradcą królowej. Angielscy żołdacy nie zrobią mi krzywdy.

Położył palec na jej wargach.

- To nie jest gra, Anno Claire, tylko wojna. Doradca przestanie być doradcą, gdy okaże się, że jego córka ukrywała wroga Korony. Czy to rozumiesz?

Patrzyła nań, rozkoszując się ciepłem bijącym od jego ciała. Nagle przemknęła jej przez głowę straszna myśl. Nie będzie już więcej dotykana przez Rory'ego. Nie będzie słyszała jego głosu. Nie będzie widziała jego twarzy.

Wzięła głęboki oddech i wolno kiwnęła głową.

- Co mam zrobić?

- Niech Tavis przekaże moim ludziom, że czas nadszedł.

Znają cały plan. - Wziął sztylet i w kilku miejscach naruszył nim zamek okienny. Następnie tym samym ostrzem rozciął sobie dłoń, pozwalając, by krew skapywała na parapet.

- Co ty najlepszego robisz? - Była wstrząśnięta widokiem świeżej krwi.

- Chcę stworzyć pozory, że dostałem się tu siłą. Idź już, Anno Claire.

Ruszyła ku drzwiom, ale zatrzymała się jeszcze na chwilę.

- Poproszę Bridget, by przygotowała trochę jedzenia.

- Żadnego jedzenia.

- Ale...

Uniósł rękę.

- Jestem najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Irlandii. Znajdzie się wielu takich, włączając w to mych ziomków, którzy zapragną nagrody w złocie. Pamiętaj, co powiedziałem wcześniej. Należy strzec się wszystkiego, co mogłoby naprowadzić ich na twój trop.

Wiedziała, że Rory ma rację. Musiała posłuchać jego mądrej rady, nawet jeśli jej serce krwawiło na samą myśl o puszczaniu go bez kromki chleba.

- Jeszcze tu przyjdę, Rory.

- Nie ma mowy. Kiedy Tavis wyruszy z wiadomością, dołącz do Bridget w kuchni.

- Chciałabym w takim razie pożegnać się z tobą.

Objął ją i pocałował. Jednak dziwnie krótko trwał ten pocałunek.

- To całe pożegnanie, na jakie możemy sobie pozwolić w tej chwili, Anno Claire. - Raz jeszcze dotknął ustami jej warg i cofnął się o krok. - A teraz idź. Śpiesz się. Ale bądź czujna.

Kiedy odwracała się, by tym razem odejść na dobre, czuła bolesne ściskanie w gardle i szczypanie w oczach. Nie teraz, nie tutaj, rozkazała sobie w duchu. Czas na łyzy będzie później. Było jeszcze tak wiele do zrobienia.

Zostawszy sam, Rory pospiesznie ubrał się i przypasał miecz. Jeden ze sztyletów wetknął za cholewę buta, drugi za pas z dużą klamrą. Chwilę pokręcił się po pokoju, robiąc sztuczny nieporządek. Przewrócił stolik, rozlał wodę. Teraz wyglądało tu tak, jakby intruza, który tu wtargnął, ktoś przepłoszył.

Z mieczem w ręku schodził ostrożnie po schodach. Nie spotykając nikogo, dotarł na sam dół. Ruszył ku drzwiom prowadzącym do kuchni, lecz wtedy właśnie usłyszał grzmot końskich kopyt. To musiał być cały oddział.

Przeklął siarczyście, lecz nie stracił otuchy. Zresztą liczył się z tym, że Anglicy na wieść o jego tu pobycie przybędą w wielkim pośpiechu. Nie pozostało mu w takim razie nic innego, jak tylko uciec się do fortelu w nadziei, że przynajmniej zdoła ocalić tych, którym zawdzięczał życie.

Zmienił zamiar i skrył się w ciemnym saloniku. Dochodziły jego uszu okrzyki komend i tupot żołnierzy biegnących ku drzwiom frontowym. Ze swej kryjówki widział, jak Bridget śpieszy otworzyć.

Władczy głos lorda Dunstana rozległ się w powietrzu niczym wystrzał.

- Gdzie twoja pani?
- W kuchni, milordzie.
- Z drogi, starucho. - Dunstan odepchnął gospodynię i ruszył do kuchni. Za nim kroczył przynajmniej tuzin uzbrojonych mężczyzn.



- Lordzie Dunstan - Anna Claire odstawiła z brzękiem filiżankę z herbatą, by zagłuszyć drżenie swego głosu - co cię sprowadza o tak późnej porze?

- Czy służy tu dziewczyna o nazwisku Glinna Farley?

- Owszem.

- Żąda nagrody za znalezienie Czarnego O'Neila.

- Nasza Glinna! A to szczęściara! - Bridget, która zatrzymała się w wejściu, klasnęła w dłonie. Próbowwała odwrócić uwagę zbrojnych od swej przerażonej pani. - A gdzie znalazła tego okrutnika?

Dunstan nawet nie raczył się odwrócić. Wciąż podejrzliwie przyglądał się Annie Claire. Powiedział:

- Dziewka twierdzi, że Czarny O'Neil ukrywa się na poddaszu tego domu.

Anna Claire złapała się za głowę.

- Tutaj? W domu mego ojca?

- Tak powiedziała. Czy mam rozumieć, że nic ci nie wiadomo, pani, na ten temat?

- Boże drogi, czyżby ktoś mnie oskarżał? - Anna Claire wstała i chwyciła się oparcia krzesła. - Nie mogę nic pewnego powiedzieć, ponieważ nie byłam na poddaszu od wielu miesięcy. Ale trudno mi uwierzyć, by takie rzeczy mogły wydarzyć się w tym domu bez mej wiedzy.

- A zatem rozumiem, że mam, pani, twoje pozwolenie na przeszukanie poddasza?

Anna Claire rzuciła okiem na żołnierzy i poczuła ból w sercu. Było ich tak wielu, a Rory był sam jak ten palec.

- Nie tylko nie mam nic przeciwko temu, panie, ale nawet nalegam. - Uniosła spódnicę i ruszyła ku schodom. - Chodźmy. Poprowadzę panów.

- Nie, pani. - Dunstan chwycił ją za ramię i równocześnie krzyknął do żołnierzy: - Weźcie staruchę, by wskazała wam drogę.

Dom rozbrzmiał echem żołnierskich kroków. Anna Claire modliła się w duchu, by starczyło jej hartu na dotrwanie do końca. I żeby Dunstan nie domyślił się jej strachu i rozpacz.

Czy Rory zdążył już uciec? Miał tak mało czasu. Słodka Panienko, cóż będzie, jeśli zastaną go w tej klatce? Broniąc się, zabije jednego lub dwóch, ale w końcu zostanie ujęty. Zakują go w łańcuchy i poprowadzą na szafot.

Kilku żołnierzy zostało na dole. Wsłuchiwali się w dźwięki dochodzące z góry. Hałas rósł, aż wreszcie jeden zbiegł ze śladami krwi na rękach.

- Znaleźliśmy świeżą krew na okiennym parapecie, pani. I ślady krwi na drzwiach. O'Neil był tutaj.

Oczy Dunstana błysnęły złowrogo.

- Przeszukać dom. Pokój za pokojem. Pani i ja zaczekamy tutaj.

Anna Claire spojrzała na Bridget, która zdążyła już wrócić.

- Słabo mi. Przynieś mi trochę piwa. - Nagle przypomniała sobie o zasadach dobrego wychowania. - Przyłączysz się do mnie, panie?

- Z przyjemnością. - Obserwował ją z uwagą. Widział kredową bladość jej twarzy.

Dotkliwy chłód ogarnął całe jej ciało. Nie mogła tak stać i czekać na rozwój wydarzeń. Podeszła do ognia, żeby ogrzać dłonie. Gdzie teraz jest Rory? Na pewno w którymś z pokoi. I nie ma żadnych szans na ucieczkę, zważywszy na to, ilu żołnierzy pilnuje domu.

- Przyniosłam piwo. - Z twarzy Bridget nie można było niczego wyczytać. Wręczyła kufle napełnione po brzegi złocistym płynem i zajęła się dokładaniem do ognia.

Nagle łączące kuchnię z gospodarskim podwórzem drzwi otwarły się na oścież i stanął w nich Tavis. Krew sączyła mu się z rany na czole.

Bridget przeraźliwie krzyknęła i rzuciła się ku mężowi. Ujęła w dłonie jego głowę.

- Tavis, mój kochany. Co się stało?

Zrobił kilka chwytanych kroków i osunął się na podłogę. Wpadło paru żołnierzy, zaalarmowanych tym zamieszaniem.

- Złodzieje -jęknął. - Wtargnęli do stajni. Ukradli nasze konie.

- To O'Neil! - ryknął Dunstan, a wszyscy struchleli. - Próbuje uciec. Pospieszcie się. Sto sztuk złota dla tego, który uniemożliwi mu ucieczkę.

Słyszając te słowa, żołnierze rzucili się ku wyjściu. Przy drzwiach zbili się w zwartą kupę. Któremu udało się wydostać na zewnątrz, ten biegł długimi susami ku stajniom.

- Nie dbam o to, czy sprowadzicie go żywego, czy martwego - krzyknął za nimi Dunstan.

Uśmiechnął się. Jego żołnierze sadzili jak psy gończe. Każdy z nich wierzył, że to on zdobędzie obiecaną nagrodę. Ucieszony perspektywą schwytania niebezpiecznego buntownika, Dunstan odwrócił się ku Annie Claire.

To, co zobaczył, zdumiało go i zaskoczyło. Starucha i jej mąż gapili się z rozdziawionymi ustami na coś w kącie kuchni.

- Czego się tak gapicie, głupcy?

Bridget bez słowa wskazała palcem.

Rory wyszedł z ukrycia i stanął tuż za plecami Anny Claire. Jedną ręką zakrył jej usta, drugą, w której trzymał sztylet, zbliżył do jej gardła.

- Natychmiast puść tę kobietę - syknął Dunstan.

Rory uśmiechnął się, ale był to uśmiech zabójcy.

- Jeśli nie zrobisz tego, czego od ciebie zażądam, ona umrze.

- Czy wiesz, na kim ośmieliłeś się wywierać gwałt? - spytał Dunstan.

- Nie obchodzi mnie to. Interesuje mnie tylko własne bezpieczeństwo. Ta kobieta, kimkolwiek jest, zapewni mi wolność. Jeśli twoi ludzie będą próbowali mnie zatrzymać, poczuję się zmuszony przeciąć jej delikatne gardziółko.

- Głupcze, dokonałeś kiepskiego wyboru. Ta dama jest córką lorda Jamesa Thompsona, najbliższego doradcy Jej Królewskiej Mości. Niech choćby jeden włos spadnie jej z głowy, a sama królowa poruszy niebo i ziemię, by odpłacić ci za to.

- Elżbieta nie jest moją królową. A co do pochodzenia i godności tej damy, to tym lepiej. Wiedz bowiem, oficerze, że mój miecz nie odróżnia kobiety od mężczyzny, szlachetnie urodzonego od prostaka. Dosięga wszystkiego co angielskie.

Kiwnął na Bridget.

- Kobieto, zwiąż ręce i nogi tym dwóm.

Bridget wybuchnęła szlochem.

- Błagam, panie, mój mąż jest ciężko ranny.

Rory z naciskiem powtórzył:

- Powiedziałem, byś im nałożyła więzy. Jeśli nie zrobisz tego natychmiast, zapłacisz za twą głupotę twoja pani.

Wylewając łzy i zawodząc, Bridget zrobiła, co jej kazano.

- A teraz - Rory pogroził jej sztyletem - przynieś mi jakiś ciepły płaszcz, może być twej pani.

Po kilku minutach Bridget wróciła z płaszczem podbitym sobolami. Rory zarzucił go sobie na ramiona. Trzymając nóż na gardle Anny Claire, powoli wycofywał się ku drzwiom.

- Gdzie ją zabierasz? - Dunstan miotał się, próbując rozerwać więzy. Furia wyczierała mu z oczu.

- Daleko stąd, gdzie z pewnością jeszcze nie była. Uciekamy do pogańskiego kraju, którym ty i twoja królowa tak pogardzacie.

Dunstan szpetnie zaklął.

- Właśnie podpisałeś na siebie wyrok śmierci, Rory O'Neil.

- Czyżby dopiero teraz? To i tak niewiele za szansę odebrania życia Tildenowi, ludzkiej bestii na żołądź twojej królowej. - Zniknął w ciemnościach, a do uszu pozostałych w kuchni dobiegł jego przytłumiony śmiech. I jakby cichy szloch Anny Claire.

A potem była już tylko cisza.

- Rory, tutaj. - Usłyszawszy ten szept, Rory zmienił kierunek i zwrócił się ku grupie drzew.

Sześciu mężczyzn dosiadało koni. Jeden z nich, najwyższy, trzymał za wodze luźnego wierzchowca.

- Na miłość boską, kogo tam prowadzisz?

- Ta piękna dama uratowała mi życie, chłopcy. Nazywa się Anna Claire Thompson. - Rory wskoczył na siodło, dźwignął brankę i usadził ją przed sobą. Następnie owinał ją jej własnym płaszczem.

- Thompson, powiadasz - zadrwił jeden z mężczyzn. - Wynikałoby z tego, że spłodził ją lord James Thompson.

- I owszem. - Rory nasunął kaptur na głowę Anny Claire, by zakryć jej jasne włosy. Pomyślała, że ten Irlandczyk myśli o wszystkim i przewiduje wszystko. Ciemny płaszcz uczynił ją niewidzialną w nocy.

Nic tutaj nie było przypadkowe. Konie. Mężczyźni. Miejsce spotkania. Wszystko zaplanował, zanim jeszcze wrócił do pełni sił. Ona sama była częścią starannie ułożonego planu.

- To tak wygląda twoja wdzięczność? - spytała przez zęby.

Dygotała jak w febrze. Nie była pewna, czy przyczyną tego jest chłód, czy strach. Ale jedno było oczywiste. Mężczyzna, który porwał ją tej nocy i wiezie w nieznane, nie był tym samym człowiekiem, którego pielęgnowała przez te wszystkie dni. Tamten był dobry, uprzejmy i szlachetny. Ten był jedynie barbarzyńcą. Brutalnym, bezmyślnym, żądnym krwi osiłkiem.

- Nigdy ci tego nie wybaczę, Rory O'Neil. Tego, że mnie porwał i że twoi kamraci pobili Tawisa, który w niczym wam nie zawinił, przeciwnie, służył pomocą.

Nawet jej nie słuchał. Rzucił do swoich ludzi:

- Znacie plan. Rozdzielamy się. Od tej chwili nic nie wiemy o sobie nawzajem. Wracajcie do swoich domów i rodzin. Pewnego dnia, jeśli zajdzie taka potrzeba, przyślę po was. Jeśli nie, wiedźcie, że zdobyliście dozgonną wdzięczność Czarnego O'Neila.

- Tak jest, Rory. Z Bogiem. - Bez zbędnych słów jeźdźcy rozdzieli się i znikli w ciemnościach.

Rory przymusił konia do galopu.

Bezużyteczne byłyby próby nawiązania rozmowy. Wiatr

świszczał w uszach. Jedyne, co Anna Claire mogła zrobić, to trzymać się łąku siodła i ufać, że ten irlandzki buntownik, który uciekał teraz przed pościgiem, był tym samym wrażliwym człowiekiem, którego poznała i pokochała w ciasnej izdebce na poddaszu. Trudno jej jednak było w to uwierzyć. Wciąż miała przed oczyma krwawiącego Tawisa i zalaną łzami Bridget. Takiego bestialstwa na niewinnych starcach mógł dopuścić się tylko człowiek bez serca.

Jakież straszliwe cierpienia sprowadziła na siebie i tych, których kochała. A stało się tak dlatego, że posłuchała serca, nie rozumu.

Stała się pionkiem w śmiertelnej grze tego człowieka ze światem. Zawiodła siebie i swych najbliższych na ścieżkę jego prywatnej zemsty.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pędzili, co koń wyskoczy. Mijały godziny. Nie wymienili jeszcze ani jednego słowa. Przejeżdżali w pobliżu pojedynczych domostw i uśpionych wiosek. Tu i ówdzie w jakimś oknie błyszczało światło. Anna Claire w pewnym momencie zapragnęła wyrwać się z rąk Rory'ego i uciec ku wolności, ale strach i poczucie bezradności trzymały ją w obezwładniającym uścisku. Strach przed ludźmi, z którymi musiałaby się spotkać. Bezradna czuła się dlatego, że straciła orientację w terenie. Nie wiedziała też, dokąd zmierzają.

Czasami wydawało się jej, że są jedynymi żywymi istotami na tym świecie, pogrążonym w ciemności, z rzadka oświetlanym słabym blaskiem księżyca.

Wjechali w las. Drzewa wyciągały ku nim gałęzie jak włochate ramiona, a dzikie nocne zwierzęta ustępowały im z drogi. W pewnej chwili Anna Claire ujrzała z prawej strony utkwione w nich świecące diabelskie ślepie. Krzyknęła. Ramię Rory'ego jeszcze mocniej zacisnęło się na jej talii.

Szepnął jej do ucha:

- To tylko wilk. On boi się ciebie bardziej niż ty jego.

Było oczywiste, że Rory nie uświadamia sobie skali jej lęku. Bała się o swoje życie. Bała się, że już nigdy nie ujrzy rodzinnego domu. Bała się, że zaufała człowiekowi, którego prawie nie zna.



Gdy rozjarzone ślepie pozostały już za nimi, pojawiły się inne powody do strachu. Jakieś tajemnicze głosy i śmiechy. Towarzyszył temu zapach dymu z ogniska, znak, że w pobliżu obozują ludzie. Ale co ich zapędziło w tę głuszę, nie było wiadomo. Ani czy byli przyjaciółmi, czy wrogami.

Jak gdyby zadając sobie te same pytania, Rory skręcił z duktu w wąską ścieżkę i wparł konia w strumień. Jechali jego korytem aż do miejsca zawalonego głazami, między którymi wprawdzie przesączała się woda, ale koń nie mógłby się precyzyjnie przesuwać. Tutaj wrócili na wysoki brzeg i znów byli w lesie.

Dotykające siebie korony drzew zasłoniły im rozgwieżdżone niebo. Gęstwina utrudniała jazdę. Był to ostęp leśny nasycony żywicznymi zapachami i ciszą, które otaczały ich jak miły i ciepły kokon.

Mech tłumił odgłos kopyt końskich. Wierzchowiec szedł wydłużonym stępem. Annę Claire ogarnęła senność. Po silnych przeżyciach ostatnich godzin przyszło uspokojenie. Napięte do tej pory mięśnie rozluźniły się. Wsparła głowę na ramieniu Rory'ego i natychmiast zapadła w sen.

Obudził ją brak ruchu. Koń stał i szczypał jakieś porosty. Rozejrzała się wokół siebie. Poprzez korony drzew przebijało się blade światło świtu. Słysząc już było ptasie trele.

- Gdzie jesteśmy? Dlaczego stoimy?
- Za dnia jazda staje się niebezpieczna. Przeczekamy tu do wieczoru.
- Tutaj? - Zsunęła z głowy kaptur. - W tej dziczy? Zeskoczył z siodła i zsadził ją na ziemię.
- Ta dzicz zapewni nam schronienie.

Wyrwana z krótkiego snu, czuła się wciąż półprzytomna. Rory zaprowadził konia do pobliskiego strumienia i pozwolił mu się napić. Następnie wprowadził go w kępę krzewów leśniczyny. Drżące w lekkim powiewie listowie utworzyło naturalny parawan.

Wróciwszy, wziął bladą jak płótno Annę Claire za rękę i ruszył z nią przed siebie pośród kolumnady drzew. Prawie weszli na tę chatę. Można ją było łatwo pomylić z kopcem bądź pagórkem. Była przemyślnie zamaskowana darnią i gałęziami. W izbie wciąż panowała nieprzejrzana ciemność. Dopiero po jakimś czasie Anna Claire zaczęła coś dostrzegać. Pomógł jej w tym blask bijący z paleniska, jako że Rory od razu zakrzętnął się przy ogniu. Zobaczyła prosty stół, krzesła i zarzucone skórąi szerokie łoże.

Rory wyczarował skądś herbatę i suchary.

-- Na razie tym musimy zaspokoić głód. Na kolację spróbuję złowić jakąś rybę.

Anna Claire czuła ssanie w żołądku, ale od głodu większy był jej niepokój.

- Jak długo zamierzasz trzymać mnie przy sobie?

Ugryzł pół suchara i popił herbatą.

- A czego się spodziewasz?

- Że będziesz miał na tyle przyzwoitości, by mnie uwolnić. Przecież ucieczka się udała.

- Chcesz, bym cię uwolnił? W takim razie zechciej mi, proszę, powiedzieć, kiedy mogłem to zrobić?

Wzruszyła ramionami. Gniew odbierał jej jasność myślenia.

- Okazji było aż nadto. Jestem pewna, że w każdej z wiossek, które mijaliśmy, znalazłby się ktoś, kto by mnie odwiózł bezpiecznie do domu.

- Być może. Możliwe jednak również, że ujrzawszy cię, zobaczywszy twój kosztowny ubiór, pomyślałby o swoich drżących z zimna i głodu dzieciach i doszedł do wniosku, że przydasz mu się bardziej martwa niż żywa.

Nie posiadała się z oburzenia.

- Czy mam przez to rozumieć, że mogliby zabić mnie dla płaszcza lub sukni?

- Oczywiście. Albo dla tego kościanego grzebyka w twych włosach. Albo dla pierścionka na palcu. Ci ludzie umierają z głodu, moja pani. Gdyby zaś dowiedzieli się, że twoim ojcem jest lord James Thompson, zausznik i doradca angielskiej monarchini, poderżnęliby ci gardło tylko z tego powodu.

- *Jak możesz mówić takie straszne rzeczy? Moją matką* była Margaret Doyle z Dublina. Córa tej ziemi. Z krwi i kości Irlandka.

- Niewiele by to obeszło biednego wieśniaka, którego zboże stratowali angielscy żołnierze. A także tego, którego córkę i żonę ci sami żołnierze bestialsko zgwałcili, podczas gdy on doglądał trzody. Oni wiedzieliby tylko, że twój ojciec jest przyjacielem królowej, która ssie ich krew niczym kleszcz.

Słowa te nie mogły nie pobudzić wyobraźni Anny. Oczywiście duszy ujrzała potworne sceny mordu. Wstrząsnął nią dreszcz. Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

- A więc to dlatego upodobniłeś się do tych, którymi gardzisz?

- Jesteś niesprawiedliwa. Naprawdę sądzisz, że wziąłbym kobietę wbrew jej woli? Nie masz się czego obawiać, moja pani. Twej cności nic nie zagraża, przynajmniej z mojej stro-

ny. Trochę się różnię od tych angielskich łotrów, którzy palą i grabią. Ale jeśli mi przyjdzie zabić kilku niewinnych żołnierzy razem z winnymi, nie zawaham się. Albowiem ktoś spośród nas, Irlandczyków, musi krzyknąć wielkim głosem: „Mamy już tego dość!” Mnie chodzi o pomstę na mordcach niewinnej młodej niewiasty, która pełna nadziei jechała na swój ślub. Inni doświadczyli innych krzywd od najeźdźcy i okupanta - zabito im córki, matki, ojców i synów. Spadł na nich miecz tylko z tego powodu, że urodzili się na tej ziemi.

- Dobrze, ale czy usprawiedliwia to twój wczorajszy czyn?

Odstawił kubek i przez chwilę spoglądał na nią w blasku paleniska.

- O jakim czynie mówisz?

Otarła łzy, które jednak wciąż płynęły.

- Nie mówię o sobie, gdyż zasłużyłam na to, co mnie spotkało. Zostałeś ogłoszony przestępcą i buntownikiem, a takim ludziom nie należy ufać. Tymczasem ja wpuściłam cię do domu, gorzej, bo do swojego serca.

Ponieważ łzy zamgliły jej wzrok, nie dostrzegła reakcji Rory'ego na te słowa. Rysy twarzy mu złagodniały, a na wargach pojawił się uśmiech.

- Ale Bridget i Tavis zasłużyli na lepszy los - ciągnęła.  
- Twoi ludzie zbili poczciwego Tawisa i do tego stopnia przstraszyli jego żonę, że omal nie umarła. Nie mówiąc już o kradzieży koni...

Jego uśmiechu nie można już było nie zauważyć.

Miała tego wszystkiego dość. W ataku gniewu wyrzuciła stół. Herbata rozlała się, suchary posypały na ziemię.

- A niech cię cholera, Rory O'Neil. Tylko drań widziałaby w tym coś wesołego.

Teraz już wybuchnął śmiechem. Chwycił ją za rękę i pocałował w dłoń.

— Najdroższa Anno Claire, to wszystko była sztuczka. Część starannie obmyślonego planu.

- Sztuczka? - Spojrzała nań badawczo. - Dopuszczałeś się oszustwa?

- Tavis był wtajemniczony. Bridget również. Posłużyliśmy się krwią kurczaka.

- Krwią kurczaka - powtórzyła. Podejrzliwość rosła w jej duszy. Miała wciąż przed oczyma Tavis'a: jego porwane odzienie i broczącą krwią głowę. - Chcesz powiedzieć, że Tavis nie ucierpiał od ciosów?

- Dlaczego mielibyśmy używać przemocy wobec wiernego syna Irlandii? Ryzykował swoje życie, udzielając nam schronienia. Gdyby nie Tavis i jego Bridget, ja i moi ludzie zostalibyśmy wyłapani i ścięci zaraz po tamtej bitwie w porcie.

Anna Claire przez chwilę ważyła w myślach to, co właśnie usłyszała. Następnie, ująwszy się pod boki, zmierzyła go kosym spojrzeniem.

- Jeżeli to prawda, to dlaczego nie wtajemniczyliście mnie w wasze plany?

- Tavis i Bridget nie byli pewni, czy ich młoda pani potrafi przekonująco kłamać. Doszli do wniosku, że jeśli nie będziesz znała prawdy, zachowasz się dokładnie tak, jak się zachowałeś. To znaczy demonstrując zdumienie i przerażenie.

- Twoi ludzie też o tym wiedzieli?

Potwierdził skinieniem głowy.

- I pozwoliłeś mi niepokoić się przez całą noc? Przystałeś na mój płacz i zgryzotę?

- Wybacz mi, proszę. Nie było czasu na wyjaśnienia. Wypadki następowały jeden po drugim. Miałem po prostu inne rzeczy na głowie.

- Inne rzeczy, ważniejsze rzeczy. - Już nawet nie próbowała powstrzymywać płynących obficie łez. - Och, Rory, nawet się nie domyślasz, co przeżyłam. Co sobie przez ten cały czas wyobrażałam. Jak bardzo cię nienawidziłam. Nienawidziłam też siebie za to, że obdarzyłam cię zaufaniem.

Objął ją i przytulił. Zanurzył twarz w jej włosach. Szepnął do ucha:

- Mam nadzieję, że mi wybaczysz, Anno Claire. Jesteś rozumna i wielkoduszna. Nie wystarczała sama ucieczka. Musiałem uzyskać pewność, że na tych wszystkich, którzy podali mi pomocną dłoń, nie padnie nawet cień podejrzenia. Rozumiesz? Gdybym nie przekonał Dunstana, że schroniłem się w twoim domu bez twojej wiedzy i przyzwolenia, wszystkich spotkałaby kara. Tavis i Bridget zostaliby oddani katu. Polityczna kariera twojego ojca byłaby przekreślona, a jego dobra skonfiskowane. To dlatego musiałem uciec się do sztuczki - żeby Dunstana naprowadzić na fałszywy trop.

Płakała, mocząc Rory'emu koszulę.

- Och, Rory, o czymś takim nawet nie pomyślałam. Byłam krótkowzroczna, ty zaś rozważny i przewidujący. Do końca życia będę twoją dłużniczką.

- Jest akurat odwrotnie. To ja nigdy nie wypłacę się z za-

ciągniętego u siebie długu. A teraz już dość łez. Połóż się i wypocznij. Tymczasem posprzątam tu trochę i zaparzę nową herbaty.

Anna Claire wsunęła się pod miękkie skóry. Patrzyła, jak Rory podnosi przewrócony przez nią stół i zbiera suchary. Czuła się, jakby zdjęto jej z ramion ogromny ciężar. Niegodziwy i brutalny barbarzyńca na powrót stał się szlachetnym rycerzem.

Zadbał o wszystko. O bezpieczeństwo jej poczciwych starych służących, o dobre imię ojca, wreszcie o jej opinię. Podczas gdy go przeklinała, on w trosce o nią dopuszczał się śmiałych i ryzykownych czynów.

A teraz było jej wygodnie, ciepło i czuła się bezpieczna.

I z poczuciem zadowolenia i spokoju w sercu zapadła w sen.

Rory ściągnął buty i legł na skórach obok Anny Claire. Pomyślał o człowieku, który sklecił tę chatę i zadbał o pozostawienie w niej zapasów, i gorąco mu w duchu podziękował. Gdyby tylko cały szlak ich wędrówki był pełen tego rodzaju miłych niespodzianek. Oczywiście, to było niemożliwe. O sobie nie myślał. W ciągu ostatnich dwóch lat przywykł do trudów i pokonywania przeciwności losu. Teraz jednak musiał zadbać o bezpieczeństwo Anny Claire.

Spojrzał na leżącą przy nim kobietę. Pograżona w głębokim śnie, wyglądała na anioła, który zstąpił z niebios. Zresztą była aniołem. Nie zasługiwała na to, co ją spotkało. Naraził ją na straszliwe niebezpieczeństwo i nienawidził siebie za to.

Dokonał już jednak wyboru i nie było odwrotu. Musie-

li nocami przemierzać kraj na jednym koniu, bojąc się każdego cienia i każdego szelestu, a za dnia ukrywać się jak złodzieje.

Podziwiał odwagę i dumę Anny. Jej dotychczasowe życie legło w gruzach. Ona jednak nie okazała najmniejszej słabości. Nie mdlała, nie wznosiła rąk ku niebu i nie rozpaczała. Nagłą odmianę losu zniosła z godnością i spokojem. To jeszcze bardziej go utwierdziło w miłości do niej.

Miłość. Takiego daru, zaiste, nie spodziewał się od życia. Dobrze wiedział, co oznacza to słowo. Kochając, bardziej dba się o dobro tej drogiej istoty niż o swoje własne. I żadne poświęcenie nie jest zbyt duże, żadna cena zbyt wygórowana. On, Rory, wolałby umrzeć, niżeli widzieć Annę Claire nieszczęśliwą i zboląłą.

Miłość najściślej łączy się z odpowiedzialnością. Przy najbliższej okazji będzie musiał powiadomić ojca Anny Claire, że jego córka jest bezpieczna. Niechaj strach i cierpienie lorda Jamesa Thompsona będą jak najkrótsze. Dlatego on, Czarny O'Neil, który porwał jedyne dziecko tamtego, musi działać jak najszybciej.

Starął się nie ruszać, żeby nie dotknąć śpiącej. Bał się nie tyle tego, że ją obudzi, ile samego dotknięcia. Taki fizyczny kontakt mógłby spuścić ze smyczy jego żądze. W miłości bowiem, prawdziwej miłości, mieści się również pragnienie cielesnego posiadania. Pragnął Anny Claire ponad wszelkie wyobrażenie, ale wiedział też, że trzeba poczekać z miłosnym wyznaniem. Najpierw musi dokończyć tamtą sprawę, wypełnić tamtą przysięgę. Tildena dosięgnie karzący miecz. Natomiast co do Anny Claire, to jako człowiek honoru zwróci ją ojcu nietkniętą.



I dlatego plany muszą ulec zmianie. Nie może razem z nią uganiać się za Tildenem. Anna Claire po stokroć zasługuje na bezpieczne schronienie.

Olśniła go nowa myśl. Zawiezie ją do swego rodzinnego domu. Do Ballinarin. Co prawda, przysiągł sobie, że nie zobaczy najbliższych, dopóki nie dokona zemsty, jednak dla Anna Claire gotów był złamać tę przysięgę.

Zasypiał powoli, zadając sobie jeszcze pytanie, jak jego rodzina przyjmie wiadomość, że udziela schronienia córce lorda Jamesa Thompsona.

Gdy Anna Claire się obudziła, słońce stało już wysoko na niebie. Rozejrzała się - ani śladu Rory'ego. Jednakże skóry okrywające łóżko przechowały ślad wgłębienia po jego ciele. Przez chwilę leżała bez ruchu, skupiona na myśli, że dzielił z nią łożo. Było w tym coś dziwnego, jak również intrygującego.

Drzwi chaty otworzyły się i stanął w nich Rory z rybą w ręku. Jeszcze się rzucała.

- Widzę, że się obudziłaś. W takim razie dzień dobry. Jak się spało?

- Cudownie. Zupełnie jak we własnym łóżku. - Obdarzyła go na poły nieśmiałym, na poły uwodzicielskim uśmiechem. - Było mi nawet jeszcze lepiej, gdyż wiedziałam, że jesteś obok i w razie czego mnie obronisz.

Dostrzegł rumieniec, który zabarwił jej policzki. Naszły go nieprzyzwoite myśli. Nienawidził się za to.

- Gdybyś chciała się obmyć, to w miednicy jest woda, a obok leżą ręczniki.

Rzucił rybę na blat stołu i od razu się nią zajął, by tylko odsunąć od siebie pokusę.

Anna odrzuciła okrywające ją skóry i podeszła do stołka z miednicą. Przejrzała się w pękniętym lusterku. Włosy w nieładzie, potargane i zmierzwiłone, brudna twarz, poplamiona czymś czarnym, suknia zmięta i w kilku miejscach rozdarta. Doprawdy, nie była zachwycona swoim wyglądem. Szczerze mówiąc, chciała podobać się Rory'emu.

Zmyła brud z ramion, szyi i twarzy. Następnie palcami rozczesała długie włosy i zaczęła splatać je w gruby warkocz.

Tymczasem sprawiający rybę Rory próbował zapanować nad sobą. Bez rezultatu. Było coś tak ponętnego w widoku myjącej się Anny Claire, że wciąż podążał ku niej wzrokiem. Gdy zaś zajęła się swymi włosami, poczuł przypływ takiej żądz, że chwycił się stołu, by powstrzymać się przed niegodnym czynem.

Wygładziwszy suknię, odwróciła się ku niemu. Zmarszczyła czoło, zaniepokojona jego wyglądem.

- Co się stało, Rory? Źle się czujesz?  
- Nic mi nie dolega. Naprawdę nie ma o czym mówić.  
- Mam wrażenie, że nie jesteś szczerzy. - Podeszła i położyła dłoń na jego ramieniu. - Coś usłyszałeś. Albo coś zobaczyłeś. Cokolwiek to było, wyprowadziło cię z równowagi.

Strząsnął jej rękę, jakby była kawałkiem rozpalonego do białości żelaza.

- Muszę napić się wody ze strumienia. - Liczył, że powietrze go otrzeźwi.

- Jest świeża woda w dzbanku. Należę ci do kubka. - Po chwili trzymała już dzbanek w ręku.

Pokręcił przecząco głową.

- Chyba poczekam na herbatę.

Odeszła, co oznaczało stworzenie pewnego dystansu. Mógł wreszcie uporać się z rybą i rzucić ją na patelnię. Wtedy znów wydarzyło się coś, co nie powinno było się wydarzyć. Zanim bowiem zdążył postawić patelnię na rozgrzanej płycie, Anna Claire wyjęła mu ją z ręki, a ich dłonie na chwilę się zetknęły. Tamto pragnienie powróciło z całą mocą.

- Pozwól, Rory, że ja przygotuję posiłek.

Niebawem izbę wypełnił zapach smażonej ryby. Skwierczał tłuszcz. Ogień szumiał. Polana trzaskała.

Rory zapragnął porozmawiać o czymś obojętnym.

- Czy jesteś równie dobrą kucharką jak Bridget?

Roześmiała się dźwięcznie.

- A jak sądzisz? Kto mnie tego nauczył?

Była tak słodka, tak świeża i tak powabna. Smażyła rybę w leśnej chatynce z wdziękiem księżniczki. Zapragnął wziąć ją w ramiona i całować do utraty tchu.

- Może twoja matka.

- Zawsze była delikatnego zdrowia. Bywało, że na długie tygodnie kładła się do łóżka. Wtedy Bridget zastępowała mi matkę. To ona utulała mnie do snu i uczyła piosenek. To ona dała mi pierwsze lekcje szycia i gotowania.

Usłyszał w jej głosie rozrzewnienie. Pomyślał o swojej rodzinie - kochającej się i skłonnej do awantur.

- Kiedy moja matka wreszcie uświadomiła sobie, że zbliża się śmierć, poprosiła ojca, by powrócił z nią do Irlandii. Pragnęła umrzeć w rodzinnym domu, otoczona ludźmi, których kochała.

Rory pogładził Annę po włosach. Na ten niewinny gest mógł sobie pozwolić.

- Rozumiem ją. Ja też chciałbym zostać pochowany na cmentarzu w Ballinarin.

Anna Claire przerzuciła rybę na talerz, po czym ją pokrajała na mniejsze i większe dzwonka. Najmniejszą częśćkę ujęła w dwa palce, sprawdziła, czy nie ma w niej ości, i włożyła do ust Rory'ego.

- A teraz - rzekła z promiennym uśmiechem - będziesz mógł ocenić, czy byłam pojętną uczennicą.

Dotyk jej palców zupełnie go sparaliżował. Nawet trudno mu było powiedzieć, czy ma w ustach rybę, czy popiół. W skroniach tętniło. Kontury przedmiotów zaczęły się rozmywać i zacierać.

Udało mu się przełknąć. Wykrztusił:

- Byłbym zapomniał. Muszę narąbać drewna.

Była zaskoczona jego zachowaniem. Odeszła ją wszelka ochota do śmiechu.

- Mamy tu dość drewna. - Wskazała na starannie ułożone polana przy kuchni.

- Na cały dzień nie wystarczy. - Odsunął ją i ruszył ku drzwiom.

- Ale ryba wystygnie - rzuciła za nim.

- Wybacz, drewno jest ważniejsze. - Nawet się nie obejrzał. Nie mógł. Już na dworze kilkakroć zaczerpnął w płuca świeżego powietrza.

Czasem mężczyzna musi postawić tamę swym żądom. I nie jego to wina, że wygląda przy tym, jakby dostał pomieszania zmysłów.

Anna Claire została w chacie zdumiona i przybita. Wzięła z talerza kawałek ryby i skosztowała. Spodziewała się naj-

gorszego. Ku jej miłemu zaskoczeniu ryba okazała się smaczkowita. Nawet Bridget nie zrobiłaby lepszej.

Usiadła na brzegu łóżka i pograżyła się w myślach. Jeśli to nie z powodu ryby Rory zachował się tak dziwnie, to z jakiego innego? Może powiedziała coś, co go ubodło bądź zraniło? Jednak nie mogła sobie niczego przypomnieć. Tymczasem on wypadł z chaty, jak gdyby obleciały go osy. A przecież próbowała na różne sposoby dać mu do zrozumienia, jak się cieszy, że jest tu razem z nim. Nawet bardziej niż cieszy. Była tym faktem wręcz rozradowana. Tutaj nie musiała już kryć się przed służbą. Ani bać się wizyty niespodziewanego gościa. Ona i Rory byli sami. Mogli robić, na co mieli ochotę.

Jak bardzo chciała, by Rory dzielił z nią ów radosny stan ducha. Czyż skapiła mu uśmiechów i miłych słów? Czy nie widział zachęty w jej oczach? Musiałyby być ślepy, żeby nie dostrzec, że oczekuje na pierwszy krok z jego strony. Zamiast jednak wyjść jej naprzeciw, uciekł od niej, jakby nosiła w sobie śmiertelną chorobę. Było to tym dziwniejsze, że w Dublinie poczynił sobie dużo śmieiej. Co zaważyło na tej zmianie?

Kiedy tak biła się z myślami, przypomniało się jej, co powiedział tej nocy. „Ze mną nie musisz lękać się oswoją cnotę, moja pani”.

Nakryła usta otwartą dłonią. W jednej chwili wszystko stało się jasne. Postąpił tak przez wzgląd na nią. By uchronić jej czystość i niewinność. Nawet gdyby miało to oznaczać bezsensowne rąbanie drewna na opał do końca dnia.

Poderwała się z łóżka. Będzie musiała uporać się ze swą dumą i znaleźć sposób wyznania mu, co naprawdę czuje i czego pragnie.

Jaka szkoda, że Bridget, tak chętna do radzenia w sprawach szycia i gotowania, nic jej nie poradziła w sprawach miłosnych.

Ruszyła ku drzwiom, modląc się, żeby Rory nie utrudnił jej zadania.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Rory opuścił siekiere z taką siłą, iż ostrze rozłupało kłodę, jakby była samym próchnem. Odrzucił bierwiona na bok, sięgnął po kolejny kloc i powtórzył zamach.

Od pasa w górę był nagi. Pot perlił się na ramionach i torsie. Zranione ramię dawało znać o sobie ćmiącym, a przy gwałtowniejszym ruchu szarpiącym bólem. Ten ból nawet sprawiał mu przyjemność. Miał się na czym skupić. Mógł wreszcie przestać myśleć o Annie Claire i jej budzącym grzeszne żądze ciele.

Rozumiał motywy jej postępowania. Chciała załagodzić nieprzyjemne wspomnienia ostatniej nocy. Nie musiała go przeproszać. Jej gniew był całkowicie usprawiedliwiony. A teraz, rzecz jasna, mieszała wdzięczność z miłością. I to głównie z tego powodu stara się okazać mu zainteresowanie.

Uniósł siekiere nad głowę. Spadła niczym błyskawica. Zatracając się w pracy, miał nadzieję, że obraz jej wysokich jędrnych piersi i krągłych bioder zniknie mu sprzed oczu. Gdyby nie próbował być tak cholernie honorowy, wszystko to byłoby jego.

Szczapy z rozłupanego kloca furknęły w powietrzu, opadając na ziemię dobrych kilka metrów dalej. Kładąc na pieńku kolejną kłodę, dostrzegł kątem oka jakiś poruszający się kształt.

Wyprostował się i zwrócił ku Annie Claire.

- Powinnaś w tej chwili jeść - zauważył.

- To żadna przyjemność jeść samej. - Serce waliło jej w piersi, jakby chciało z niej wyskoczyć. - Postanowiłam poczekać na ciebie, Rory.

- Nie ma najmniejszej potrzeby. Z tą robotą zejdzie mi jeszcze trochę. Sama widzisz, ile tu pieńków.

- Dobrze. Ty rąb, a ja będę nosić. Poukładałam szczapy przy palenisku.

Schyliła się po pierwsze z brzegu polano. Chwytał ją za rękę. Oblała go fala gorąca, jak zawsze, gdy dochodziło między nimi do fizycznego kontaktu. Chłodne powietrze nie mogło ugasić tej gorączki.

- Nie musisz mi pomagać. To praca zbyt ciężka dla ciebie.

- Nie jestem ze szkła, Rory.

Dotknęła dłonią jego policzka. Wzdrygnął się. Przebiegł go dreszcz. Anna pomyślała, że miała rację. Próbował kurczowo się trzymać zasad honoru. Lecz równocześnie jej pożądał. Dawało jej to poczucie siły i przewagi. Powiedziała miękko, kuszącym głosem:

- Jestem kobietą. Czy jeszcze tego nie zauważyłeś?

- Przeciwnie - odparł przez ściśnięte gardło. ~ Musiałbym być chyba ślepcem.

Twarz Anny rozjaśnił uśmiech.

- To dobrze. Ciekawam jednak, czy dostrzegłeś również, że jestem kobietą świadomą swojej kobiecości.

Odchrząknął.

- I owszem. Raz czy dwa dotarło to do mnie.

Jej ręka powędrowała w górę i spoczęła na jego karku.



- A teraz sprawdzę smak twoich warg. Chciałabym też wygładzić tę zmarszczkę na twoim czole. - W jej głosie dało się wyczuć jakby wesołość.

Chwycił ją za nadgarstek i spojrzał ostrzegawczo,

- Nie jestem w nastroju do zabawy, Anno Claire,

Ogarnął ją strach. Mówili jak gdyby dwoma różnymi językami. Wyprostowała się.

- Ani ja. Nie proponuję zabawy, Rory O'Neil. Wszystko, co powiedziałam, mówiłam poważnie.

- To dobrze, że się rozumiemy.

I w tym momencie popełnił błąd. Poluźnił dłoń, która obejmowała jej nadgarstek. Chciał cofnąć się o krok, by swobodniej odetchnąć. Nie uwzględnił w rachunku, że ona bynajmniej nie zamierza ofiarować mu takiej swobody.

Wsparła się na nim całym ciałem. Jej piersi dotknęły jego obnażonego torsu. Czy zdawała sobie sprawę, co czyni? Sam o sobie mógł tylko powiedzieć, że brakuje mu powietrza.

- Czy aby na pewno wiesz, co robisz w tej chwili?

- Chcę się z tobą kochać, Rory.

Nie słyszał dotychczas równie śmiałego wyznania z ust kobiety.

- Chcesz, żebym zabrał ci cnotę? Żebym wystąpił w roli łupieżcy i gwałciciela? Jak jakiś cholerny Anglik?

- Porównanie mało trafne. Nie zapominaj o różnicach. Nie tyle ty będziesz brał, ile ja będę dawała.

- Chcesz obdarować człowieka, za którego głowę wyznaczono nagrodę? Człowieka bez przyszłości? Nie mam nic, co mógłbym ofiarować ci w zamian.

- Proszę tylko o to jedno. Nie chcę słyszeć z twoich ust odmowy.

Faktycznie myślała o jego ustach. Były zmysłowe i kuszące. Gdy je rozchylił, by zaprotestować, położyła mu na wargach wskazujący palec.

Poczuł, że jego dotychczasowe życie wypada z utartej koleiny.

- Podejrzewam, że nie wiesz, co czynisz.

- Mylisz się, Rory. Nigdy nie byłam tak pewna swoich pragnień jak w tej chwili.

Spojrzał w głąb jej przejrzystych oczu. Wyczytał z nich miłość i tęsknotę, które łączyły się z jego miłością i tęsknotą. Siekiera upadła na ziemię. Nawet nie zwrócił na to uwagi.

Rzekł z poważną miną:

- Gdy przekroczymy tę linię, nie będzie już odwrotu. Czy rozumiesz mnie, Anno Claire?

Kiwnęła głową.

Przyciągnął ją gwałtownie ku sobie. Pochylił się. Szepnął wprost w jej usta:

- Myślałem, że uda mi się oprzeć pokusie. Byłem zdecydowany oddać cię ojcu czystą i dziewiczą. Niestety, nie jestem z kamienia i żelaza.

- I właśnie dlatego cię pragnę, Rory O'Neil - zdążyła jeszcze powiedzieć, zanim rozgniół jej usta swoimi.

Odsunęła się trochę, uniosła głowę i spazmatycznie westchnęła.

Przyciągnął ją ku sobie.

- Rozmyślałaś się?

- Nie. - Słowo to uleciało wraz z westchnieniem. Wygięła szyję, by uczynić łatwiejszy przystęp jego wargom. - Po prostu zabrakło mi powietrza.

On jednak zmienił zamiar, pochylił głowę i poszukał ustami jej piersi.

Przeszedł ją dreszcz.

Nie zwracał uwagi na materiał stanika. Traktował go niczym skórę. Udało mu się sprawić, że Anna jęknęła i ujęła jego twarz w dłonie.

- Czy wiesz, co mi czynisz?

Uśmiechnął się z jakimś rozmarzeniem.

- To samo, co ty mi czyniłaś od dnia naszego spotkania, Anno Claire. - Pocałował ją z taką namiętą gwałtownością, że cofnęła się i wsparła plecami o pień drzewa.

Zanurzył palce w jej włosach, a potem spadł na nią deszcz pocałunków. Całował policzki, czoło, nos, brodę, chwycił delikatnie zębami koniuszki jej uszu.

Wydała jęk rozkoszy, w którym jednakże pobrzmiwało zdumienie.

- Rory, zaczekaj. Chodźmy do chaty. Tam jest łóżko. Miękkie i szerokie.

Wydyszał chrapliwym głosem:

- Nie sądzisz chyba, że kochanie się ze mną jest czymś schludnym i uporządkowanym. - Od jego gorącego oddechu przebiegł ją dreszcz. - Ani mi w głowie miękkie i szerokie łoże. A może jeszcze z różanymi płatkami wśród prześciera-deł. Wezmę cię w miejscu, w którym dasz mi swoje przyzwolenie, obojętnie, gdzie by to było. Oczekuję tego samego od ciebie. Kochaj mnie tam, gdzie jestem. Kochaj mnie takiego, jaki jestem. .

- Och, Rory, będzie tak, jak mówisz. - Przejmująco westchnęła. - Jestem gotowa.

Pocałował ją gorąco, z takim nie skrywanym pożądaniem,

że mogła mu odpowiedzieć tylko tym samym. Chociaż oboje czynili wszystko, by nasycić siebie nawzajem, ich pożądanie rosło, miast słabnąć.

Spękana kora pnia wrzynała się Annie w plecy, lecz była zbyt pijana słodkim całowaniem, by to zauważyć. Przeniósł usta na jej szyję. Rzucił jakieś słowo. Potem usłyszała odgłos dartej tkaniny. Poczwała na ciele chłód powietrza. Odkryła ze zdumieniem, że jej suknia opada i rozkłada się na ziemi wokół jej stóp. A potem sięgnął dużymi dłońmi ku tasiemkom koszuli. Uwolnił jej piersi.

Zawsze myślała, że ukazanie swej nagości mężczyźnie łączy się z przykrym wstrząsem i dotkliwym wstydem. Jej jednak tylko zaschło w gardle, gdy spojrzała mu w oczy.

- Wielkie nieba, Anno Claire. Jesteś nawet piękniejsza, niż to wyobrażałem sobie w najśmielszych snach.

A potem już nie trzeba było słów. Jego ręce i usta powiedziały jej wszystko, co chciała wiedzieć. Był złąkniony, a teraz pił do syta. Pełen desperacji mężczyzna, który sięgał po nią niczym po samo źródło życia.

Zapragnęła zobaczyć go i poczuć w identyczny sposób. W równym stopniu zapragnęła jego nagości. Ujęła w dwa palce koniec sznurówki koszuli. Po chwili spełniło się jej zachcenie.

Okrył pocałunkami jej ramiona i piersi. Poczwała dziwne drżenie nóg. Złękła się, że mogła odmówić jej posłuszeństwa.

Domyślając się tej słabości, delikatnym ruchem nakłonił ją, by osunęła się na kolana. Uklękli wśród mchów, paproci i rozrzuconych ubrań.

Poprzez listowie i igliwie drzew przebijały ostatnie promienie kończącego dzienną wędrówkę słońca. Powietrze przesycone było upojnymi zapachami lasu. Ptaki wymieniały przedwieczne śpiewne przesłania. Stado dzikich kaczek osiadło na modrym oczku wodnym. Przemknął lis z rudą kitą. Ani jedno jednak z tych zdarzeń nie przekroczyło progu ich świadomości. Złączeni w miłosnym uścisku, istnieli tylko dla siebie i w żadnym stopniu dla świata. Słyszeli swoje płytkie oddechy i przyspieszone bicie serc. Szum pulsującej w skroniach krwi głużył muzykę boru.

Rory próbował trzymać na wodzy pożądanie. Od tak dawna pragnał Anny i oto nadeszła chwila spełnienia. Mając jednak na względzie dobro Anny Claire, musiał okiełznać swą dzikość i postępować rozważnie. Pragnał dać jej coś z siebie, a nie tylko nasycić się jej ciałem. Ten akt miłosny miał być rodzajem wyzwolenia z okrutnej rzeczywistości. Na jedną chwilę mieli przestać być tropionymi i osaczanymi przestępcami. Na jedną chwilę mieli zapomnieć o wszystkich niebezpieczeństwach, które ich jeszcze czekały. Tak właśnie to sobie postanowił.

I dlatego jego pieszczoty dorównywały pod względem delikatności pocałunkom. Poznawał jej ciało niczym miłą okolicę. Dotarł nawet ustami do zmysłowych nisz pomiędzy szyją a ramionami. A kiedy tak smakował, penetrował i bładził, ona przeżyła się i przeobrażała w wewnętrznym ogniu.

Doszło do tego, iż Anna Claire uświadomiła sobie z pewnym zaskoczeniem, iż to, co robi, wcale jej nie zawstydza, chociaż z jakiegoś punktu widzenia jest bezwstydnym. W miłości z Rorem nie było miejsca na wstyd. To była sfera wol-

ności, szczerości i autentyczności. Wiedziała już, że może czynić dokładnie to, co czyni Rory.

Spostrzegła jego delikatność i doceniła ją. Pograżała się w otchłani rozkoszy. Słyszała swoje westchnienia - tę jakże nową dla niej i osobliwą spowiedź miłosnych doznań. Lecz oto nagle poczuła, że wstępuje w nią demon. Coś domagało się uwolnienia, coś skręciło jej ciało w chorobliwym spazmie. Westchnienie przeszło w bezsłowny szept, ten zaś w jęk.

Rory nie mógł nie zauważyć tej zmiany. To już nie było wyznanie rozkoszy, tylko żądanie i dyktat. Świadczył o tym wyraz jej twarzy, przyśpieszony oddech i smak potu perlącego się na górnej wardze.

Odpowiedział dzikim pocałunkiem.

- A teraz, miła - szepnął w jej rozchylone usta - stanie się to, o czym od dawna marzyłem.

Osunęli się na ziemię i połączyli, tak ściśle jak na wsze czasy. Krótco jęknęła, po czym oplotła go nogami. Zaczął falować na niej. Był masą wód tropikalnych, był morską falą, był gwałtownym sztormem. Oczy Anny Claire pociemniały z namiętności. Wszystko, czego pragnęła, właśnie się stawało. Wsasyły ją wirujące odmęty miłosnego upojenia.

- Rory, mój Rory, proszę, błagam...

Wypełnił ją swą żądzą i powiódł na sam szczyt. Zatracił się całkowicie. Zagubił się w jej pięknie i jej miękkości, w jej namiętności i jej bezgranicznym przyzwoleniu.

Kilkakroć powtórzył jej imię. I z tym imieniem na wargach, niczym ze zwycięskim sztandarem, dotarł razem z nią do strefy gwiazd.

Leżeli, wciąż stanowiąc jakby jedno ciało. Nie byli w stanie się ruszyć. Burza minęła, oni zaś powoli wchodzili w przestrzeń ciszy.

Rory właśnie uzmysłowił sobie, że po raz pierwszy od dwóch lat skupił się całą duszą na czymś, co nie było mieczem i sztyletem. Jego broń leżała na trawie pośród z pośpiechem zrzuconych ubrań. Gdyby w tej chwili otoczyli ich Anglicy, nie mieliby żadnych trudności z wzięciem go w pęta lub ścięciem. Był rozbrojony. Jednak umarłby szczęśliwy. Niewysłowienie szczęśliwy.

- Miażdżę cię tym swoim ciałem - zauważył.

- Nie mów tak, Rory. Zostań. - Dotknęła dłonią jego policzka, po czym pozwoliła swej ręce opaść.

- Wyglądasz, jakbyś najadła się szaleju. Zresztą ja chyba również. - Uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

Zdobyła się na cichy śmiech.

- Tak. Otumaniona i oszołomiona.

Nagle piersią jej wstrząsnęło łkanie.

Ogarnął go niepokój. Usiadł.

- Wybacz, najukochańsza, że okazałem się **tak** brutalny. Ale naprawdę nie miałem takiego zamiaru.

Powiedział: „najukochańsza”. To pełne czułości słowo sprawiło, że łzy popłynęły ciurkiem. Dotknęła opuszkami palców jego ust.

- Rory, to nie ty ponosisz winę za mój płacz. Płaczę, bo to było takie cudowne. Nigdy nie marzyłam o podobnym szczęściu.

Zabiło mu serce. Dotknął czołem do jej czoła.

- Tak, to było cudowne. Bo ty jesteś cudowną istotą, An-no Claire. Moja słodka, moja kochana.

- Czy to zawsze jest tak, jakby ogarniała cię fala przy-  
pływu?

Odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się.

- Trafne określenie, mój skarbie. Tylko że nie jest tak za-  
wsze. Niekiedy miłość jest słodka i delikatna.

- Ale nie z tobą, Rory.

Znow się roześmiał.

- Nie mów, że cię nie ostrzegałem.

- Nie przeczę. - Zmarszczyła nos. - I nie mam nic prze-  
ciwko leżeniu na tym mchu. Przypominam tylko, że tam  
w chacie jest szerokie łóżko.

- Chcesz zmienić mech na łóżko?

- Mogłoby być inaczej.

- Niewielka różnica. - Zafascynowany spoglądał na ku-  
szącą linię jej ramion, podziwiając zarazem aksamitną gład-  
kość skóry.

Dotknął wargami przesmyku pomiędzy pagórkami piersi.  
Zadrżała.

- Rory, przestań.

- Dlaczego? - Sunął ku kolumnie szyi.

- Ponieważ mnie to łaskocze.

- Wybacz, może przestanę, a może nie.

Pożądanie znowu zaczynało w nim narastać. Równie silne  
jak przedtem.

- Widzisz, już dostałam gęsiej skórki.

- To dobrze. - Wciąż ją pieścił i drażnił dotykiem ust. -  
Dokładnie do tego dążę.

- Ale chyba nie zamierzasz...? Czy mamy to robić... po-  
nownie?

- Czytasz w moich myślach, kochanie. - Jakże jej pożą-



dał! - Przecież możemy kochać się, gdy tylko tego zapragniemy. Wciąż i wciąż od nowa.

Słowa cichły na jego wargach. Zabrał ją w podróż do kresu rozkoszy. U jej końca byli bez tchu. Wreszcie nasyceni.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Czy aby ciepło ci, skarbie?

W odpowiedzi Anna Claire oplótła go ramionami i pocałowała w szyję. Niezmiennie doznawała głębokiej radości, gdy nazywał ją swoim „skarbem”. I zawsze dotyk jego rąk i bliskość jego dużego, silnego ciała napełniały ją błogim spokojem.

Gdy skończył się dzień, poszli do łóżka. W nocy na przemian kochali się i spali. Czasami zaskakiwała ich gwałtowność tych uczuć. Czasami jednak w swych wzajemnych pieśzeczotach stawali się powolni i wyrafinowani, jak gdyby czas przestał się liczyć i byli odgradzeni od świata grubym murem.

Rory wiedział, że postępuje lekkomyślnie. Każda godzina spędzona w tej leśnej chacie zmniejszała dystans dzielący ich od Anglików. Na razie jednak nie mógł się zdecydować na wyruszenie w dalszą drogę. Anna Claire oddała mu się duszą i ciałem. Serce przepełniała mu miłość.

Na dworze zaczynało szarzeć. Dzień, który nastawał, też będą musieli tu spędzić. Wyruszą najwcześniej o zmierzchu.

Spojrzał na ukochaną. Była piękna, a w ostatnich dniach okazała się kusicielką.

- Widzę uśmiech na twojej twarzy, Rory O'Neil. - Czując ziewnęła i dotknęła palcami jego ust.

- Śmieję się do swoich własnych myśli.
- Czy mogłabym je poznać?
- Są nieprzyzwoite. Spaliłabyś się ze wstydu.
- Po tym, co robiliśmy tej nocy, nic mnie już nie zawstydzi.

Wybuchnął śmiechem.

- Racja. Moja pani wciąż mnie zdumiewa. Kto by pomyślał, że wychowana w purytańskich rygorach Anna Claire Thompson zna tyle sposobów sprawienia rozkoszy mężczyźnie.

Uniosła się, siadła na nim okrakiem i pochyliła głowę.

•• - Obiecałeś nauczyć mnie dalszych.

- I dotrzymam słowa. Ale dziś zapewne życzysz sobie przynajmniej jednodniowej zwłoki.

- Dlaczego? - Kusicielsko wyduła usta.

- Ponieważ mój skarb jest trochę obolały.

- To jeszcze trzeba rozstrzygnąć, kto tu jest obolały. - Bawiła się włosami porastającymi jego tors. - Ostatecznie to ty zostałeś ranny i musisz wrócić do pełnego zdrowia. Boję się, byś czegoś sobie nie... nadwerżył.

- Święta prawda. - Chwyił ją za rękę. - Jeśli natychmiast nie zaprzestasz tej pieśczoły, to na pewno nadwerzę sobie to i owo. Dlatego czynię cię odpowiedzialną za wszystko, co się wydarzy.

Spojrzała spod rzęs.

- Mówisz poważnie?

- Och, co ja mam z tobą, kusicielko!

W jej oczach zapaliły się figlarne ogniki.

- Proponuję, byś raz jeszcze zrobił to, co robisz tak dobrze.

Przejmująco westchnął.

- Od wojownika żąda się najtrudniejszych rzeczy.

Przewrócił ją na posłanie i zaczął namiętnie całować.

- Och, mój duży, dzielny, mocarny wojowniku - tchnęła w jego usta.

Przerwał tę wyliczankę kolejnym pocałunkiem.

- Mam skuteczny sposób uciszania cię.

I już nie było słów, tylko same oddechy. Zresztą słowa w świecie miłości są najmniej potrzebne. W zupełności może je zastąpić czuły i namiętny dotyk.

- Głodna? - Rory leżał na posłaniu ze skór. Jedną rękę trzymał pod głową, drugą zaś obejmował Annę Claire.

Promienie porannego słońca wpadały do wnętrza chaty.

- Umieram z głodu. - Złożyła głowę na jego ramieniu.

- Jeszcze nie zjedliśmy ryby, którą wczoraj złowiłeś.

Określił sobie wokół palca pukiel jej włosów. Błyszczały w świetle dnia niczym najprawdziwsze złoto.

- O ile sobie przypominam, mieliśmy ważniejsze rzeczy do zrobienia.

- Tak, ale teraz czas na posiłek. Mam nadzieję, że poradzisz coś na mój głód.

- A jeśli mi się nie uda?

Uśmiechnęła się figlarnie.

- Wtedy słabość nie pozwoli mi nawet oddać ci pocałunku.

Wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać.

- Nie ruszaj się. Odpoczywaj, mój skarbie, a ja zakrzętnę się przy posiłku. Nie chcę, byś opadła z sił. Zbyt duża byłaby to dla mnie strata.

Ukłęka na łóżku, zdawało się, nieświadoma swej nagości.

- A więc mam na ciebie sposób. Wiem, jak cię pobudzić do działania.

Pochylił się i pocałował ją w same usta.

- Powiedzmy, że nie jest to niezawodny sposób. Za kilkadziesiąt lat nadejdzie taki dzień, kiedy ta groźba przestanie skutkować - powiedział z uśmiechem i wyszedł na dwór.

Zostawszy sama, Anna Claire pomyślała, że nawet te kilkadziesiąt lat nie wystarczą, by mogła nasycić się Rorym. Jej serce biło w rytmie miłości. Nie doświadczała jednak pełnej radości. Gdzieś w głębi duszy czuła żal, że nie padło między nimi żadne przyrzeczenie. Kochając się, nie zobowiązywali się do niczego. Oboje dobrze wiedzieli, że gdy opuszczą to miejsce, ten leśny azyl, Rory porzuci rolę kochanka i wróci do roli mściciela i buntownika. Znowu stanie się Rorym, którego poznała w dublińskim porcie.

- Muszę ci coś wyznać. - Rory uporał się z trzecim kawałkiem ryby, po czym pociągnął łyk gorącej herbaty. - Gotujesz nie gorzej od Bridget.

Teraz, kiedy sama została adresatką pochwał, Anna Claire zrozumiała wreszcie dumę i zadowolenie gospodyni.

- Nauczyłam się od niej nie tylko gotowania. Również cerowania i szycia. Spójrz na tę suknię. - Pogładziła leżący na jej kolanach materiał. - Praktycznie podarłeś ją na strzępy.

- Pilno mi było mieć cię w ramionach.

- Powiedziałabym, że pilno nam było obojgu. - Kilka-kroć przewlekła igłę i nić przez złączone brzegi rozdarcia.

- Następnym razem musimy być mniej gwałtowni.

Była tylko w nocnej koszuli. Ponieważ cerowała z pochy-

loną głową, złociste włosy spływały jej dwiema stnigami na twarz i krągłe piersi. Ów obraz lekko pochylonej młodej kobiety, bez reszty pochłoniętej swym zajęciem, był tak urokliwy i słodki, iż Rory zapomniał o całej swojej bolesnej przeszłości. Istniała tylko terażniejszość, wypełniona szaleństwem uczuć.

W pewnej chwili uniosła wzrok. Zobaczyła zmarszczkę na jego czole.

- O czym myślisz, Rory?

- O tym, że nie spodziewałem się przeżyć ponownie takiego szczęścia.

Wbiła igłę w materiał i odłożyła suknię. Wstała, podeszła doń, uklękła i wzięła go za rękę.

- Mogłabym powiedzieć prawie to samo. Nie spodziewałam się, że aż takie szczęście stanie się moim udziałem. - Patrzyła nań rozkochanym wzrokiem. - Rozumiesz?

- Bardzo dobrze. - Złożył czuły pocałunek na jej czole. Zaczęła rozwiązywać tasiemkę u koszuli.

Z uśmiechem na wargach i w oczach powstrzymał jej rękę.

- Pozwól, że ja to zrobię.

Po chwili, naga, siedziała na kolanach Rory'ego. Głęboko westchnęła, czując jego usta i dłonie na swym ciele.

Było popołudnie, lecz słońce stało jeszcze wysoko. Oni jednak stracili poczucie czasu, wyznając sobie bez słów przepełniającą ich serca miłość.

- Czas na nas - rzekł Rory, kierując spojrzenie ku ścianie lasu.

Dzień miał się ku końcowi. Zaczynało się ściemniać.

Mrok szedł od wschodu. Była to ulubiona pora dnia Rory'ego. Dziś jednak przeżywał ją inaczej niż zwykle. Nadchodząca noc oznaczała koniec ich idylli.

- Gotowa? - Jeden sztylet zatknął już za pasem, a teraz chował drugi w cholewie.

Anna Claire zarzuciła czarny płaszcz na ramiona, złote włosy ukrywając pod spiczastym kapturem.

- Możemy jechać - odparła.

Odwrócił głowę, by upewnić się, czy ogień na palenisku został dokładnie wygaszony, i poszedł po konia, ukrytego w gęstwinie. Po krótkiej chwili przyprowadził go na wodzy.

Anna Claire zamknęła drzwi chaty na skobel. Wolnym krokiem podeszła do Rory'ego.

- Szkoda, że nie możemy pozostać tu na zawsze.

Wskoczył na siodło, po czym pomógł jej usadowić się przed sobą. Musnął wargami jej policzek.

- Tak, mój skarbie. Mnie również żal tego miejsca i spędzonych tu chwil. Nie możemy jednak na zawsze ukryć się przed światem. Mamy siebie, ale mamy też pewne zadania do spełnienia.

Ruszyli i po chwili zagłębili się w las. Pogodne do tej pory niebo zasnuły chmury. Wzmógł się wiatr. Zaczęło padać. Niebawem siąpienie przemieniło się w mocny deszcz. Po godzinie byli już przemoknięci. Ciała ich dręczył wilgotny chłód, przenikający do szpiku kości.

Ziemia nasiąkała wodą i stawała się coraz bardziej śliska i grząska. Na połowie trawiastej pochyłości, którą właśnie pokonywali, Rory ściągnął wodze.

- Co się stało? - spytała Anna Claire, trochę zaniepokojona.

- Zdaje się, że coś usłyszałem.

Zamilkli i z napięciem wsłuchali się w noc. Docierały jednak do nich tylko odgłosy ulewy.

Rory zsadził Annę Claire na ziemię.

- Poczekaj tu na mnie. Skoczę do przodu i sprawdzę. Muszę mieć całkowitą pewność, że nic nam nie grozi.

Musiła się zgodzić. Polegała na jego doświadczeniu. Rory podczas wędrówki decydował o wszystkim.

Ruszył stępa, ona zaś odprowadziła go wzrokiem. Modliła się w duchu, by nie znikł jej z oczu w ciemności.

Nie odjechał daleko. Widziała, jak zatrzymuje się i wyciąga miecz. Chwilę później pół tuzina angielskich żołnierzy na koniach wyłoniło się zza wzgórza. Odwrócił głowę, by stwierdzić, że jest otoczony. Szóstka innych żołnierzy zachodziła go od tyłu.

- Rzuć broń, Rory O'Neil! - dał się słyszeć donośny głos dowódcy oddziału.

- A jeśli tego nie zrobię?

Oficer przeklął i warknął:

- Nie masz żadnych szans, irlandzki psie. Mamy nad tobą druzgocącą przewagę. Lepiej posłuchaj rozkazu.

Śmiech Rory'ego sprawił, że żołnierze wymienili zdumione spojrzenia.

- Mylisz się, Angliku. To wy jesteście w mniejszości.

To wystarczyło, by zbici z tropu żołnierze spóźnili się z podjęciem decyzji. Rory wykorzystał tę chwilę, spiął konia i rzucił się w środek zagradzającej mu drogę gromady. Kilkoma błyskawicznymi cięciami miecza zwalił trzech jeźdźców na ziemię, pozostałych zaś zmusił do błagania o litość.



- Wy tam! - darł się oficer, stojący na czele drugiej, tylnej grupy. - Ten kłamca jest sam. Wyciągnijcie broń i rozsiekajcie buntownika.

Na atak zdecydowało się trzech żołnierzy. Natarli z wzniesionymi mieczami z różnych kierunków. Po chwili jednak jeden umykał jak zając, dwóch zaś darło palcami w przedśmiertelnych drgawkach rozmiękłą darń. Reszta skupiła się i zaatakowała z furją. Godna pochwały determinacja nie na wiele jednak zdała się Anglikom. Rory władał mieczem niczym bóg wojny. A w walce jeszcze pomagał mu koń, który kopał, gryzł i stawał dęba.

Niestety, jednemu z żołnierzy udało się zamachnąć i pchnąć lancą. Ostrze przebiło szyję rumaka. Ten wspiał się na tylne nogi, rozdał chrapy, zakwiczał i runął na ziemię niczym rażony piorunem. Rory'emu udało się zeskoczyć z siodła dosłownie w ostatniej chwili.

Anna Claire z powodu odległości, nocy i deszczu nie dostrzegała szczegółów walki. Widziała jedynie kłębowisko ludzi i zwierząt. Walka trwała, więc Rory musiał żyć. Słyszała jęki, kwik koni i szcęk żelastwa. Anglicy wykruszali się, lecz nadal ich było czterech czy pięciu. Straciwszy konia, Rory walczył z ziemi.

I walczył wspaniale. Zdobywał przewagę. Z dwunastooosobowego oddziału zostało tylko kilku ludzi. Lecz kiedy podniósł miecz, by odparować zdradziecki cios z boku, poczuł ostry ból, a potem ciepło płynącej krwi. Rana na ramieniu nie wygoiła się jeszcze, a oto właśnie otrzymał nową. Mimo to walczył nadal z furją. Przeciwnicy zaczęli się cofać. Nagle wydarzyło się coś strasznego. Prawe ramię odmówiło Rory'emu posłuszeństwa. Spojrzał - zwisało bezwładnie.

Miecz wysunął się ze zdrętwiałej dłoni. Chwycił lewą ręką za sztylet, który miał u boku. Nie uniknął jednak drugiego ciosu. Kord również upadł na ziemię.

Rory był rozbrojony. Czekąca go niechybna śmierć z ręki przeciwnika. Patrzył, jak dowódca oddziału zbliża się doń z uniesionym mieczem. Na jego twarzy widniał okrutny uśmiech. Zanim jednak zdążył dopełnić dzieła i wrazić ostrze w serce Irlandczyka, wydarzyła się rzecz niezwykła.

Z ciemności wybiegła niewiasta.

- Dzięki Bogu - krzyknęła, rzucając się mu w ramiona. Ośłupiały, opuścił broń.

- Lady Thompson? To pani? A więc pani żyje?

- Tak, żyję, a ty, oficerze, wyratowałeś mnie z rąk tego szaleńca. - Starła się nie patrzeć na Rory'ego, by nie widzieć jego bladości i ran. Gorąco dziękowała żołnierzom za ocalenie.

Ci wciąż jeszcze nie mogli przyjść do siebie. Noc, wiatr, deszcz, krwawe żniwo i tu nagle ta młoda i piękna kobieta, która na przemian płakała i śmiała się.

- Myślałam, że zakończę życie w tej głuszy. Prosiłam już nawet Boga, by skrócił moje męki. Lecz wy, dzielni żołnierze, przyszliście mi na ratunek. Pokonaliście tę - spojrzała na Rory'ego - dziką bestię. Mój ojciec okaże wam swoją wdzięczność. Powiem więcej, królowa wynagrodzi was za odwagę, gdy doprowadzicie O'Neila w łańcuchach przed jej tron.

- Mamy darować mu życie? - Oficer aż zgrzytnął zębami na myśl, że ów rzeźnik będzie jeszcze przez jakiś czas wśród żywych. Najlepiej byłoby załatwić się z nim od razu i sprawa byłaby raz na zawsze zakończona.

- Ależ oczywiście, kapitanie. Zanim odda go katu, naj-

jaśniejsza pani zechce przypatrzeć się człowiekowi, który narobił tyle zamieszania w jej kraju. Jestem przekonana, iż w związku z tym spadnie na was deszcz pożytków i zaszczytów.

- Nałożyć mu więzy - krzyknął oficer, złakomiony rozsnutą przed nim wizją.

Kiedy żołnierze wypełniali rozkaz, Annę Claire chwyciły dreszcze. Trzęsła się niczym w ataku febry.

- A może macie, kapitanie, coś rozgrzewającego? Czuję zimno w członkach. Przemokłam do suchej nitki.

- Oczywiście, lady Thompson - odparł dowódca.

Nie minęło wiele czasu, a raczyła się mocnym trunkiem, nalany do kubka ze skórzanego bukłaka.

- Gdybym jeszcze mogła poprosić o rozpalenie ogniska? Lękam się, by przeziębienie nie przemieniło się w coś poważniejszego.

To życzenie również spełniono, i to nawet z nadstatkiem. Tak więc znalazła się pod płachtą namiotu, z kubkiem rumu w ręku, w kręgu ciepła rozchodzącego się od płonących karp i polan. W pewnej odległości na wprost siedział pod drzewem Rory. Miał skrępowane rzemieniami ręce i nogi. Trzymał przy nim straż jeden z żołnierzy. Pozostali słuchali opowiadania lady Thompson. Opowiadała o swoim porwaniu.

- Wyobraźcie sobie, panowie, że ten nie mający miary w zuchwalstwie barbarzyńca wdarł się do mego domu, by uczynić mnie swoją zakładniczką, gdy stało się wiadome, iż prawowite władze skazały go na szubienicę. Dlatego nigdy mu tego nie wybaczę.

Mężczyźni kiwali głowami, w pełni rozumiejąc oburzenie lady Thompson.

Wyciągnęła rękę z kubkiem.

- Smakowity trunek. Czy mogę liczyć na dolewkę?

Dolano po równi wszystkim.

Anna Claire uniosła brzeg spódnicy.

- Mam całkowicie przemoknięte buciki. To też jego wina. Nie okazał litości i włókł mnie w tym deszczu.

Trzej mężczyźni nie mogli oderwać oczu od kształtnych kostek lady Thompson. Była z tego bardzo zadowolona.

- Czy wiecie, panowie, czego w tej chwili pragnę najbardziej?

Potrząsnęli w milczeniu głowami.

- Chciałabym mieć na nogach buty O'Neila. Są solidniejsze od moich. A nim nie trzeba się martwić. Może pokonać drogę stąd do Londynu na bosaka. Niech cierpi za niegodziwości, których się dopuścił.

Wojakom spodobał się ten pomysł. Nie mieli nic przeciwko temu, by pozbawić buntownika butów. Toteż Anna Claire wstała, podeszła do drzewa i rzekła do strażnika:

- Zgodnie z przyzwoleniem pańskiego dowódcy, chcę zabrać buty O'Neilowi.

- Buty? - spytał, nie kryjąc zdumienia. Zwyczaj zezwalał na zabieranie butów jedynie poległym.

- Tak. Moje nie nadają się do chodzenia. Rozmiękły od wody. Chcę zatem te. - Wyciągnęła rękę w kierunku namiotu. - Jeśli ma pan jakieś wątpliwości, proszę iść zapytać kapitana.

- Ja... - Żołnierz przeniósł wzrok ze stojącej przed nim w deszczu kobiety na kapitana, który z dała dał mu znać, że wyraża zgodę. - Skoro kapitan pozwala, zaraz się tym zajmę.

Nachylił się nad jeńcem i brutalnie ściągnął mu buty. Anna Claire pożądliwie przejęła je z jego rąk. W prawym, jak się spodziewała, wymacała nóż, który niepostrzeżenie ukryła w fałdach spódnicy. Następnie, odwracając się, pozwoliła, by nóż upadł wprost na podołek Rory'ego. Wróciła pod chroniącą przed wiatrem i deszczem płachtę namiotu.

Żołnierze, rozgrzani trunkiem oraz ciepłem bijącym od płonących polan, wsparli się na łokciach. Obserwowali, jak dama zmienia buty. Widok ten sprawiał im wyjątkową przyjemność. Tym bardziej, że podciągnęła spódnicę wyżej, niż było to konieczne.

- Och - westchnęła, przymykając oczy. - Wiele bym dała za suche ubranie i wygodne łóżko.

Z piersi jednego z żołnierzy też się wyrwało westchnienie. Spojrzała nań z błyskiem w oku, wręcz zachęcająco. Uśmiechnął się, lecz zaraz jego wargi stężały. Płachtę namiotu przebiło ostrze miecza, które utkwіło w plecach nieszczęśnika. Zwalił się bez życia. Kapitan i ostatni z żołnierzy poderwali się na nogi. Do namiotu wtargnął Rory.

- Jakim cudem...?

Dowódca nie zdążył dokończyć pytania. Sięgnął po broń, lecz w tej samej chwili ostrze przeszło mu serce. Wyzionął ducha, zanim jeszcze dotknął ziemi. Widząc, że nie ma żadnych szans, żołnierz rzucił się do ucieczki. Rory chwycił za nóż, zamachnął się nim i cisnął. Krótki świst i straszny okrzyk ugodzonego człowieka. A potem jego cichnący jęk.

Anna Claire obserwowała tę scenę szeroko otwartymi oczyma. Sprawiała wrażenie dopiero co wyrwanej ze snu. Narastała w niej rozpacz. To na skutek jej podstępnego dzia-

łania czterech angielskich żołnierzy, którzy lojalnie służyli swej królowej, leżało teraz w kałużach krwi.

Taka była prawda i prawda ta napełniała ją przerażeniem.

Znalazła się w ramionach Rory'ego.

- Czy nic ci się nie stało, kochanie?

Wzięła głęboki oddech.

- Wszystko w porządku, Rory.

Zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

- Dobrze odegrałaś swoją rolę.

- Och, Rory. Tak się bałam.

- To naturalne. Potrafiłaś jednak przewyciężyć strach.

- Czule pogładził ją po policzku. - Mogłaś uciec i skryć się w lesie. Nikt nie winiłby cię za to. Tymczasem ty po raz drugi uratowałaś mi życie, czyniąc mnie swoim dozgonnym dłużnikiem.

Przytuliła się doń.

- Mam zwyczaj ściągać swoje należności, Rory O'Neil.

- Jestem wypłacalny. - Posadził ją na derce przy ognisku, a sam poszedł wybrać konia.

Wrócił, prowadząc za cugle silnie zbudowanego wałacha.

- Musimy ruszać w drogę. W każdej chwili może się tu pojawić reszta oddziału.

Była tego samego zdania. Nasunęła kaptur na głowę.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że zdobyłam się na to wszystko.

Roześmiała się, ale zaraz śmiech uwiązał jej w gardle. Nie-ruchome i pokrwawione ciała przedstawiały straszny widok. To ona doprowadziła do tej rzezi. Zadrżała. Ogarnęła ją dziwna słabość. Miała wielką ochotę wybuchnąć płaczem, lecz nie mogła.

Rory przygarnął ją do piersi.

- Moja dzielna. Wykazałaś wielki hart ducha. Dumni są teraz z ciebie twoi rycerscy przodkowie.

Słowa te dochodziły do Anny jakby zza ściany. Odrzuciła do tyłu głowę i zemdląła.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Lało przez cały dzień. Jakkolwiek czyniło to podróż przykrą i męczącą, Rory był wdzięczny niebu za chmury i słońce. Szum deszczu tłumił tętent kopyt końskich. Ślady nikły pod kałużami i zamazywały się w błocie. Rory miał również nadzieję, że gwałtowność ulewy zmusi ścigających do szukania jakiegoś schronienia.

Podróżowanie za dnia było oczywiście ryzykowne, ale właściwie nie mieli wyboru. Annie Claire należało jak najszybciej zapewnić bezpieczną kryjówkę.

Anna Claire. Wyczerpana, drzemała teraz w jego ramionach. Była zaiste zdumiewającą kobietą. Któż mógł przypuścić, że ta delikatna, starannie wychowana młoda dama okaże się taka zaradna i pomysłowa.

- I znów ta zmarszczka pomiędzy twymi brwiami. - Jej rzęsy zatrzepotały jak dwa motyle. Dotknęła opuszkami palca bruzdy na jego czole.

- Podejrzewam, że pojawia się zawsze wtedy, kiedy patrzę na ciebie. - Starał się zachować powagę. - Prawdopodobnie jest tak dlatego, iż patrzenie na ciebie nie należy do rzeczy łatwych.

- Doprawdy? - Uniosła ku niemu twarz.

- Tak. Bo patrzeć na ciebie, to jak spoglądać nie uzbrojonym okiem na słońce. Chociażby te twoje włosy, które lśnią



niczym piwo w szklanicy trzymanej na tle ognia. - Pogładził złociste pasma, które miały delikatność jedwabiu. - Albo te oczy o barwie morza. Ich kolor nabiera intensywności, kiedy chwyta cię gniew. - Zniżył głos o pół tonu. - Albo usta tak doskonale wykrojone, że patrząc na nie, mogę myśleć wyłącznie - musnął wargami jej wargi - o całowaniu ich.

- Och, Rory. - Rozradowana tymi słowami, przytuliła się jeszcze mocniej. - Nigdy nie słyszałam tak cudownych pochwał.

- To już taka irlandzka natura, że co w sercu i w myślach, to na języku. A teraz twoja kolej.

- Moja kolej na co?

- Odpłacić pięknym za nadobne. Ja też lubię słuchać komplementów.

- Ach. - Próbowała skupić się na tym jednym. - Myślę, że lubię twoje oczy. Tną jak brzytwę, kiedy jesteś zły. Lecz kiedy gości w tobie radość, migocą jak gwiazdy.

- A więc moje oczy migocą. - Pomyślał, że za jakiś czas powinni przejechać przez wąski strumień, który przetnie im drogę. - Dobry początek. Co dalej?

- I bardzo lubię twój podbródek.

- Mój podbródek?

- Tak. Znamionuje siłę charakteru.

- Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

- Cóż... - Przez chwilę jak gdyby pasowała się z sobą. - Myślę, że stać mnie na jeszcze jeden komplement.

- Dobrze i to. A więc zamieniam się w słuch. Nie krępuj się.

- Jak na człowieka tak aroganckiego i buntowniczego, potrafisz być potulny jak baranek, gdy cierpisz.

Odchylił do tyłu głowę i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Sto talarów temu, kto rozstrzygnie, czy to komplement, czy nagana. - Trącił palcem koniuszek jej nosa. - Potrafisz być zabawna, jeśli tylko chcesz.

- Cieszę się, że udało mi się cię rozbawić, Rory O'Neil.

- Rzeczywiście, dawno nie byłem w tak dobrym humorze. - Ujął ją pod brodę i mocno pocałował.

Następnie rozejrzał się po okolicy. Właśnie kończył się las i zaczynały pola. Na otwartej przestrzeni było jeszcze gorzej. Dostali się w gwałtowne porywy wiatru, który chłostał ich deszczem od czoła.

- Naprawdę przykro mi, że nie możemy zatrzymać się i ogrzać przy ognisku.

- Nieważne, Rory. Na pewno nic mi się nie stanie. - Anna owinęła się szczelniej płaszczem i głębiej nasunęła kaptur na oczy.

Dzień powoli się kończył. Szarość ustępowała miejsca ciemności. Wicher i deszcz, wydawało się, zdobyły władzę nad światem. Rory był pełen podziwu dla hartu ducha i siły woli tej kruchej i delikatnej istoty. Inna kobieta wpadłaby w rozpacz, a może nawet histerię. Anna Claire nie przypominała żadnej innej kobiety. Znosiła niewygodę, zimno i deszcz z pogodą ducha, jakby właśnie siedziała przed kominkiem w swoim dużym, pięknie urządzonej domu, otoczona dostatkiem i służbą. Wdzięk i godność nie opuszczały jej nawet w tych skrajnych warunkach.

Właściwie mogli zatrzymać się na noc. Ich oczom ukazała się bowiem wioska, a za nią następna. Mimo że okna chat ziały czarnymi oczodołami, Rory wiedział, że może tu liczyć

na serdeczną gościnę. Gdyby zapukali, zaproszono by ich do środka, nakarmiono i ogrzano. Bardzo potrzebował kilku godzin takiego wypoczynku. Ale jeszcze bardziej pragnął zapewnić Annie Claire bezpieczne schronienie. Rzecz była ważniejsza od ciepła i stawy. Dlatego minęli przylepione do traktu nędzne wioski i zapuścili się w górzystą okolicę Maamturks.

Zaczynało już świtać, gdy wjechali w wąską przełęcz pomiędzy szczytami. Przed nimi w oddali błysnęła srebrzysta tafla jeziora.

Rory zatrzymał konia na porosłej rzadką trawą płaskiej skalnej półce. Przez chwilę napawał się wspaniałością górskiej panoramy.

Anna Claire uniosła głowę i przetarła oczy.

- Co się dzieje, Rory? Gdzie jesteśmy? - spytała.
- Dojechaliśmy do domu - odparł mocnym głosem.

W słowach tych zabrzmiała jakaś nabożna cześć, widoczna także na twarzy Rory'ego. Było w jego obliczu coś, co kazało sądzić, że Rory widzi w tej chwili nie góry i nie doliny, tylko dzieło Wszechmogącego. W kącikach jego warg znaczył się ślad uśmiechu. Zaintrygowana, Anna Claire odwróciła głowę i spojrzała w dół. Dzikie, surowe piękno krajobrazu też przemówiło do jej duszy. Wstrzymała oddech.

- Tamten wyniosły szczyt to Croagh Patrick. Trzyma straż nad Ballinarin już od tysięcy lat.

- Spójrz - wyciągnęła rękę - wodospady. Ileż w nich majestatu.

Masy wody spływały z wyższych partii gór, załamywały się na skalnych progach i występach, a potem leciały z szu-

mem i łoskotem w dół, aż na samo dno doliny, gdzie strumieniami i strumyczkami wpadały do jeziora.

Rzuciła okiem na Rory'ego.

- Jak to wszystko migocze i mieni się w świetle poranka.

- Tak. I dlatego mówimy, że Croagh Patrick ustrojony jest klejnotami. Ten niezwykły efekt dają drobiny kwarcu i miki w skałach i podłożu.

Anna Claire przeniosła wzrok na leżącą w głębi wąską i długą dolinę, porośniętą smukłymi świerkami i skupiskami rododendronów. Okolona górami, zdawała się nie wiedzieć, co to poświsty i podmuchy wiatru.

- Czy to wszystko należy do twojego klanu?

Uderzył konia piętami. Ruszyli w dół skalną ścieżyną.

- Wszystko jak okiem sięgnąć.

Nagle skała tego posiadania wydała się jej nierzeczywista.

- Wszystko? Jeziora? Góry? Doliny? Lasy?

- Tak. - Mówił nieco ściszym głosem, jak gdyby nie chcąc zakłócać niepowtarzalnego nastroju tego poranka wśród gór. Ogarniał miłosnym spojrzeniem swój dom. - Patrzysz na tysiące akrów wrzosowisk, rozlewisk wodnych, skał, nieużytków, pól uprawnych i pastwisk. Ci, którzy mieli okazję poznać te strony, twierdzą zgodnie, że jest to najwspanialsza kraina w całej Irlandii.

Nie miała najmniejszej wątpliwości, że usłyszała prawdę. Na ich drodze zaczęły pojawiać się wioski. Domy i zabudowania gospodarskie były solidne i schludne. Pola żółciły się zbożami. Owce, konie i krowy pasły się na trawiastych zboczach. Na widok przyjezdnych ludzie zaczęli przystawać, przypatrywać się bacznie, potem zaś radośnie machać rękami i ściągać nakrycia z głów. Nie było twarzy, na której nie zagościłby uśmiech.

- A zatem wróciłeś, Rory O'Neil - krzyknął, ściągając czapkę z głowy, brodaty mężczyzna.

- Jak widzisz, Paddy.

- Niech Bóg cię błogosławi, Rory - zawołała z okna stara kobieta i pomachała białą chusteczką.

- I panią również, pani Fallon.

Płowowłosey chłopak wskoczył na żrebeca i pognał na złamanie karku roznieść wiadomość o powrocie Rory'ego O'Neila.

Gdy wyjechali z za zakrętu, oczom Anny Claire ukazała się kamienna budowla.

Wzniesiona była z szarych bloków, które zapewne ściągnięto z wyższych partii okalających dolinę gór, gdyż lśniły w świetle poranka podobnie jak ściany i granie Croagh Patrick. Miała kilka pięter, każdy zaś z rogów masywnego czworoboku zwieńczony był okrągłą basztą. Ku bramie wjazdowej wiodła kręta, lecz wygodna droga, obsadzona po obu stronach wysokimi jodłami i modrzewiami. Wrota prowadziły na niewielki brukowany wewnętrzny dziedziniec. Wieść o ich przyjeździe musiała tu już dotrzeć, gdyż nie zabrakło witających. Wśród nich znalazły się również myśliwskie psy, które z jazgotliwym szczekaniem wybiegły im naprzeciw i, merdając ogonami, otoczyły konia, nieco przestraszonego tym hałaśliwym powitaniem. Uciszyły się i przywarły do kamieni bruku dopiero wówczas, gdy Rory rzucił w ich stronę kilka ostrych słów.

Drzwi otworzyły się i z domu wybiegła dziewczyna z rozpuszczonymi włosami. Wciąż miała na sobie długą nocną koszulę, jako że pora była wczesna. Zbiegła po schodach. Po jej policzkach spływały łzy. Rory zeskoczył z konia i chwycił ją w ramiona.

- Och, Rory. Rory. Przez tyle długich miesięcy nie dawałeś znaku życia. Każdego dnia czekaliśmy na wiadomość od ciebie. Z każdym dniem baliśmy się coraz bardziej. - Wybuchnęła płaczem i zarzuciła mu ręce na szyję. Uścisk musiał być bardzo mocny, gdyż Rory aż się skrzywił.

- Uspokój się, Briana. Chyba nie chcesz zadusić mnie tylko z tego powodu, że wróciłem do domu?

Radość była silniejsza niż rozsądek. Racjonalne argumenty nie przemawiały do Briany. Pozwalając płynąć swobodnie łzom, ścisnęła brata, całowała go, gładziła i tuliła się doń niczym domowe zwierzątko.

Anna Claire obserwowała tę scenę z wysokości konia. A więc to była ta młodsza siostra Rory'ego, Briana, o której tyle *słyszała*. *Toteż nie zaskoczył jej ani widok płonących rudych włosów, ani też malujący się na jej twarzy wyraz uwielbienia dla starszego brata. Słyszała szloch dziewczyny, przeplatany śmiechem, i nagle Briana wydała się jej kimś bardzo bliskim i kochanym.*

Nadbiegł przystojny młody mężczyzna. W pośpiechu sznurował na piersi rozchełstaną koszulę, którą, widać, dopiero co włożył na siebie. Wzrostem równy Rory'emu, był drobniejszej budowy ciała, włosy zaś miał raczej brązowe niż czarne. Sympatyczną twarz rozpromieniał uśmiech.

- A niech cię, Rory. Któryż to ze świętych sprowadził cię do domu?

- Witaj, Conor. Nie było mnie trochę dłużej, niż to sobie zaplanowałem.

Mężczyźni padli sobie w ramiona,

- Ach, Rory. Brakowało mi ciebie.

- Ja też pewniej bym się czuł, gdybym miał cię u swego boku, Conor.

Nagle rozległ się przejmujący okrzyk. W otwartych drzwiach na tle ciemnej sieni stała piękna niewiasta w białej powłóczystej szacie. Jej wysoko upięte kasztanowe, poprzetykane siwymi pasmami włosy przypominały koronę. Miała władczą twarz i królewską postawę. Ostro zarysowane kości policzkowe, wyrazisty prosty nos i usta wydawały się wykute dłutem rzeźbiarza. Oczy lśniły niebiesko jak wrześnieowe pogodne niebo. Cera, prawie młodzieńcza, białała niczym śnieg.

Jej dłonie spoczywały na ramionach chłopca o zaskakująco poważnej twarzy, płowych włosach i jasnych oczach patrzących tak nieruchomo, jakby ktoś go zahipnotyzował.

- Matko. - Rory uwolnił się z objęć brata, podbiegł do matki i chwycił ją w ramiona.

- Rory, mój ukochany synu. Tak długo czekałam. - Moira schyliła głowę i zaszlochała.

- Nie płacz, matko. Widzisz mnie całego i zdrowego. - Cofnął się o krok, po czym ujął w dłonie twarz matki i zaczął scałowywać łyzy z jej policzków.

Następnie odszukał spojrzeniem chłopca, który tymczasem zdążył się ukryć za spódnicą kobiety. Przykucnął i uważnie przyjrzał się jego pochmurnej twarzy.

- Jak się masz, Innis. Urosłeś.

Chłopak spuścił głowę. Najwyraźniej unikał wzroku przybysza.

- Ile teraz masz lat?

Milczenie. Po chwili Moira powiedziała miękkiem głosem:

- Innis... niewiele mówi. Niedawno zaczął dziesiąty rok życia.

Rory potrząsnął głową.

- A więc ma dziewięć lat. Czas biegnie, chłopcy dorastają. Czy wiesz, kim jestem, Innis?

Jasna głowina uniosła się. Słowa płynęły powoli, oddzielone długimi przerwami ciszy:

- Miałeś... zostać... moim... wujem. Ale teraz... - Wąskie wargi zadrżały.

Widząc ból, jaki równocześnie pojawił się w oczach jej syna i jej wychowanka, Moira rzuciła pospiesznie:

- Ale teraz powrócił do domu.

- I miejmy nadzieję, że prędko go nie opuści - rozległ się z tyłu dźwięczny baryton.

Rory poderwał się na nogi i spojrzał w kierunku drzwi. Stał tam mężczyzna mocnej postury, przedwcześnie posiwiały.

- Witaj w domu, synu. - Uśmiech na twarzy mężczyzny kontrastował z jego pełnym wzruszenia głosem.

- Ojczy.

Rzucili się sobie w ramiona. Następnie Gavin O'Neil przyjrzał się wyrzeźbionej trudami twarzy najstarszego syna.

- A więc masz to już za sobą. Czy wymierzyłeś sprawiedliwość tamtemu wściekłemu psu?

Cień przemknął po czole Rory'ego, a w oczach pojawiły się tajemnicze błyski.

- Jeszcze nie dosięgnął go miecz sprawiedliwości. I dlatego nie zabawię tu długo.

- Więc co cię sprowadza? - W głosie mężczyzny brzmiała ojcowska miłość. - Po radości, którą przeżywamy dzisiaj, tym trudniej będzie nam znieść ponowne rozstanie.

- Przywiozłem kogoś, kto potrzebuje opieki. Uznałem, że w Ballinarin będzie bezpieczna.



Gavin przeniósł spojrzenie z syna na wciąż siedzącą na koniu młodą niewiastę.

Inni uczynili to samo.

Rory na oczach służby i najbliższych podbiegł i pomógł Annie Claire zejść na ziemię. Zauważył, że ma lodowate dłonie i drży na całym ciele. Trzeba było jak najszybciej ogrzać ją i nakarmić.

- Oto Anna Claire Thompson. Gdy w pewnej potyczce zostałem ciężko ranny, użyła mi schronienia w swoim własnym domu i troskliwie opiekowała się mną w chorobie, co narażało ją i jej domowników na bardzo przykre konsekwencje. Jedynie dzięki jej wielkoduszności i poświęceniu odzyskałem zdrowie i mogę teraz z wami rozmawiać.

Podczas gdy inni patrzyli w niemym zdumieniu, Moira postanowiła działać. Zbliżyła się do wyczerpanej długotrwałą podróżą kobiety i w serdecznym geście wyciągnęła ku niej ręce.

- Witaj w Ballinarin, Anno Claire Thompson. Nasz dom jest twoim domem. Proszę, byś czuła się tu jak u siebie. Goszczenie cię będzie dla nas wielkim zaszczytem.

- Dziękuję. - Anna Claire z trudnością przełknęła ślinę. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Nie oczekiwała aż tak życzliwego przyjęcia. Ta kochająca rodzina dziwnie szybko przypadła jej do serca.

Drobna, mocno pochylona staruszka wybiegła z domu, po czym nagle zatrzymała się, kładąc dłonie na piersi i otwartymi ustami chwytając powietrze. Jej siwe włosy zebrane były w gruby węzeł. Skóra o żółtawym odcieniu była tak przezroczysta, że widać było w najdrobniejszych szczegółach błękitną siatkę żył. Ale w załamanych, nieco wyblakłych oczach błyszczała radość.

- Właśnie usłyszałam, że wróciłeś, Rory.

- Pani Finn. - Rory musiał głęboko się pochylić, żeby objąć drobną jak dziecko istotę. - A teraz przedstawię pani naszego gościa. To jest Anna Claire Thompson. Anno Claire, pani Finn króluje w Ballinarin jako gospodyni od czasów, gdy mój ojciec był w wieku Innisa.

- Tak, rósł i męźniał na moich oczach, a potem rośli i męźnieli jego synowie - powiedziała staruszka z nie skrywaną dumą, klepiąc Rory'ego po policzku. - Witaj w Ballinarin, ptaszyno - zwróciła się do Anny Claire, wyciągając ku niej spracowane ręce. - Ależ ty drzysz. I jesteś cała przemoknięta. Jak mogłeś, Rory, podróżować w tak paskudną noc z tą delikatną damą.

Moira zbliżyła się do gospodyni.

- Zaprowadź naszego gościa do świetlicy - poleciła. - Briana i ja przygotujemy tymczasem pokój.

Briana uczepliła się ramienia Rory'ego.

- Chcę zostać z Rorym. Chcę, żeby mi opowiedział o swoich przygodach.

- Na wysłuchanie jego opowieści będzie jeszcze czas. Teraz rzeczą najważniejszą jest zaopiekowanie się naszym gościem. Musimy pomyśleć o wypoczynku i zadbać o wygodę lady Anny Claire Thompson.

Briana puściła ramię brata. Ton głosu matki wykluczał jakkolwiek dyskusję, ona zaś musiała być posłuszna. Nigdy jeszcze nie sprzeciwiła się woli rodziców, a nawet nie pomyślała o czymś takim.

Pani Finn skinęła na piegowatą służącą.

- Zagotuj gar wody, Velia. Tych dwoje potrzebuje na gwałt gorącej kąpieli. Muszą też przebrać się w suche odzie-

nie. - Powiodła wzrokiem po wychylonych z okien głowach służby. Czepki kobiet mieniły się kolorami niczym kwiaty. - A wy tam wracajcie do roboty. Pomyślcie lepiej, czym ugościć naszego Rory'ego.

Pod surowym spojrzeniem gospodyni ciekawscy wrócili do swoich zajęć. Moira wraz z córką wprowadziły oszołomioną Annę Claire do ufortyfikowanego kamiennego domostwa. Z sieni nie skręciły jednak do świetlicy, tylko ku schodom wiodącym na piętro, gdzie mieściły się pokoje sypialne.

Rory odprowadził je wzrokiem. W pewnej chwili poczuł na ramionach dłonie ojca i brata.

- Żadnych kąpeli, synu, dopóki nie odpowiesz mi na kilka pytań.

Zdając sobie sprawę, że Anna Claire jest już w dobrych rękach, Rory oddał się do dyspozycji najbliższych.

- Z ochotą odpowiem na wszystkie pytania. Byłbym jednak wdzięczny za szklanekę whisky. Tylko mocny trunek może przywrócić mi siły i ogrzać zziębnięte członki.

Ojciec spojrział na młodszego syna i obaj się uśmiechnęli. Whisky nie brakowało w tym domu. Miło będzie porozmawiać przy szklanicy. A potem Rory będzie mógł spać choćby przez tydzień. Najpierw jednak musi opowiedzieć im ze szczegółami o swojej dwuletniej wędrówce.

- I nigdy więcej nie udało ci się ustalić miejsca pobytu tej ludzkiej bestii? - Conor rozdał napełnione trunkiem szklanki.

Siedzieli przy dużym kominku z masywnym gzymsem, a u ich stóp pokładły się psy myśliwskie. Ojcu i młodszemu bratu nie udało się rankiem wysłuchać całej historii Ro-

ry'ego. Weszła bowiem Moira i powiedziała do syna tonem nie znoszącym sprzeciwu, ażeby bezzwłocznie poszedł spać. Teraz, a było już późne popołudnie, wykapany, wypoczęty i przebrany w nowe odzienie, raczył się whisky wraz z ojcem i bratem w bibliotece. Niecierpliwosc i ciekawosc malowała się na ich twarzach.

- Spotkałem go raz tylko, a było to w dublińskim porcie. I byłbym przeciął na pół potwora, gdyby tchórzliwie nie ukrył się za oddziałem żołdaków, którzy przy płynęli właśnie z Londynu.

- Doszło do bitwy i zostałeś ranny? - na w pół zapytał, na w pół stwierdził Gavin.

- Tak. - Rory potarł bolące ramię. - Inne rany zabiłiły się, ta zaś wciąż mi dokucza. Ponownie się otworzyła, gdy wpadliśmy w lesie na angielskich żołnierzy. Mało brakowało, a straciłbym życie.

Od drzwi dobiegł ich głos Moiry:

- Powinieneś powiedzieć o tej ranie, zanim się ubrałeś. Nałożyłabym na nią gojący balsam. Pozwól, że rzucę na nią okiem.

Podeszła i ujęła ramię syna.

Rory musnął wargami jej policzek, po czym delikatnie, lecz stanowczo wysunął rękę z jej dłoni.

- Zajmiemy się tym później. Whisky, którą piję, znieczula.

Wcale nie umiała zamiaru mu ustąpić, lecz nagle Rory obrócił się ku drzwiom.

Stała w nich Briana.

- A nie mówiłam, że tu ich znajdziemy. Chodź, Anno Claire.

Anna przekroczyła próg biblioteki. Nagle stanęła i zarumieniła się. Wszystkie spojrzenia skupiły się na niej. Nawet psy ożywiły się i uniosły łby, wyczuwając obcego.

Rory odstawił szklanicę i podszedł do ukochanej. Przez chwilę spoglądał w jej oczy. Następnie ujął za rękę i podprowadził do kominka.

Briana nagle uświadomiła sobie, że w komnacie zaległa jakaś nienaturalna cisza.

- Powiedziałaś, mamo, że mogę wybrać dla Anny Claire jedną z sukienek. Pomyślałam więc, że ta zielona będzie pasowała do koloru jej oczu i włosów. Zgadzasz się ze mną, Rory?

- Całkowicie. - Rory powiódł spojrzeniem po najbliższych, którzy wciąż przypatrywali się młodej kobiecie. - Suknia pasuje idealnie.

Była to powłóczysta szata, obejmująca szyję wąskim atłasowym kołnierzykiem. Pod miękkim materiałem rysowały się wyraźnie wysokie, pełne piersi. Długie rękawy kończyły się w nadgarstkach koronkowymi mankietami. Smukłą talię obejmował pasek w kolorze ciemnej zieleni. Falbaniasta spódnica zdobna była zielonymi guzami.

- Czy napijesz się piwa? A może whisky? - zapytał Conor.

- Za whisky dziękuję. Natomiast z przyjemnością napiję się piwa. - Anna Claire przyjęła podaną jej szklanke. Skosztowała złocistego płynu. Wciąż była w centrum uwagi całej rodziny. Rumieńce na jej policzkach pociemniały.

- Pani Finn przygotowała prawdziwą ucztę, Rory, mój synu. - Gavin ponownie napełnił swoją szklanicę. - Służba chce cię powitać. Czy mają czekać, aż zjemy wieczerzę?

Rory uśmiechnął się.

- Byłbym wdzięczny, gdyby zaczekali. Ja i Anna Claire nie mieliśmy od wczoraj nic w ustach. Jestem tak głodny, że zjadłbym całe jagnię. I to na surowo, razem z racicami.

Rozległ się ogólny, wesoły śmiech.

- O ile pamiętam, zawsze dopisywał ci apetyt - zauważył Conor.

- Pamięć nie zawodzi cię, bracie. Pusty żołądek sprawia, że whisky uderza mi do głowy. A może przyczyną jest ta zjawiskowa postać przede mną.

I znów Anna Claire, czując się ośrodkiem zainteresowania całej rodziny, zarumieniła się jak róża.

Gdy zaś sługa oznajmił, że wszystko już przygotowano do posiłku, Rory odstawił szklanicę i podał ramię osobie, którą przed chwilą uczcił miłymi słowy.

- Nadchodzi chwila - rzekł, nie kryjąc dobrego humoru - kiedy będziesz miała okazję ocenić, czy Fiola jest równie dobra jak Bridget.

- Co za Bridget? - spytała ciekawska Briana.

- Gospodyni Anny Claire w Dublinie, która nawet z owsianki potrafi zrobić danie godne bogów.

- Chciałbym poznać tę cudotwórczynię - rzekł Conor ze śmiechem, wychodząc wraz z bratem i jego wybawicielką na korytarz.

Gavin już się podnosił, ażeby uczynić to samo, gdy poczuł na ramieniu dłoń żony.

- O co chodzi, Moira?

Palce Moiry zacisnęły się, a na jej twarzy malował się niepokój.

- Czy zauważyłeś, jak Rory i ta panna spoglądają na siebie?

- Oczywiście. - Gavin uśmiechnął się pod wąsem. - Powiedziałbym, że nasz pierworodny jest oczarowany.

- Więcej niż oczarowany, mój mężu. On ją kocha. Jestem tego pewna.

Gavin poklepał małżonkę po dłoni.

- Moira, droga moja, nasz syn jest z nami dopiero od dzisiejszego ranka, a ty go już podejrzewasz o miłość. Wiadomo, że walczył przez te wszystkie długie miesiące.

- Niewiasty znają się na sercowych sprawach. Nie mogę się mylić. Zdradza go spojrzenie. Rory'ego i tę młodą kobietę łączy... wielka zażyłość.

Jej mąż lekko wydał wargi i wypiął pierś, jak ktoś, kto ma być uhonorowany nadaniem szlachectwa. Wielkie nieba, co dzieje się z tymi mężczyznami? Jej serce drżało z lęku, bo to, co zauważyła pomiędzy tą obcą a Rorym, było naprawdę niepokojące, a Gavin puszy się tylko, że jego syn potrafi zwyciężać nie tylko nieprzyjaciół. Ale kimże ona jest, ta... przyjaciółka? Jaki jest jej ród? I co czuje do Rory'ego? Jak dotąd ona, Moira, poznała jedynie jej imię.

Ale trzeba było dołączyć do innych. Moira wzięła się w garść i ruszyła wraz z mężem do sali biesiadnej.

Gavin usiadł u szczytu stołu, mając po prawej ręce małżonkę, po lewej zaś najstarszego syna. Gdy już wszyscy zajęli miejsca, weszli słudzy, niewiasty i mężczyźni, wnosząc tace i półmiski.

Każda z tych osób podchodziła do Rory'ego z uśmiechem na twarzy i witała go z ciepłem i serdecznością. Nawet kucharka stała w drzwiach, rozpromieniona i z wypiekami na policzkach.

Domyślając się, czego wszyscy po nim oczekują, Rory włożył do ust pierwszy kęs i przymknął z rozkoszą oczy.

- Ach, jak mi tego brakowało przez te wszystkie tygodnie i miesiące. Idę o zakład, Fiola, że złapałaś te ryby dopiero dziś rano.

- Jakżeby inaczej. - Kucharka wydała westchnienie ulgi, które jako żywo przypominało sapanie. W pełni doceniono jej starania. - Dodam, że wraz z łososiem.

- Poczekaj, bracie, na tego łososia - rzucił Conor, nakładając sobie pełny talerz. - I na pieczeń z jagnięcia. Nikt tak nie potrafi przyrządzić jagnięcia jak nasza Fiola.

Anna Claire obserwowała z niejakim zdumieniem, jak danie po daniu pojawiało się na stole i było pochłaniane przez ludzi, przywykłych do ciężkiej pracy i obfitego jedzenia. Była więc baranina i wołowina, ryba i kraby, i pieczywo tak smakowite, że rozpływało się w ustach. Nawet cichy i nieśmiały Innis ożywił się i dopasował do biesiadnego nastroju. Po obu stronach jego krzesła usadowiły się dwa psy, którym zrzucał resztki z talerza, one zaś machaniem ogonami okazywały swą wdzięczność. Na koniec wniesiono ciasta, ciężkie od rodzynek i orzechów. Chłopiec spojrzał na nie łakomie, ale mógł już zjeść tylko kawałek.

Rory pociągnął długi łyk piwa i opadł z westchnieniem na oparcie.

- Przez te ostatnie dwa lata, szczerze wyznaję, taka uczta była moim marzeniem.

Briana patrzyła wyczekująco z przeciwnej strony stołu.

- A więc opowiedz nam, Rory, gdzie spędzałeś noce i co jadłeś?

- Spałem, gdzie popadło. W stogach siana, po lasach,



a czasem w chłopskiej chałupie. Ci, co słyszeli o mojej misji, chętnie dawali mi schronienie i gościnę. Jadłem zaś, co Bóg dał. Najczęściej ryby. Jeśli udało się upolować jelenia, była uczta na całego. - Przeniósł wzrok na Annę Claire. - I tak było aż do owego wydarzenia w porcie. Bo jeszcze tego samego dnia leżałem po raz pierwszy od wielu miesięcy w wygodnym łóżku pod puchową kołdrą, napojony nektarem bogów.

- W takim razie powiedz nam coś o sobie, Anno Claire. - Gavin dał znak słudze, by dolał mu piwa. - Jak to się stało, że uratowałaś naszego syna?

- Przez przypadek, który czasem zmienia ludzkie życie, tylko przez przypadek. - Spojrzała na Rory'ego i dostrzegła na jego twarzy dobrze sobie znany uśmiezek.

A więc nie zamierzał przyjść jej z pomocą. Musiała radzić sobie sama. Nabrała w płuca powietrza.

- Pewnej nocy, a było to w domu mojej matki w Dublinie, nie mogłam zasnąć i zeszłam do kuchni, by czegoś się napić. Tam znalazłam Rory'ego. Był ciężko ranny.

- Skąd tam się wziął? - spytał Conor.

- Przemycił go z portu mój sługa. Ukrytego pod pledem w powozie.

- Jakie to romantyczne! - Briana klasnęła w dłonie. Jej oczy błyszczały z podniecenia. - I opiekowałaś się nim aż do dnia wyzdrowienia?

- To nie było takie proste - zauważył sucho Rory. - Moja obecność w tym domu narażała wszystkich na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Ale przecież wyzdrowiałaś.

- Tak, tylko że nie od razu. Przez ten czas wszyscy żyli

w obawie o swoje życie. Za moją głowę wyznaczono nagrodę.

- Prawdziwi Irlandczycy musieli splunąć na wieść o tym - rzekł Conor. - Każdy z nas postąpiłby tak samo.

Do rozmowy wtrąciła się Moira.

- Wspomniałaś o domu swojej matki. Ciekawa jestem, co ona na to wszystko.

- Moja matka nie żyje.

Słyszając ból w głosie gościa, Moira pożałowała, że w ogóle zadała to pytanie.

- Wybacz mi, proszę.

- A twój ojciec? - Gavin pociągnął łyk piwa. - Czy i jego straciłaś?

- Nie. Mój ojciec... - Anna Claire spojrzała z niemym błaganiem na Rory'ego, po czym spuściła oczy. - Mój ojciec wyjechał.

- Dokąd? - naciskał Gavin.

- Do Anglii.

Ręka Gavina, w której trzymał kielich, zawisła w powietrzu.

- Cóż go skłoniło do tego wyjazdu?

Anna Claire milczała. W odpowiedzi wyręczył ją Rory:

- Ojcem Anny Claire jest lord James Thompson.

- Ten sam James Thompson, który jest członkiem rady królowej Anglii? - Na twarzy Gavina malował się gniew pomieszany z niedowierzaniem.

Rory kiwnął głową.

Dłoń Gavina zacisnęła się na szklanicy. Rozległ się trzask kruszonego szkła. Trysnęła krew, która zaczęła skapywać na obrus. Gavin poderwał się zza stołu i spojrzał na Annę Claire, jakby zobaczył potwora.

Psy, które natychmiast wyczuły burzę wiszącą w powietrzu, wybiegły spod stołu i ław i skupiły się w kącie przy drzwiach.

- Gavin, skaleczyłeś się. - Moira sięgnęła po dłoń męża, lecz ten odsunął się niecierpliwie.

Jego oczy przypominały w tej chwili dwa sztylety, którymi godził w Annę Claire. Ta siedziała blada i drżąca.

Padły słowa, które zniekształcał i rwał na strzępy niepowstrzymany gniew:

- Pomiot tego diabła Thompsona nie będzie przebywał pod moim dachem ani przez jedną noc. - Gavin wskazał zakrwawionym palcem tę, która jeszcze przed chwilą była jego gościem. - Kobieto, zechciej w tej chwili opuścić Ballinarin.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wstrząśnięta gniewnym głosem głowy rodu, służba jak gdyby wrosła w ziemię. Zapadła niczym nie zmałona cisza. Następnie, jeden po drugim, członkowie rodziny podnosili się z krzeseł i stawali za Gavinem, jak gdyby formując jego gwardię przyboczną. Briana rzuciła pełne nienawiści spojrzenie na Angielkę. Innis nawet nie mógł patrzeć na nią, tak wielki był jego wstręt do wszystkiego co angielskie.

Rory poderwał się zza stołu i zmierzył ojca śmiałym, po trosze wyzywającym spojrzeniem.

- Rozkazując Annie Claire opuścić Ballinarin, tym samym i mnie wypędzasz z domu.

- Rory...

Odwrócił się ku matce.

- Anna Claire, jak już powiedziałem, naraziła swoje życie, jak również życie swoich domowników, żeby uchronić mnie przed katem. Równego poświęcenia mógłbym żądać tylko od mojej rodziny.

Głos Gavina przetoczył się po sali biesiadnej niczym grzmot:

- Jej ojciec w tej chwili radzi z królową, jak zniewolić nasz kraj. Nie zamierzam otwierać drzwi swego domu wrogowi.

- Gdyby nie ta niewiasta, którą w gniewnym uniesieniu

nazywasz wrogiem, nie widziałbyś mnie w tej chwili przed sobą i nie spierałbyś się ze mną, ojczu.

- To nie jest żaden spór. - Gavin wałnął pięścią w stół, aż zadrżała zastawa, a wiele kielichów się przewróciło. - Wydałem rozkaz. To jest mój dom. Mam prawo decydować o tym, komu daję gościnę, a komu jej odmawiam.

Nagle pomiędzy bratem a ojcem stanął Conor. Od wczesnej młodości ćwiczył się w sztuce godzenia targanych namiętnościami i wybuchowych członków rodziny, do czego poniekąd predysponował go jego charakter. Jakkolwiek on również wstrząśnięty był wieścią, dostrzegał też inne strony całej tej sprawy. Toteż ton jego głosu był ugodowy:

- Ojczu, po dwóch latach tułaczki i walk wrócił do nas Rory. Ty najlepiej wiesz, jak bardzo się o niego martwiłeś. Zresztą wszyscy przez te długie miesiące modliliśmy się o powodzenie jego misji i szczęśliwy powrót. I oto mamy go przed sobą, wyrwanego z objęć śmierci.

- Tak, ciężko mi było na duszy przez te dwa lata. Lecz co słyszę dzisiaj? Mój pierworodny w sieci śmiertelnego wroga!

Głos Conora nic nie stracił ze swego spokoju:

- Wychowałeś nas w poszanowaniu zasad honoru. Rory ma do spłacenia dług honorowy. Czy możesz temu zaprzeczyć?

- Nigdy nie twierdziłem, że zaciągniętych długów nie należy spłacać. - Gavin wciąż był pełen gniewu, ale już uświadamiał sobie, ku czemu zmierza jego młodszy syn. I był tym mocno poirytowany.

- Kobieta, która ocaliła życie Rory'emu, jest teraz z racji swej wielkoduszności i odwagi w wielkim niebezpieczeń-

stwie. Kory przywiózł ją tutaj, zakładając, że pod jego rodzinnym dachem nic złego nie może się jej przydarzyć. Czyż uczynimy dla niej mniej, niż ona uczyniła dla naszego brata i syna?

Gavin nie zwykł poddawać się bez walki.

- Jej ojciec to cholerny Anglik.

- Ale matka była Irlandką. - Głos Rory'ego zabrzmiał donośnie.

- Irlandką? - Moira spojrzała na Annę Claire, dziękując Bogu, że pojawiła się szansa na załagodzenie konfliktu. - Jakże było jej rodowe nazwisko?

Anna Claire nawet na nią nie spojrzała. W ogóle starała się na nikogo nie patrzeć. Postawiono ją w upokarzającej sytuacji i wszystko w niej buntowało się przeciwko temu. Ta straszna kłótnia ojca z synem. Czyż nie ostrzegęła Rory'ego, że musi się liczyć z wrogim przyjęciem?

Rory wyręczył ją w odpowiedzi:

- Matka Anny Claire pochodziła z Doyle'ow.

W głosie Moiry dało się słyszeć podniecenie:

- A może mówimy tu o Hugh Doyle'u z hrabstwa Kerry?

Anna Claire zmrużyła oczy. Jeżeli ci ludzie ośmielą się powiedzieć choć jedno złe słowo o jej ukochanej matce, to natychmiast wstanie i choćby pieszo ruszy w drogę powrotną.

- Tak, dziadkiem Anny Claire ze strony matki był Hugh, babką zaś Claire.

- Och, Gavin. - Moira chwyciła męża za ramię. - Mówimy o znanej mi osobie. Poznałam Margaret, kiedy byłyśmy jeszcze dziewczynkami. Słyszałam, że wyszła za angielskiego szlachcica i wyjechała z nim do Londynu. Słyszałam tak-

że, że był dla niej bardzo dobry. Pomimo różnic religijnych nigdy nie zmuszał jej, by przeszła na protestantyzm. - Spojrzała na Annę Claire. - Mówiono, że są ze sobą bardzo szczęśliwi. A teraz Margaret nie ma wśród żywych.

Anna Claire buńczucznie uniosła głowę.

- Tak. Niebawem miną dwa miesiące od jej śmierci.

Po chwili wahania Moira okrążyła stół, podeszła do młodej kobiety i położyła dłoń na jej ramieniu.

- Rozumiem twój ból, moja droga. Przyjmij wyrazy współczucia z powodu straty najbliższej osoby. Margaret miała wspaniałą duszę. Jestem pewna, że była kochającą i troskliwą matką. I że brakuje ci jej.

Anna Claire kiwnęła głową. Była zbyt poruszona i oszołomiona, by cokolwiek powiedzieć. Ale zarazem nie wolno jej było uronić ani jednej łzy w towarzystwie ludzi, którzy widzieli w niej śmiertelnego wroga.

- Gavin, mój mężu, wydaje mi się, że potrzebujemy trochę czasu, by móc spokojnie rozważyć te wszystkie sprawy. Zaskoczyły nas one, a nie możemy dać ponieść się emocjom.

- Moira rzuciła mężowi spojrzenie, w którym malowała się niema prośba.

Gavin zaczerwienił się i odchrząknął.

- Niech i tak będzie. Dzisiaj nie wrócimy już do tego tematu. Ale jutro rano... - Spojrzenie Moiry zdawało się przenikać go na wylot. Skinął na służącego. - Whisky wypijemy w bibliotece.

Najpierw wyszli Moira i Gavin, a zaraz po nich Innis i Briana.

- Burza minęła - mruknął Conor.

- Tobie nawet dzikie zwierzęta jadłyby z ręki. - Rory

czuł, jak opuszcza go napięcie. Był gotowy do walki, lecz oto walki miało nie być. - Wiedz jednak, że nie potrzebowałem twojej pomocy.

- Oczywiście, że nie prosiłeś mnie o pomoc. Ale gdybym ci jej nie udzielił, od słów przeszłoby do czynów. Ty i ojciec zwykliście bowiem wszystko załatwiać przy użyciu pięści lub miecza.

- Żyjemy w czasach, kiedy niewiele da się załatwić piękną mową. Obyś, Conor, nie musiał dziękować mi za to, że jestem obok z mieczem. - Rory uważniej przyjrzał się Annie Claire. Jej błądź świadczyła o głąbokim duchowym wstrząsie. - Chodźmy, Anno Claire. Najgorsze mamy za sobą.

Potrząsnęła głową.

- Nie chcę być przyczyną kłótni pomiędzy tobą a twoim ojcem, Rory. Nie chcę wprowadzać zamieszania do tej rodziny.

- Nie bój się. Z ojcem dojdę do porozumienia.

- Nie pozostanę w domu, w którym mnie nie chcą. Odejdę stąd natychmiast.

Rory starał się mówić możliwie najspokojniej:

- Jeżeli ty wyjedziesz, ja wyjadę z tobą.

Na udęczonej twarzy Anny Claire odmalowało się zdumienie. Widząc to, postanowił wykorzystać chwilową przewagę.

- A tak marzyłem o tym, by przespać tę noc w swoim własnym łódku.

Ze skrzywienia jego warg domyśliła się, że Rory próbuje grać na jej uczuciach. Mimo to z westchnieniem się poddała.

- Zostanę, ale tylko na tę jedną noc. Natomiast z samego rana...

Dotknął palcem jej ust.



- Z samego rana wrócimy do tego tematu.

Kiwnęła głową. Kiedy byli już na korytarzu, przysięgła sobie w duchu, że dłużej ponad tę jedną noc nie zostanie pośród tych pełnych nienawiści i gwałtowności ludzi.

- Co cię sprowadziło wówczas do portu? - zapytał Gavin.

Po kilku nieudanych próbach podjęcia ogólnej rozmowy ojciec i syn poruszyli temat, zdawałoby się, najbardziej bezpieczny. Skupili się na czymś, co naprawdę żywo ich obchodziło. Dzielili bowiem po równi miłość do walki i nienawiść do angielskiego najeźdźcy.

- Dotarła do mnie pogłoska, że będzie tam Tilden. Los bowiem tak kierował moimi krokami, że przez te bez mała dwa lata zawsze deptałem mu po piętach, lecz nigdy go nie dopadłem. Tym razem zanościło się na spotkanie twarzą w twarz.

- I to spotkanie zmieniło się w pułapkę - mruknął Gavin.

- Bynajmniej. Tilden faktycznie był w porcie. Tyle że nie pomyśleliśmy o tym, że może tam być również oddział żołnierzy, którzy dopiero co przypłynęli z Anglii.

- A czy nie sądzisz, iż rzecz mogła zostać ukartowana?  
Rory potrząsnął głową.

- Myślę, że zaskoczyliśmy go. Poszarпалиśmy trochę Anglików podczas tych dwóch lat podchodów. Tilden stracił tytuł żołnierzy, że musiał poprosić o uzupełnienie kontyngentu. Myślę też, że jego królowa zażąda niebawem wyjaśnień, dla czego cały regiment wyszkolonych żołnierzy nie rozniósł w puch bandy irlandzkich wieśniaków.

Anna Claire spoglądała na Rory'ego z coraz większym

podziwem. Czyż Dunstan nie powiedział dokładnie tego samego u lady Thornly? Poczwała na sobie spojrzenie Gavina i zarumieniła się. Prawdopodobnie widział w niej angielskiego szpiega. Nie mogła usiedzieć na miejscu. Wstała więc i zaczęła krążyć po pokoju.

Podbiegły do niej psy i zaczęły ją obwąchiwać. Na ich przyjazne zachowanie odpowiedziała głaskaniem i pieszczotliwym targaniem za uszy. Pokładły się z wywieszonymi jęzorami, w pełni usatysfakcjonowane tą pieszczotą.

Podobnie jak wszystkie inne pomieszczenia w Ballinarin, biblioteka przytłaczała swoimi rozmiarami. Jedną ścianę zajmowały szafy biblioteczne pełne książek. Podobnie cennych woluminów Anna Claire nie widziała nigdzie poza opactwem. Oznaczało to, że O'Neilowie byli wykształconymi ludźmi, miłującymi książki.

Na przeciwległej ścianie królował kominek z czarnego kamienia. Nad gzymsem wisiał herb rodu, mający w tarczy lwa, jelenia i wysadzaną szlachetnymi kamieniami koronę. Identyczny herb, Anna Claire pamiętała to bardzo dobrze, wyhaftowany był na koszuli, którą nosił Rory. Lew był symbolem rzemiosła wojennego, jeleni zaś myślistwa. Korona jednak wydawała się czymś zaskakującym. Dopiero po pewnym czasie Anna Claire przypomniała sobie, że O'Neilowie wywodzą się w prostej linii od pierwszego króla Irlandii. Nic dziwnego więc, że Gavin O'Neil zachowywał się tak arogancko, dając upust swej nienawiści do wszystkiego co angielskie.

Odwróciła się. Na trzeciej ścianie znajdowały się trzy zwieńczone łukami okna. Widać było przez nie drzewa iglaste i żywopłoty, tworzące zawikłany wzór, poprzecinany bru-

kowanymi alejkami. Widok wewnętrznego ogrodu nęcił obietnicą spokoju i wypoczynku.

Porysowany blat solidnego stołu zarzucony był dokumentami - oczywisty znak, że tu właśnie rozstrzygano najważniejsze sprawy związane z zarządzaniem rozległymi włościami. Całość umeblowania uzupełniały krzesła z wysokimi oparciami i wygodne fotele.

W pobliżu kominka stał niski stolik, a przy nim dwa taborety. Anna Claire zatrzymała się i spojrzała na ustawione na stoliku szachy. Pozycje ręcznie rzeźbionych drewnianych figur wskazywały, że ostatnia partia została przerwana przed ostatecznym rozstrzygnięciem. Dopiero po chwili Anna Claire uświadomiła sobie z pewnym zaskoczeniem, iż białe pionki przedstawiają armię irlandzką, czarne zaś - angielską. Konflikt między obu krajami dawał znać o sobie nawet tutaj.

- Odkąd Rory wyjechał, nikt tu nie siadał do szachów.  
- Drgnęła, słysząc głos Conora tuż przy swoim uchu. Wskazała na dwa gońce trzymające straż przy królowej. - To rezultat ostatniego ruchu Rory'ego przed dwoma laty.

- Czy tylko on w tym domu gra w szachy? - zapytała.

- Nie, ale ojciec stracił serce do gry, gdy zabrakło mojego starszego brata. Jego zdaniem, tylko on może mu godnie stawić czoło.

- Szkoda. - Wciąż analizowała rozstawienie figur. - Gdy Rory znowu zasiądzie do gry, Gavin zapewne będzie chciał ruszyć się tą wieżą. Tylko w ten sposób uda mu się bowiem uniknąć mata.

Słyszając te słowa, stary O'Neil powstał z krzesła i zbliżył się do stolika z szachami. Przez chwilę studiował sytuację. Potrząsnął głową.

- To byłby ruch wręcz idiotyczny. Dałbym mu bowiem możliwość skoku koniem.

Anna Claire wzruszyła ramionami. Zauważyła kątem oka, że nad szachownicą pochyła się już cała rodzina.

- Zostań przy swoim zdaniu, Gavinie O'Neil. Nie mam zamiaru ponownie narażać się na twój gniew.

Mimo to o gniew łatwo było u Gavina. Co za bezczelna niewiasta! Odwrócił się ku Rory'emu.

- Chodźże tu, Rory. Nadszedł czas, bym nauczył cię sztuki podejmowania strategicznych decyzji.

- A może to ty, ojcze, potrzebujesz takiej lekcji? - rzekł Rory, nie kryjąc rozbawienia.

Zajęli miejsca naprzeciwko siebie, podczas gdy widzowie utworzyli koło. W powietrzu dawało się wyczuć wzrastające napięcie.

Rory rzucił na ojca krótkie spojrzenie.

- Zdaje się, że pierwszy ruch należy do ciebie.

- Zgadza się. - Gavin spojrzał z ukosa na Annę Claire. Przypomniał sobie jej radę. Zrobił więc akurat odwrotnie. Ruszył się drugą wieżą.

Na twarzy Rory'ego odmalowało się zdumienie.

- Czy jesteś pewien swojej decyzji, ojcze?

- Najzupełniej.

Nie namyślając się wiele, Rory wykonał swój ruch.

- Powinieneś być raczej postąpić zgodnie z daną ci radą. Bo oto przyparłem cię do narożnika.

Oblicze Gavina zachmurzyło się. Wszyscy teraz oczekiwali wybuchu gniewu. Ale on tylko zmierzył Annę Claire zimnym spojrzeniem.

- Zrobiłaś to celowo, prawda, Angielko?

- A co mianowicie? - Poczowała, że policzki zaczynają jej płonąć.

- Wystąpiłaś z pewną radą, dobrze wiedząc, iż ze względu na osobę doradcy bez namysłu ją odrzucę.

Wzruszyła ramionami.

- Nie było to moim zamiarem. Lecz jeśli jesteś o tym przeświadczony, Gavinie O'Neil, nie widzę sposobu, by wyprowadzić cię z tego błędnego przekonania.

- Jest jeden sposób.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Sądzisz, że mogłabyś mnie pokonać, Anno Claire Thompson?

- Od dziecka grałam z ojcem w szachy i zazwyczaj z tych pojedynków wychodziłam zwycięsko.

- Ha! Tylko że mówimy tu o cholernym Angliku. Proponuję partię szachów z twardym Irlandczykiem.

Anna Claire powiodła spojrzeniem po twarzach obecnych. Na wszystkich malowało się zaskoczenie.

- Ależ ojcze! - Brianie łamał się głos. - Przypominam, że głuchy byłeś na moje prośby, gdy chciałam, byś zapoznał mnie z zasadami tej gry. Zawsze twierdziłeś, że szachy są wyłącznie dla mężczyzn. Tylko oni potrafią zrozumieć zawartą w nich strategię.

- Zgadza się. Mówimy tu bowiem o grze wojennej. Pojedynku dwóch umysłów. Umysł kobiety nigdy nie pojmie istoty wojny. No i cóż, młoda damo? Lękasz się, że zostaniesz upokorzona?

Tak jak oczekiwał, przyjęła wyzwanie.

- Zagram z tobą, Gavinie O'Neil.

- A więc zaczynamy.

Moira położyła dłoń na ramieniu męża.

- Gavinie, nasz gość musi być zmęczony. Pomyśl o tych wszystkich trudach podróży, które ma za sobą.

- Gdy rozegramy partię, może pójść do łóżka i spać, ile będzie chciała.

Do rozmowy wtrącił się Conor.

- Daj spokój, mam - rzekł, obejmując matkę ramieniem i prowadząc do fotela. - Napijmy się piwa i pozwólmy Rory'emu opowiedzieć nam o swoich przygodach.

I Rory zaczął opowiadać. Mówił płynnie, nie szczędził szczegółów, ale był rozkojarzony. Myślał o Annie Claire pochylającej się nad szachownicą, przymuszonej do gry z trudnym przeciwnikiem. Zresztą dla ojca nie była to gra, tylko wojna. Gavin podszedł do tego pojedynku ze śmiertelną powagą. Mógł on się skończyć tylko łzami Anny Claire.

- I takim to sposobem zostałam osaczona, Angielko. - Oczy Gavina błyszczały zadowoleniem, choć swoją drogą w ciągu tej godziny, która minęła od pierwszego ruchu, zaskakiwany był po wielokroć jej szybkimi decyzjami. Bardzo mądrze przewidywała jego posunięcia, w końcu jednak stało się to, co musiało się stać.

- Ja też oceniam sytuację, Gavinie O'Neil. - Przez chwilę rozważała wszystkie możliwe warianty kolejnych posunięć. - I w rezultacie muszę powiedzieć... szach i mat.

- Bzdury. Przemyślałem każdy... A niech to wszyscy diabli! - wybuchnął.

Wszyscy poderwali się i podeszli do stolika.

Podczas gdy Rory i Conor przyglądali się krytycznym wzrokiem rozstawieniu figur, Moira spojrzała na męża, pró-

bując zorientować się, jak bardzo jest gniewny. Nie chciała kolejnej awantury. Ostatecznie oni, O'Neilowie, byli ogłędzonymi ludźmi.

Innis patrzył na czubki swoich butów. Przybycie Rory'ego w towarzystwie *tej* obcej kobiety wzburzyło go do głębi. A wiadomość, że ta obca jest Angielką, otworzyła przed nim ciemną czeluść.

Briana uwiesiła się na ramieniu Rory'ego, jakby wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć, że jej starszy brat naprawdę jest tu razem z nią. Tylko że teraz jej uwaga skupiona była głównie na Annie Claire. Przez całe swoje krótkie życie Brianę karmiono opowieściami o okrucieństwach Anglików. Jednak ta młoda niewiasta nie kojarzyła się jej z żadną formą okrucieństwa. Anna Claire Thompson nie przypominała jej żadnej innej kobiety. Zaryzykowała życie, by uratować Irlandczyka, a potem przemierzyła z nim niemal całą Irlandię, narażając się na różne niebezpieczeństwa. A w końcu zasiadła do bardzo trudnej gry strategicznej z człowiekiem, który uważał ją za swego wroga.

Jakkolwiek wiedziała, że było formą zdrady żywić ciepłe uczucia do Angielki, prawie żałowała, iż Annie Claire nakazano opuścić Ballinarin jutro rano. Briana była nią zauroczona.

- Widzę, że naprawdę zostałeś pokonany, ojczu. - W głosie Conora dawało się słyszeć duże zaskoczenie.

- Ta kobieta jest czarownicą. - Gavin wbijał wzrok w szachownicę, szukając drogi odwrotu.

- Trzeba odważnie przyznać się do porażki, ojczu - rzekł Rory. - Zostałeś pobity.

Gavin O'Neil gwałtownie potrząsnął głową.

- To niemożliwe.

Moira poklepała go po ramieniu.

- Czas odpocząć. Przecież to tylko gra.

- Gra? - Zmrużył oczy. - To nie jest zwykła gra. Nigdy też nie spotkałem kobiety, która potrafiłaby objąć umysłem tajniki strategii wojennej.

- Więc spotkałeś ją dzisiaj. - Rory odstawił puchar i wziął Annę Claire za rękę. - Dobra robota, moja pani. - Skłonił się na dworską modłę. - A teraz, czy tego chcesz, ojcze, czy nie, Anna Claire idzie odpocząć po trudach podróży.

Gavin przeniósł wzrok z szachownicy na przeciwniczkę.

- Wszyscy pójdziemy odpocząć. Jutro zaraz po śniadaniu znowu my dwoje zasiądziemy przy tym stoliku. Należy mi się rewanż.

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, dał się słyszeć głos Briany:

- Ale nakazałeś, ojcze, Annie Claire opuścić jutro rano nasz zamek.

- Bardzo dobrze o tym pamiętam - odparł, po czym chcąc ukryć, wstyd, ryknął: - Żadna cholerna Angielka nie opuści Ballinarin, dopóki nie da mi rewanżu. - Wbił wzrok w Annę Claire. - Czy wyrażam się jasno?

Kiwnęła spokojnie głową.

- Najzupełniej, Gavinie O'Neil. Jutro dam ci tę sposobność. A potem odjadę. Teraz zaś życzę dobrej nocy.

Kiedy odeszła w towarzystwie Rory'ego, Gavin powiódł wzrokiem po pozostałych członkach rodziny.

- Co się tak gagicie? Idźcie spać.

- Dobranoc, ojcze. - Conor pocałował matkę w policzek i wyszedł wraz z chłopcem i Brianą. Za nimi wybiegły psy.



Moira przez dłuższą chwilę przyglądała się mężowi.

- Spodobała ci się, prawda? - spytała.

- Cóż za bzdury! Jakże może podobać mi się jakaś zdradziecka Angielka?

- Angielka, która ma w sobie sporo irlandzkiej krwi - uściśliła Moira. - Więc polubiłeś ją?

- Nie lubię przegrywać. - Wziął żonę za rękę i wyszli z biblioteki na korytarz.

Kiedy byli już na schodach, szepnęła:

- Przyznaj się.

Obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

- Nie mam się do czego przyznawać.

Moira westchnęła. Gavin O'Neil zawsze był upartym człowiekiem. Patrzyła jednak na to przez palce, podobnie jak na inne jego słabości. Ostatecznie był miłością jej życia.

Miał jednak chyba rację, próbując pozbyć się z domu tej młodej kobiety. Było jasne, że Anna Claire Thompson podbiła serce ich syna. Nie było však wiadomo, czy Angielka odwzajemnia uczucia Rory'ego i czy czasami nie zjawiała się tu w jakimś zbrodniczym celu.

Być może, by wypuścić angielskich żołnierzy do twierdzy. Jeżeli tak, to wprędce się przekona, że O'Neilowie są nie w cie-mię bici. Potrafią być podejrzliwi i znają się na wojaczce.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Gdy Anna Claire weszła do sypialni, z krzesła przy drzwiach poderwała się, najwidoczniej wyrwana ze snu, pan-na służebna, niemal dziewczynka, i dygnęła z gracją.

- Och, proszę mi wybaczyć.

- Przecież nic się nie stało, Velia. Po prostu masz za sobą długi i męczący dzień.

- Tak, proszę pani. - Dziewczyna odgarnęła z czoła mocno skręcony pukiel włosów. - Wstałam przed świtem. Od razu pobiegłam do wsi i... - Przygryzła dolną wargę, zastanawiając się, jak daleko może posunąć się w szczerości. Zniżyła głos: - We wsi mieszka jeden taki... Nazywa się Titus O'Malley. Zanoszę mu własnoręcznie upieczony chleb, zanim wyjdzie w pole.

- Czy macie się ku sobie?

Velia skinęła głową.

Na twarzy Anny Claire odmalowało się zdumienie.

- Ale ty jesteś jeszcze bardzo młoda.

- Nie tak bardzo. Mam już trzynaście lat. I chciałabym założyć własną rodzinę. Czasami po dniu pracy idę do miasteczka i pomagam siostrze przy dziecku. Ma małego synka i wdzięczna jest za każdą pomoc.

- O'Neilowie nie sarkają, że opuszczasz zamek?

- Wręcz przeciwnie. Sami mnie do tego zachęcili. Wie-

dzą, ile dla mnie znaczy moja siostra. Ona jedna została mi z całej rodziny. - Zaczerwieniła się jak piwonia. - Ona i Titus.

- A co stało się z resztą?

- Rodzice i młodszy brat zostali zabici.

- Jakże mi przykro, Velia. Jak do tego doszło?

- Gnali owce na targ przez rzekę i zostali napadnięci przez angielskich żołnierzy. - Umilkła i uciekła spojrzeniem. Podobnie jak cała służba, wiedziała już, że Anna Claire nie jest Irlandką. Ryk starego O'Neila dotarł do najodleglejszych zakątków domostwa. - Proszę mi wybaczyć, panienko. Znamna jestem z tego, że nie potrafię trzymać języka za zębami.

- Nie masz za co przepraszać.

- Ależ mam. Bez względu na wszystko, jest panienka gościem w Ballinarin, a gościowi należy się szacunek. Jestem tu, żebym pomagała. - Zbliżyła się, pełna gotowości do usług. - Źle byłoby, gdyby panienka poczuła się opuszczona. Szczególnie teraz, gdy zasmakowała trochę gniewu szanownego pana.

- Zasmakowała trochę gniewu! - Śmiech Anny Claire ośmielił służącą.

- Tak, panienko. Bo nie życzyłabym najgorszemu wrogowi doświadczyć na sobie całego gniewu pana O'Neila. - Zadrżała na samą myśl o tym. - To już nawet nie gniew, tylko furia. Porównać ją można tylko do sztormu. Wszyscy boją się pana O'Neila. A teraz pomogę paniencie się rozebrać.

Anna Claire zdjęła pożyczoną suknię i włożyła podaną jej przez Velię nocną koszulę.

- A dzieci? Czy wrodziły się w ojca?

- Największe podobieństwo widać u Rory'ego i Briany.

Nie żeby Conor był jak ciepłe kluski, ale, podobnie jak jego matka, nauczył się hamować porwy.

- Wiem od Rory'ego, że Conor nad wojnę przedkłada politykę.

- O tak. - Velia podprowadziła Annę Claire do niewielkiej toaletki. - Ma obrotny język. Życzeniem matki jest, by używał go do krzewienia wiary katolickiej.

- Więc chce go widzieć księdzem. A co na to sam Conor?

- Jak dotąd, Conorowi przydają się jego talenty tylko w uwodzeniu panien.

I znów dziewczyna zarumieniła się, co Anna Claire dostrzegła w lustrze. Mimo iż wybrała już sobie kandydata na męża, jej serce, widać, żywiej biło na widok, a nawet na samo wspomnienie Conora.

Veila chwyciła szczotkę i zaczęła rozczesywać włosy Anny Claire.

- Nie żeby Rory nie miał powodzenia wśród panien. Wszystkie jednak wiedziały, że poza Caitlin świata nie widzi.

Anna Claire zaczęła szybciej oddychać.

- Znałaś ją, Velia?

- O, tak. I całą jej rodzinę. Aż nie chce się wierzyć, że już nie żyją. Za wyjątkiem tego biednego chłopca, Innisa.

- Powiedz mi coś o nim.

Velia ściszyła głos.

- Jest bardzo smutny i zgorzkniały. Nigdy się nie uśmiecha. Bardzo rzadko coś powie. I ani jednym słowem nie wrócił do tamtego dnia, choć widział wszystko na własne oczy.

Zamilkły, każda zatopiona w swoich myślach.

W końcu, ażeby nie poddawać się przygnębieniu, Anna

Claire obrzuciła wzrokiem zdobioną koronkami muślinową nocną koszulę.

- To bardzo uprzejme ze strony Briany, że użyczyła mi swoich pięknych rzeczy.

- Briana jest szlachetna i wspaniałomyślna. - Velia odłożyła szczotkę. - Poza tym nie przykłada większej wagi do strojów.

- Co w takim razie jest dla niej najważniejsze?

- Broń, konie i wszystko, co wiąże się z wojaczką. I w tym właśnie najbardziej podobna jest do Rory'ego. Jego próbuje naśladować, on dla niej jest wzorem. Gdy wyjechał, o mało co nie pękło jej serce. Przez te dwa lata przypominała ptaka ze złamanym skrzydłem. Teraz, kiedy wreszcie ma brata przy sobie, nie posiada się ze szczęścia.

Anna Claire kiwnęła głową. Dobrze pamiętała radość Briany i jej rozświetlone siostrzaną miłością oczy.

Velia rozesłała łóżko i dorzuciła drew do ognia.

- Właściwie mogę już sobie pójść. Życzę paniencie dobrej nocy. Niech anioł stróż trzyma straż nad panienką.

- Dziękuję, Velia. - Anna Claire czuła się wzruszona tym wyrazem sympatii. - A gdzie ty spędzasz nocę?

- Mam tu swój własny pokój. Mogę w nim mieszkać, dopóki zechcę. Nigdy nie zdołam odwdziżyć się O'Neilom za dobroć ich serca.

Kiedy Velia zamknęła za sobą drzwi, Anna Claire usiadła na brzegu łóżka. Utkwiła wzrok w buzujący na kominku ogień. Myślała o tym, co przed chwilą usłyszała. Już nie dziwiła się wybuchowi gniewu starego O'Neila. W tym domu wszystko co angielskie kojarzyło się z krwią, łzami i cierpieniem niewinnych ludzi. Tyle że za ten bezmiar bólu i niespra-

wiedliwości jej ojciec nie ponosił bezpośredniej odpowiedzialności. O'Neilowie, niestety, nie znali go. Dla nich był po prostu wysokim szlachcicem w służbie angielskiej królowej. To czyniło go już dostatecznie winnym.

Wróciła w myślach do ataku gniewu starego O'Neila. Niewątpliwie człowiek ten miał wybuchowy charakter, co nie musiało bynajmniej zaprzeczać jego szlachetności i wielkoduszności. Przycięła przecież dwie sieroty, Velię i Innisa.

Było hańbą tych czasów, że linia podziału przebiegała nie między dobrymi a złymi, tylko między wiernymi królowej a wiernymi swojej własnej tradycji. Ojciec Rory'ego i jej ojciec zapewne nigdy nie poznają się w tym stopniu, w jakim znani byli przez swych przyjaciół i najbliższych.

Potrząsnęła głową i z westchnieniem położyła się do łóżka. Zaledwie jednak zdążyła zamknąć oczy, gdy usłyszała szmer otwieranych drzwi. Stał w nich Rory. Był w samych tylko spodniach. Stapał po posadzce bosymi stopami.

- Myślałem, że już nigdy sobie nie pójdzie.
- Kto? - Usiadła na łóżku. Kołdra zsunęła się, a przezroczysta nocna koszula bardziej ujawniała, niżli kryła piersi.

Rory nie mógł oderwać wzroku od dwóch symetrycznych punktów brodawek.

- Twoja wymagająca świętej cierpliwości służka.
- Pokręciła głową.
- Podśłuchiwałaś?
  - Tak. - Na jego twarzy malował się ów tak jej dobrze znany niebezpieczny uśmiech. - Inaczej nie wiedziałbym, kiedy mogę wejść.

Gdy sięgnął do paska spodni, uniosła rękę na znak, żeby się wstrzymał.

- Rory, tutaj nie wolno nam tego robić - szepnęła.
- Niby dlaczego? - Uwolnwszy się z ubrania, wsunął się pod kołdrę.
- Ponieważ to się nie godzi. To dom twoich rodziców.
- Nie widzę nic zdrożnego w całowaniu się. - Jego pocałunek, gorący i namiętny, należał do tych mniej niewinnych.

Nie miała siły się opierać. Przywarła do niego całym ciałem.

Tylko na chwilę udało się jej oderwać usta.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli. Rano wszyscy będą wiedzieć, że tę noc spędziliśmy w jednym łóżku.

- Musieliby być skończonymi głupcami, gdyby nie domyślali się, co naprawdę nas łączy. - Zaczął muskać wargami jej twarz. - Stęskniłem się za tobą, Anno Claire. Przez ten cały dzień tylko o tobie myślałem. O tym, żeby znów trzymać cię w ramionach. A ty? Czy poświęciłaś mi choć jedną myśl?

Kiwnęła głową, czując, że znów jest we władzy zmysłów.

- Tylko pomyśl, kochana. - Całował jej powieki, policzki i nos. - Dzień był długi i wypełniony oczekiwaniem. Ale tę noc mamy dla siebie.

- Och, gdyby tylko mogło być tak zawsze - westchnęła.

- Będzie, obiecuję - szepnął gorąco i zabrał ją w długą miłosną podróż.

- Dzień dobry, panienko. - Używając łokcia do naciśnięcia klamki, biodrem zaś popychając drzwi, Velia weszła do sypialni z dzbankiem wody i całym naręczem czystej bielizny. W ślad za nią wpadły trzy psy.

Odwróciła się i zrozumiała swój błąd.

- Och, proszę mi wybaczyć. Byłam przekonana, że panienka już się obudziła.

Anna Claire powoli i z trudnością odzyskiwała świadomość. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Nagle wszystko stało się jasne. Z trwogą spojrzała przez ramię, pewna, że ujrzy Rory'ego. Jednak miejsce obok niej było puste. Poczowała wielką ulgę. Przypomniała sobie jego ostatnie słowa i ostatni pocałunek. Było to tuż przed świtem.

Zauważyła, że Velia wraca ku drzwiom.

- Zostań, proszę.

- Na pewno, panienko?

- Dawno już nie spałam takim kamiennym snem.

- To rozumiałe, panienko. Kto przebył taki szmat drogi, narażając się na niebezpieczeństwa i niewygody, temu sen jest bardzo potrzebny. Wszyscy tu podziwiają odwagę panienki.

Dziewczyna rozsunęła kotary i pokój zalało światło. Słońce stało już wysoko na niebie.

- Służba została uprzedzona, by nie przeszkadzała panience. - Velia przygotowywała kąpiel.

- To bardzo uprzejme ze strony Moiry O'Neil. - Anna Claire podniosła się z łóżka i przywitała się z psami, każdego wytargawszy za uszy.

- To nie pani wydała rozkazy, tylko Rory O'Neil. Zabronił przechodzić przed drzwiami tej sypialni, chyba że na palcach.

Anna Claire mimo woli zarumieniła się. Chcąc ukryć zmieszanie, głębiej pochyliła się nad miednicą. Porozmawia



o tym ze swoim zuchwałym kochankiem. Na razie musiała umyć się i ubrać.

- Czy wszyscy już wstali?

Velia przytaknęła, po czym podała Annie Claire suknię w kolorze pogodnego nieba.

- Podoba się panience?

- Jest piękna. Spodziewałam się jednak dostać swoją własną, zważywszy na to, iż niebawem opuszczam to miejsce.

Dziewczyna była zakłopotana.

- Suknia panienci ucierpiała w podróży. Jest brudna i w kilku miejscach podarta. Muszę najpierw ją uprać i pocerować. Przy tej pogodzie wyschnie bardzo szybko.

Anna Claire rzuciła okiem w lustro. Była lekko blada, lecz wyglądała schludnie i elegancko. Mogła pokazać się ludziom.

Opuściła pokój i zeszła po szerokich kamiennych schodach.

W holu dobiegł ją stłumiony gwar rozmów. Poszła za głosami, które zaprowadziły ją do sali biesiadnej. Gdy weszła, zapadła cisza, a wszystkie twarze zwróciły się ku niej. Było jasne, że to o niej rozmawiano. Zastanawiano się zapewne, kiedy jej się pozbyć.

- Dzień dobry, Anno Claire. - Jak mogła się spodziewać, słowa te, wypowiedziane ciepłym głosem, padły z ust Conora. Wstał, podszedł do niej i podprowadził do stołu. Wskazał na puste krzesło przy Gavinie O'Neilu.

Zanim usiadła, powitała ceremonialnym ukłonem wszystkich obecnych.

- Rory uprzedził nas, że zostaniesz w łóżku co najmniej

do południa - rzekł Conor. - Dlatego nie czekaliśmy ze śniadaniem.

Przyjęła puchar z grzaniem i zaprawionym piwem. Zwiżyła usta.

- A właśnie. Gdzie Rory?

Gavin i Moira wymienili spojrzenia. To ona zdecydowała się na odpowiedź:

- Rory kazał sobie osiodłać konia i gdzieś pognał. Powiedział, że chce odwiedzić pewne miejsca. Chyba nieprędko wróci.

Sługa podsunął Annie Claire tacę z dymiącą baraniną. Odmówiła. Sięgnęła po chleb, który był jeszcze ciepły.

Powiedziała, kierując te słowa do wszystkich i każdego z osobna:

- W tej chwili Velia zajmuje się moją suknią i płaszczem podróżnym. Wyjadę, gdy tylko Rory wróci.

- Wyjedziesz, gdy ja na to pozwolę, Angielko. - W głosie Gavina wyczuwało się rozdrażnienie. - Przypominam, że winna mi jesteś rewanż.

Zacisnęła dłonie, lecz odpowiedziała, o dziwo, spokojnie:

- Gra nie potrwa długo, Gavinie O'Neil. Wynik łatwo przewidzieć. Pokonam cię, a potem opuszczę ten dom.

Ależ rogata sztuka, pomyślał Gavin. Odsunął się wraz z krzesłem od stołu i zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

- Tak się składa - rzekł - że najpierw muszę załatwić pewne sprawy w wiosce. Dopiero gdy wrócę, będziemy mogli zasiąść do stolika.

Anna Claire kiwnęła głową.

- Niech i tak będzie.

Straciła apetyt. Gdzie jest Rory? Dlaczego zostawił ją samą w tej klatce z lwami? Czyżby nie umiał postawić się na jej miejscu? Wszystkie jego rzucone nocą obietnice okazały się w świetle dnia nic niewarte.

Uwagi Moiry nie uszedł niepokój młodej Angielki.

- Co powiesz na spacer po ogrodzie?

- Z miłą chęcią odetchnę świeżym powietrzem. - Anna Claire poderwała się z krzesła, wdzięczna za możliwość ucieczki z miejsca, w którym się dusiła.

- Chodź, Briana - zwróciła się matka do córki. - Będziesz nam towarzyszyć.

Wyszły na dwór w asyście wszędobylskich psów.

- Jak tu pięknie - westchnęła Anna Claire, ogarniając wzrokiem morze zieleni.

Starannie przystrzyżone żywopłoty, kręte, wysypane żwirem alejki, kamienne ławy, oczka wodne oraz skupiska krzewów i drzew - wszystko to cieszyło oko i uspokajało nerwy.

- Najpiękniej tu na przełomie czerwca i lipca, gdy kwitną prawie wszystkie kwiaty.

- Nawet bez kwiatów ogród ten nie straciłby nic na urodzie - powiedziała z przekonaniem Anna Claire.

Uśmiech Moiry bardzo przypominał uśmiech Rory'ego.

- Tak, ja również coś podobnego odczułam, gdy przybyłam tu po raz pierwszy prosto od ołtarza.

- Ile wtedy lat miałaś, pani? - spytała Anna Claire, wystawiając twarz na słońce i przymykając oczy.

- Piętnaście.

Annie Claire przypomniała się Veila.

- To niewiele.

- Dokładnie tyle, ile ma dzisiaj Briana. Trudno uwierzyć,

że w tak młodym wieku mogłam mieć jasny pogląd na pewne sprawy. Ale gdy zobaczyłam Gavina O'Neila, od razu wiedziałam, że to mężczyzna mego życia.

Mimo że Anna Claire nie miała powodu lubić tego człowieka, z łatwością pojmowała, dlaczego młoda dziewczyna mogła zakochać się w tym śmiałym i dumnym wojowniku. Czyż syn tych dwojga nie stał się tym samym dla niej?

- Czyżby twój ojciec, pani, nie miał nic do powiedzenia?

- I owszem. Robił co mógł, by odwieść mnie od tego pomysłu.

- Co nim powodowało?

Moira wskazała na nagrzaną słońcem ławkę. Usiadły.

- Gavin O'Neil cieszył się sławą nieustraszonego wojownika. Tacy mężczyźni robią zazwyczaj ze swoich żon młode wdowy. Mój ojciec wziął sobie za punkt honoru, by jego jedyne dziecko zaznało spokojnego życia w dobrobycie. Odrzucił oświadczyzny Gavina. Kiedy ten naciskał, usłyszał w odpowiedzi, żeby wybił sobie z głowy wiano i ślub.

Anna Claire zmarszczyła brwi.

- Nietrudno zgadnąć, że twój ojciec, pani, w końcu się poddał. Jak Gavinowi udało się go przekonać?

- Gavin nie przekonał go. Ja wzięłam sprawy w swoje ręce. - Moira dotknęła dłońmi rozpalonych policzków, cokolwiek zaskoczona, że po tylu latach wspomnienie tamtych dni wciąż zmusza jej serce do szybszego bicia. - Zaczęłam od próśb i błagań. Gdy nie poskutkowały, postawiłam wszystko na jedną kartę. Przez umyślnego wysłałam list do Gavina, prosząc go o przybycie. Podrobiłam podpis ojca i użyłam jego pieczęci. Kiedy Gavin się zjawił po narzeczoną i posag, czekałam nań na brzegu rzeki z dwiema sukniami w tobołku.

Usłyszał z moich ust, że albo mnie bierze taką, albo niech odjeżdża i nie pokazuje się więcej. - Roześmiała się nerwowo. - Jak się domyślasz, odjechaliśmy razem.

- Zerwałaś, pani, wszelkie stosunki z ojcem?

Moira westchnęła.

- Na to się zanosilo. Ale miłość rodzicielska jest jak lita skała. Kiedy dowiedział się, że urodziłam mu wnuka, zapytał przez posłańca, czy może nas odwiedzić. Nie skończyło się na jednej wizycie. Doszło do pojednania. Z czasem on i Gavin stali się najlepszymi w świecie przyjaciółmi. - Ujrzała idącą z koszem gospodynię i powstała z ławy. - Muszę porozmawiać z Fiolą. Briana dotrzyma ci towarzystwa. Korzystajcie ze słońca, skoro tak pięknie dziś świeci.

Odeszła, zaś Anna Claire przeniosła wzrok na Brianę. Z jej skwaszonej miny wywnioskowała, że siostra Rory'ego została tu wbrew swojej woli i życzeniu. Trzeba było rozładować narastające napięcie.

- Rory opowiadał mi o rodzinnym domu zawsze z miłością i zachwytem. Teraz rozumiem go. Jest naprawdę piękny.

- I co jeszcze mówił?

- Dom to, oczywiście, również rodzina. Nie ma bardziej kochającego syna i brata od Rory'ego.

- A zatem zarysowuje się pewna nierówność. Bo o ile my o tobie wiemy, doprawdy, niewiele, o tyle ty o nas wiesz bardzo dużo. Och, dlaczego musiałaś tu przyjechać i zważyć naszą radość z powrotu Rory'ego?

Anna Claire poczuła się głęboko dotknięta. Zdobyła się jednak na gest pojednania. Położyła dłoń na ramieniu Briany.

- Wiem, że bardzo się trapisz tym wszystkim. Zresztą moje położenie nie jest wcale lepsze. To nie był mój wybór.

Ani Rory'ego, jak sędzę. To okoliczności zmusiły go do przywiezienia mnie tutaj.

Dziewczyna wzdrygnęła się i odsunęła, jakby dotknięcie Anny Claire parzyło.

- Wolałabym, żeby mój brat nigdy cię nie spotkał. Chciałabym, żeby wszystko było tak jak dawniej, zanim jeszcze dokonana się ta rzeź i Rory musiał wyjechać. Jesteś kamieniem u jego szyi. Nie chcę cię tutaj.

Wyrzuciwszy to z siebie, zebrała spódnice w sposób zaiste mało elegancki i pobiegła ścieżką w kierunku domu.

Anna Claire odprowadziła ją wzrokiem, po czym z westchnieniem podniosła się z ławki. Och, gdyby mogła uciec stąd równie szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie! Nurtował ją niepokój. Poszła tworzącą łuk aleją, oznaczoną po brzegach szerokim żywopłotem. Nagle usłyszała czyjś głos. Dochodził zza ligustru. Zaciekawiona, doszła do przerwy w żywopłocie. Tutaj głos był wyraźniejszy, mogła już rozróżnić głoski i sylaby. Rozejrzała się i zobaczyła Innisa. W niczym nie przypominał nieśmiałego chłopca, jakim go zapamiętała z dnia wczorajszego. Przemawiał z pasją, gwałtownie gestykulując rękami. Jakby próbował naśladować starego O'Neila.

Mając nadzieję, że adresatem słów chłopca jest Rory, Anna Claire wyszła na otwartą przestrzeń wprost na kolisty plac z fontanną pośrodku. Rzeźba podtrzymująca czasę wodotrysku wyobrażała matkę z dzieckiem. Kamienny chłopiec ofiarowywał matce bukiet kwiatów. Na twarzach obydwójga widać było ów szczególny wyraz, który dawał pewność, że darzą się bezgraniczną miłością.

Kiedy podeszła bliżej, zorientowała się, że Innis jest sam. I że kieruje swe słowa do zaklętych w kamień postaci.

- To Angielka - mówił. - Córa narodu wykletego, jako że kieruje nim zasada fałszu i niesprawiedliwości. Nie wolno mi o tym zapominać, mimo że tak bardzo podobna jest do ciebie. Kiedy po raz pierwszy ją ujrzałem, pomyślałem, że to moja matka wstała z grobu. Ale teraz wiem, że nigdy...

Szelest sukni sprawił, że przerwał i odwrócił się. Ostatnie słowo zamarło na jego wargach. Oczy rozbłyły ogniem. Ten chłopiec przypominał w tej chwili rycerza rozpalonego walką.

- Wybacz, że cię przestraszyłam. - Anna Claire stanęła w pół kroku. Świadoma tego, co przeżywa chłopiec, spojrzała ponad jego głową na fontannę. W ten sposób dawała mu czas, by wziął się w garść. - Jaka piękna rzeźba.

Milczał jak zaklęty.

- Gdybym mieszkała tutaj, każdego dnia odwiedzałabym to miejsce. W zakątku tym, można by rzec, odpoczywa dusza. - Spojrzała na chłopca. - Czy ta wyrzeźbiona niewiasta podobna jest do twojej matki?

Uciekł spojrzeniem w bok.

Głos Anny Claire drżał czułością:

- Moja matka zmarła dwa miesiące temu. Nie wiem, czy kiedykolwiek pogodzę się z jej stratą. Czasem wybucham płaczem bez żadnego powodu.

Odparł z dziecięcą pasją:

- O'Neil powtarza, że nie godzi się płakać. Płacz to oznaka słabości.

To były pierwsze słowa, jakie powiedział wprost do niej. Jakkolwiek niewątpliwie winił ją za coś, poczuła się wzruszona. Nastąpił bowiem wyłom w murze wrogości i nienawiści, jaki wzniosły między nimi okoliczności.

Próbowała teraz starannie dobierać słowa:

- O'Neil nie jest ani wszechmocny, ani wszechwiedzący. Założę się, że zdarza mu się mylić.

Przez chwilę tylko wpatrywał się w nią badawczo. Widać było zaskoczenie w jego oczach. Nagle jednak po jego dziecięcym wciąż obliczu przemknął jak gdyby cień uśmiechu.

- Czy szukasz Rory'ego? - spytał ściszym głosem.
- Tak. Wciąż nie wiem, dokąd się udał.

Zamiast odpowiedzieć, po prostu się odwrócił. Ruszył ścieżką w kierunku większego skupiska drzew. Po chwili obejrzał się, chcąc się upewnić, czy idzie za nim. Opuścili ogród i wyszli na trawiaste zbocze. Minęli małą kapliczkę i poszli skrajem błotnistej drogi.

Anna Claire uległa pięknu tej dzikiej okolicy. Na stokach rosły tu i ówdzie poskręcane od silnych wiatrów drzewa lub ciemniały kępy kolczastych krzewów. Niebo tymczasem zmieniło kolor. Stało się szarzielone, a zbliżające się od zachodu chmury zapowiadały burzę. Wiał ostry, zimny wiatr, który targał jej spódnicą i włosami.

Droga tworzyła w tym miejscu ostry łuk. Za zakrętem Innis nagle się zatrzymał.

Zakątek ten na pierwszy rzut oka nie wyróżniał się niczym szczególnym. A jednak Annę Claire przebiegł dreszcz. Nie było tu widać owiec szczypiących trawę ani złocistych łanów zbóż. Jakieś ptaszę trzepotało się na tle nieba, skarżąc się żałośnie. Jego samotny krzyk podkreślał panującą tu ciszę.

Kilka metrów dalej stał osiodłany wierzchowiec, grzebiąc nogą i gryząc uzdę. W pierwszej chwili pomyślała, iż z ja-



kiegoś powodu zrzucił jeźdźca. Gdy jednak podeszła bliżej, zorientowała się, że Rory'emu nic się bynajmniej nie stało. Po prostu klęczał na ziemi z twarzą ukrytą w dłoniach.

Coś ją zaniepokoiło i nagle... Wielkie nieba! Stała w miejscu, gdzie przed dwoma laty dokonała się ta straszliwa zbrodnia. Serce ścisnęło się jej z bólu. Zazdrość? Jak można być zazdrosną o kogoś zmarłego? Wykluczone. A jednak nie mogła znieść, iż Rory opłakuje utraconą bezpowrotnie miłość. Chociaż gdyby nie tamta masakra, nigdy by go nie spotkała. Nigdy też nie pokochałaby tego dzikiego irlandzkiego wojownika.

- Czy kiedykolwiek przychodziłeś tu od tamtej...? - Nie mogła użyć wobec tego chłopca jedyne go słowa, jakie się tu narzucało, a była nim „rzeź”. Dokonano rzezi na całej jego rodzinie.

Innis gładził chropowatą powierzchnię głazu.

- Każdego dnia.

- Każdego dnia? Ale dlaczego?

- Żeby nie zapomnieć. - Jego duże oczy były w tej chwili samym smutkiem.

- Sądzę, że powinieneś właśnie wyrzucić z pamięci tamto straszne wydarzenie. - Wstrząsnęła się.

- Nigdy. - Już nie władał nim smutek, tylko gniew. - Muszę pamiętać. Ażebym coś takiego nigdy już więcej się nie powtórzyło.

- A jakże to taki mały chłopiec mógłby czemuś takiemu zapobiec?

- Widzisz to? - Wyjął i pokazał wąski niczym żądło sztylet. - Każdego dnia przychodziłem tu, by uczyć się nim posługiwać. Dziś potrafiłbym przeszyć ptaka w locie.

Kiedy zaś faktycznie zamachnął się, by rzucić sztyletem w przelatującego ptaka, chwyciła go za rękę.

- Nie, Innis. Serce by mi pękło, gdybyś zabił to niewinne stworzenie.

- Kłamiesz. - Wyrwał rękę. - Wy, Anglicy, nie wiecie co to czułość i litość. Zabijacie i uczycie innych zabijać. Mógłbym wykrajać ci serce bez mrugnienia okiem.

Ptak już odleciał, więc z braku żywego celu chłopak zamachnął się i rzucił w kierunku oddalonego drzewa. Ostrze wbiło się w sam środek sęku i widać było, że taka była intencja małego mściciela.

Anna Claire wstrząśnięta była jego zaciekłością. Intuicja podpowiadała jej, że należy wierzyć jego słowom. Kto wie, czy tym sękiem nie było w jego wyobraźni jej serce.

Chłopiec podszedł do drzewa, wyszarpnął sztylet i schował.

- Kiedy dorosnę - powiedział - dołączę do Rory'ego O'Neila. We dwóch wypędzimy w wyspy wszystkich Anglików.

- Och, Innis. - Serce miała ściśnięte, wręcz ją bolało. - Modłę się, żeby ten dzień nigdy nie nastąpił. - Oczy zasły jej łzami. - A teraz chodźmy stąd. Natychmiast. - Zawróciła i ruszyła w stronę domostwa.

Po chwili zrównał się z nią i kroczył u jej boku, lekki i skoczny niczym elf.

- Dlaczego uciekasz, Angielko? Czyżbyś nie mogła znieść widoku miejsc, w których twoi rodacy dopuścili się najgorszej niegodziwości?

- Nie mam prawa przebywać tutaj. Jestem... - Przerwała, bo trudno jej było przyznać się do tego, że jest wrogiem.

Słowo to przepalało jej duszę. Zaciśnęła usta i przyśpieszyła kroku.

Usłyszeli za sobą tętent kopyt.

Rory wyprzedził ich i osadził konia. Spoglądał surowym, pociemniałym wzrokiem. Przemówił szorstko, wręcz chrapliwie:

- Co wy tu robicie?

- Poprosiłam Innisa - odparła Anna Claire - by pokazał mi to miejsce. Przy okazji dowiedziałam się, że bywa tu codziennie.

Rory przeniósł wzrok na chłopca.

- Czy tak, pędraku?

Innis śmiało spoglądał na rycerza, którego imię wymawiane było z takim szacunkiem, jakby był bogiem. Pamiętał, bo tamtego dnia nigdy nie miał zapomnieć, ów straszny wyraz twarzy Rory'ego, gdy przybył na spienionym koniu i ujrzał scenę masakry. Potem budził się nocami, słysząc swój własny krzyk. Płakał, ponieważ był dzieckiem. Ale przyjdzie taki dzień, gdy zapomni o płaczu. Nie będzie w nim łez, tylko ów chłód nienawiści, który widział w oczach Rory'ego, kiedy ten pochylał się nad swoją ukochaną, martwą Caitlin.

- Czy umiesz mówić, chłopcze? - Rory zeskoczył z siodła i przykucnął przy chłopaku. - Wzbudzam w tobie strach, Innis?

Chłopiec wytrzymał jego spojrzenie.

- Nie, nie boję się ciebie. Niech inni nazywają cię Czarnym O'Neilem. Niech mówią, że jesteś najstraszniejszym wojownikiem w Irlandii. Ja nie boję się ciebie.

- Masz rację. Jedynie angielscy żołnierze mają powody, żeby się mnie bać.

- Powinni bać się również mnie. Ponieważ gdy teraz stanę przed nimi, zobaczą nie małego chłopca kryjącego się za plecami ojca, tylko obrońcę swojej ojczyzny.

Zapadło milczenie. Rory przyglądał się chłopcu badawczym wzrokiem. Wreszcie przeniósł spojrzenie na Annę Claire.

- Trzeba wracać do Ballinarin - powiedział.

- Tak - zgodziła się skwapliwie. - Chmurzy się. Chyba nadchodzi burza. Myślę, że musimy wsiąść wszyscy na jednego konia.

Wsiedli. Anna Claire z przykrością zauważyła, że Innis nie chce, by obejmowała go ramieniem.

Pograżyła się w myślach. Zobaczyła i usłyszała rzeczy, które musiała dopiero przeanalizować. Kto wie, gdyby udało się jej nawiązać z chłopcem nic porozumienia, być może z czasem ułożyłaby sobie stosunki z innymi mieszkańcami Ballinarin.

Niewykluczone jednak, że już na to za późno. Za sprawą diabła, który sieje niezgodę, miała wokół siebie samych wrogów. I to nie wróżyło najlepiej jej i Rory'emu.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Burza rozpętała się, zanim zdążyli dotrzeć pod dach. Rory nie miał innego wyboru, jak tylko skierować konia ku małej kapliczce w szczerym polu.

- Tutaj znajdziemy schronienie. - Zsunął się z siodła, po czym zсадził na ziemię Annę Claire i Innisa. Otworzył ciężkie wrota.

W ich nozdrza uderzył zapach wosku i kadzideł.

- Pośpieszcie się. - Zdjął płaszcz i otulił nim Annę Claire. - Dorzucę do ognia. - Podeszedł do kominka, na którym tliła się jedna szczapa, i zaczął dokładać polan. Po chwili żar bijący z paleniska przemienił kapliczkę w miętę i bezpieczne schronienie. Na zewnątrz szalała burza.

Rory skrzyżował ramiona.

- Brakuje nam tu jedynie wina i chleba. Mając to wszystko, czulibyśmy się jak w domu.

- Czy ktoś coś wspomniał o winie? - dał się słyszeć melodyjny głos od strony ołtarza.

- Ojciec Malone. - Rory uściskał serdecznie starego mnicha w brązowym habicie. Choć pomarszczony i siwy, patrzył spojrzeniem młodzieńczym.

- Ach, Rory, miły chłopcze. Dotarło już do mnie, że wróciłeś. - Zakonnik chwycił Rory'ego w ramiona, uściskał go, po czym zaczął przypatrywać mu się niczym ojciec synowi.

który powrócił z wojny bądź dalekiej podróży. - Dzisiejszą poranną mszę odprawiłem w podzięcie Bogu za twój szczęśliwy powrót.

- Dziękuję, ojcze. Trudno mi wyrazić wdzięczność.

Mnich odnalazł wzrokiem Innisa.

- Nie widziałem ciebie wśród wiernych.

Chłopiec spuścił oczy.

Rory ujął starego pod ramię.

- Pozwól, ojcze, że przedstawię ci lady Annę Claire Thompson.

- Witam, szlachetna damo. - Uściskał ją serdecznie. - Msza, o której wspomniałem, odprawiona została również w twojej intencji. Nie jest już dla nas żadną tajemnicą, że tylko dzięki twojej dobroci i odwadze Rory nie postradał życia.

- Dziękuję, ojcze - odparła.

- A czy można wiedzieć, kto zdradził tę tajemnicę? - spytał żartobliwie Rory.

W oczach starca zapaliły się iskierki wesołości.

- To twoja matka zamówiła o świcie tę mszę. Po wspólnej modlitwie Moira jak zwykle się rozgadała. - Przeniósł wzrok na Annę Claire. - To od niej wiem, że twoim ojcem, pani, jest lord James Thompson.

Anna Claire mimowolnie wyprostowała się.

- W rzeczy samej.

- Czy mówimy o doradcy i zauszniku królowej Elżbiety?

Skinęła głową na znak potwierdzenia.

- O ile sobie przypominam, ożenił się z Irlandką. Pozwolono ci, pani, zachować wiarę matki, czy też wychowano w wierze ojca?

Przez chwilę miała ochotę odmówić odpowiedzi. Pomyślała jednak, że nie byłoby to grzeczne.

- Ojciec wybór pozostawił córce.

- Założę się o sandały, które mam na stopach, że wybrałaś, duszko, wiarę matki. Ponieważ w swym sercu jesteś Irlandką.

Odparła z dumą:

-- Jestem tyleż Irlandką, co Angielką. Nie wstydę się swoich korzeni.

Innis powoli unióśł wzrok i spojrzał na Annę Claire.

Stary zakonnik nieznacznie się uśmiechnął.

- Domyślam się, że doskwiera wam głód. Zaraz przyniosę coś z mojej celi.

- I proszę nie zapomnieć o winie, ojczyźnie Malone.

Zakonnik zatrzymał się i spojrzał przez ramię.

- O winie nigdy nie zapominam. Jest to bowiem napój, który rozgrzewa ciało i rozwesela duszę.

Po krótkiej chwili wrócił z chlebem, serem i winem. Rozpostarł pled przed kominkiem i zaprosił wszystkich do skromnego posiłku.

- Czy ojciec mieszka w tej kaplicy? - spytała Anna Claire.

- Tak. Gavin i Moira wprawdzie wielkodusznie proponowali mi, bym zamieszkał z nimi, ale ja wolę prostotę celi przy kaplicy. Gdybym zakosztował wygodnego i dostatniego życia, prędko zapomniałbym o ślubach ubóstwa i skromności.

Anna Claire kiwnęła głową.

- Na dworze w Londynie, gdzie niegdyś często bywałam, poznałam wielu duchownych. Ich przykład jest wielce wy-

mowny. Dla nich liczył się bardziej dwór i splendor niż wieni spoza pałacu. Czuli się bardziej władcami tego świata niż sługami Bożymi.

- Wstydzę się za nich, gdyż są to moi bracia w kąpielniczkach. - Łamał chleb, kroił ser i nalewał wina. - Czy mogę poznać twoją opinię, duszko, o królowej?

- To niezwykła niewiasta. O żelaznej woli i zapalczywym charakterze. Władca, a zarazem pełna prostoty. Gdy wchodzi do sali audiencyjnej, inni gasną przy niej niczym gwiazdy przy słońcu. Elżbieta urodziła się, by rządzić. Nawet ministrowie ustępują jej woli.

Ojciec Malone nie spuszczał oka z mówiącej.

- Wielu twierdzi, że to okrutna despotka, prawdziwy tyran. Jednakże ty, moja duszko, jesteś pełna dla niej podziwu.

- Tak. To kobieta, której przypadła rola zarezerwowana dotychczas dla mężczyzn, ona zaś śmiało wzięła na swoje barki związane z nią obowiązki. Czyż nie zasługuje to na podziw?

Ojciec Malone skończył kroić ser.

- Wiem od Moiry, że udzielając schronienia i pomocy Rory'emu, naraziłaś siebie i swoich domowników na wielkie niebezpieczeństwo.

Anna Claire oblała się rumieńcem.

- Nie miałam czasu myśleć o tym niebezpieczeństwie.

- Jak możesz tak mówić? - sprzeciwił się Rory. - Była naznaczona nagroda za moją głowę. Dom często odwiedzali szlachetnie urodzeni Anglicy. Przez usta Anny Claire przemawia nadmierna skromność. Bardzo dobrze wiedziała, jakie groziły konsekwencje.

Innis wiercił się niespokojnie na wełnianym pledzie.



- Czy za pomoc udzieloną Rory'emu mogłaś zapłacić głową?

- Faktycznie, mogło się tak wydarzyć, ale mam to za sobą. Jestem tu i nic mi już nie grozi.

- I nie bałaś się?

- Owszem, bałam się. Szczególnie nocami. Nie mogłam dopuścić, by strach nie pozwolił mi zrobić tego, co uważałam za słuszne.

- A więc angielska szlachcianka ukrywała pod swoim dachem irlandzkiego wojownika - podsumował ojciec Malone.

- Nie ma w tym nic dziwnego. Wychowano mnie w kulturze dla odwagi i wojennego rzemiosła.

Staruszek zachichotał. Pociągnął łyk wina. Innis był chmurny i milczący. To, co usłyszał, całkiem zbiło go z tropu.

Zaczęli posiłek. Potoczyła się rozmowa na różne tematy. Ojciec Malone zajmująco opowiedział historię Ballinarin.

- Dowiedziałam się od Rory'ego, że święty Patryk własnoręcznie ochrzcił jego przodków w tym miejscu. Czy to prawda? - zapytała.

- Całkowita. O'Neilowie wywodzą się od pierwszych irlandzkich władców. Ale ten ród, jak każdy, prócz bohaterów ma również swoich łajdaków.

Anna Claire uśmiechnęła się.

- A zatem, Rory, jesteś na poły łajdak, na poły bohater. Innis zachichotał.

- Zgadza się. Pięknie byłoby, gdyby wszyscy O'Neilowie byli dżentelmenami. Ponieważ jednak jest inaczej, strzeż się mnie, kobieto.

- To ty się mnie strzeż, Rory. Uratowałam ci życie, więc mam prawo je zabrać.

Wszyscy się roześmieli. Nawet Innis.

Rory rzucił okiem na niebo za oknem.

- Burza już przeszła. Musimy jechać. Serdecznie dziękujemy za gościnę. - Wstał i pomógł ojcu Malone podnieść się z podłogi.

- To ja dziękuję za odwiedziny - rzekł staruszek z ciepłym uśmiechem na pomarszczonej twarzy. - Rzadko miwam tak miłych gości. A ciebie, Innis, chcę widzieć tu jutro na porannej mszy.

Chłopak kiwnął głową.

Wyszli przed kaplicę. Po chwili znowu we trójkę siedzieli na koniu.

Zakonnik pomachał im na pożegnanie.

- Jedźcie z Bogiem, moje dzieci.

Oddalali się, on zaś odprowadzał ich wzrokiem. Moira miała rację. Tych dwoje z pewnością się kochało. Lecz w odróżnieniu od zaniepokojonej tym matki, on, biedny klecha, czerpał z tego radość i spokój. Na Rory'ego O'Neila spadło dwa lata temu wielkie nieszczęście. Doświadczył ludzkiego okrucieństwa i zapalał żądzą zemsty. Teraz to może się zmienić. Ta młoda niewiasta może mu wskazać inne cele i zadania.

Wrócił do swojej celi głęboko zamyślony. Co go najbardziej zastanawiało, to stosunek Innisa do tej Angielki. Najwidoczniej chłopak zmuszał się, by ją nienawidzić. Jednak poruszyła w nim pewną strunę. Na pewno ciekawą rzeczą będzie obserwować, jak w tym chłopcu nienawiść będzie ulegać sympatii.

Wjechali przez wrota na dziedziniec. Zeskoczyli na ziemię i rzucili cugle stajennemu. W drzwiach powitała ich Velia.

- Państwo wraz z Conorem i Brianą czekają w bibliotece  
- oświadczyła.

Rory podziękował i weszli do mrocznej sieni. Na schodach Anna Claire wydała cichy okrzyk.

- O, Boże! Partia szachów. Zupełnie o niej zapomniałam.

W bibliotece przy kominku na ustawionych w krąg krzesłach siedzieli domownicy i o czymś żywo rozprawiali. Na hałas u drzwi cztery głowy zwróciły się w tym kierunku.

- Proszę mi wybaczyć. - Anna Claire szybkim krokiem podeszła do Gavina O'Neila. - Na śmierć zapomniałam o umówionej partii szachów. Zaskoczyła na burza i... - Powiodła spojrzeniem po pobladłych twarzach i przełknęła ślinę. - Zapewne gniewa się pan na mnie, Gavinie O'Neil?

- Tak. Nie. - Wstał i chwycił ją za rękę. - Nie na ciebie, dziewczyno. Jest coś jeszcze. Coś poważniejszego. - Spojrzał na syna. - Rory, musimy porozmawiać. W cztery oczy.

Anna Claire przenosiła wzrok z jednego na drugiego.

- Jeżeli rzecz dotyczy mojej osoby, to chciałabym uczestniczyć w rozmowie.

Gavin spojrzał na syna, a widząc, że i on jest tego zdania, westchnął i rzekł:

- Byłem dziś rano wraz z Conorem w wiosce. Usłyszeliśmy niepokojące wieści.

Rory zmrużył oczy.

- Czy chodzi o angielskich żołnierzy?

Gavin przytaknął.

- Przechesują okolicę, szukając ciebie i dziewczyny.

Rory sapnął.

- Przywiodłem ich pod same drzwi rodzinnego domu.

Gavin dotknął jego ramienia.

- Nie mów tak. Nie miałeś wyboru, synu. Twój dom to twoje jedyne schronienie.

Rory zaczął chodzić niespokojnie po obszernej komnacie.

- Znalazłbym mnóstwo innych miejsc. Ale ja musiałem powziąć tę głupią myśl o przyjeździe tutaj.

Moira uniosła się z krzesła.

- Głupia? Naprawdę tak sądzisz? Ballinarin jest prawdziwą fortecą. Nie zdobędą jej.

Rory niecierpliwie machnął ręką.

- Czy nie rozumiecie, że porwałem córkę lorda Jamesa Thompsona? Wykrwawia się, a nie odejdą bez niej.

- Jeżeli zdecydują się na szturm, to są głupcami - zauważył Conor. - Wielu bowiem zginie.

Rory kiwnął głową.

- Ale nie wszyscy. Poślą po posiłki. Będą nas oblegać, aż do skutku.

Annie Claire udzielił się niepokój całej rodziny O'Neilów.

- Więc dlaczego nie oddać im tego, czego poszukują?

Na twarzach wszystkich odmalowało się zaskoczenie.

Pierwsza odezwała się Moira:

- Czy wiesz, o czym mówisz, dziewczyno?

- Jak najbardziej. - Anna Claire uniosła rękę na znak, by jej nie przerywano. - Powiem im, że uciekłam z niewoli u twojego syna, pani. Ucieszą się, że mają mnie całą i zdrową, i zapomną o Rorym.

Moira bacznie przyglądała się gościwi. Jej serce krwawiło. Właśnie czegoś takiego się spodziewała. Ta kobieta robi to z miłości do Rory'ego. Trudność tkwiła w tym, że ów miłosny związek tworzyły dwie osoby.

Rory rzekł głosem drżącym z przejęcia:

- Nigdy o mnie nie zapomną. Nie zapomną o Czarnym O'Neilu. O irlandzkim dzikusie, który w wielu potyczkach okazał się od nich lepszy. Który ich upokorzył. Który zrobił z nich głupców. Który naraził ich na niełaskę królowej. Będą mnie tropić, aż wykrają mi serce i obetną głowę. A potem zawiozą tę głowę do Londynu i nabiją na pal u wrót Tower.

Anna Claire zakryła dłońmi uszy.

- Przestań, Rory. Dość tych okropieństw.

- Ale taka właśnie jest prawda. - Dосkoczył do niej, chwycił za ramiona i potrząsnął. - Tylko pomyśl. Jeśli powrócisz do nich, będzie to piękny gest, ale nie zatrzyma biegu wydarzeń. Bo nie tylko ciebie szukają. Szukają również mnie. Czy rozumiesz?

Zapadła cisza. Oczy Anny Claire zaszyły łzami. Wszyscy mieli poczucie, że za chwilę stanie się coś strasznego.

Drzwi otworzyły się i oznajmiono, że obiad czeka na stole. Moira podeszła do Anny Claire.

- Porozmawiamy o tym wieczorem. Wróg jeszcze nie dotarł do murów twierdzy. Dzisiaj możemy się jeszcze śmiać.

I już powinniśmy zacząć się modlić, dodała w myślach, kładąc dłoń na ramieniu męża. Opuścili bibliotekę i udali się do sali biesiadnej.

- Oto nocna koszula, panienko. - Velia, wyczuwając napiętą atmosferę w domu, tym razem starała się jak najmniej mówić.

Anna Claire przebrała się i leciutko ziewnęła.

- Jesteś wolna, Velia.

- Powinam jeszcze wyszczotkować włosy panience. Inaczej jutro rano będą nie do rozczesania.

Anna Claire westchnęła i usiadła na krześle przed lustrem. Velia od razu zajęła się jej włosami.

Szczotkowała z wprawą i widoczną przyjemnością.

Odłożyła szczotkę.

- Teraz już mogę sobie pójść. Życzę pięknych snów.

- Dziękuję, Velia. - Zdobyła się na uśmiech. - Dobranoc.

Kiedy została sama, w pośpiechu ściągnęła nocną koszulę i nałożyła suknię. Tym razem była to jej własna suknia - zaczerowana, wyprana i wyprasowana.

Starannie obmyśliła swój plan. Tej nocy, kiedy wszyscy zasną, wymknie się z domu, wsiądzie na konia i pogalopuje do wioski. Według ostatnich wieści, byli w niej już angielscy żołnierze. Przekona ich, że uciekła od Rory'ego i że ich obowiązkiem jest zawieźć ją natychmiast do Dublina. Bądź co bądź, jest córką lorda Jamesa Thompsona. Nie ośmiela się postąpić wbrew jej życzeniu. Szczególnie jeśli przywoła imię królowej.

Będzie musiała kłamać jak z nut. Wmówi im, że schwywanie Czarnego O'Neila jest niczym w porównaniu z zapewnieniem jej bezpieczeństwa. A jeśli nawet wrócą tu po niego, to da O'Neilom dość czasu, by dobrze przygotowali się do obrony.

Właśnie nakładała płaszcz, gdy na korytarzu dały się słyszeć kroki. W panice wskoczyła do łóżka i naciągnęła kołdrę aż po brodę.

Drzwi skrzypnęły i stanął w nich Rory. Po chwili był już na środku pokoju. Spoglądał na nią w jakiś szczególny sposób. Zaszło jej w gardle. Czyżby domyślał się jej zamiarów?

- Czy coś się stało, Rory?

Odniosła wrażenie, że trudno mu się oderwać od czarnych myśli.

- Chciałem tylko popatrzeć na ciebie. Jesteś taka piękna.  
- Podszedł i zatrzymał się tuż przy łóżku.

Ogarnął ją strach. Czyżby już zorientował się, że coś jest nie tak? Czyżby słyszał jej przyspieszony oddech? Albo bicie serca? Wielkie nieba. Co będzie, jeśli zechce spędzić z nią również tę noc? Musi czym prędzej odwieść go od tego zamiaru.

Ziewnęła jak ktoś, kto nie spał dwie noce.

- Wybacz mi, Rory, ale gonię resztkami sił. Powieki ciąży mi, jakby były z ołowiu. To skutek dzisiejszych przeżyć.

- Rozumiem, kochana. Mnie też nęci łóżko.

*Poczuła dzieciinną radość. Napięcie zaczęło ustępować.*

- A więc dobranoc, Rory. Do jutra.

Pochylił się i musnął ustami jej czoło.

- Dobranoc, moja miłości. Cieszy mnie, że dzisiaj moi najbliżsi życzliwiej cię traktowali. Nadzieja na to, że staniesz się im bliska, uczyni ciężar lżejszym.

Nagle wlał się do jej serca wielki niepokój. Chwyciła go za ramię.

- O czym ty mówisz? Co to za ciężar? Co ty planujesz, Rory?

Spojrzał i zobaczył rękaw jej sukni. Chwycił za kołdrę i odsłonił resztę.

- Powinienem zapytać dokładnie o to samo.

Zmartwiała. Próbowwała coś powiedzieć, ale wargi odmawiały jej posłuszeństwa.

- Zamierzałaś się wymknąć i dołączyć do angielskich żołnierzy? Aby odwrócić ode mnie ich uwagę? Czy tak?

Patrzyła w milczeniu.

- Och, ty niemądra dziewczyno. Czy wiesz, co to są za ludzie? Od lat znają tylko życie obozowe. Zaprawieni w zabijaniu i gwałtach, utracili poczucie człowieczeństwa. Dla nich liczą się tylko najprostsze uciechy.

- Pozwól, że ci przypomnę, iż jestem córką lorda Jamesa Thompsona.

- Dla nich będziesz tylko samotną i bezbronną kobietą. Postąpią z tobą dokładnie w taki sam sposób, w jaki postępują z irlandzkimi niewiastami, obojętnie, starymi lub młodymi.

Usiadła na łóżku.

- Nigdy by się nie ośmielili. Powiedziałybym ojcu, on zaś samej królowej.

W innych okolicznościach ta naiwna odpowiedź rozbawiłaby go do łez. Ale teraz musiał uświadomić jej powagę sytuacji.

- Martwi nie mówią, Anno Claire. Twemu ojcu pokażą twoje sprofanowane ciało jako dowód kolejnego bestialstwa Czarnego O'Neila. Jak sądzisz, komu dadzą wiarę twój ojciec i angielska królowa? Baniec i buntownikowi czy lojalnym angielskim żołnierzom?

Nie mogła nie przyznać mu racji. A jednak nadal próbowała go przekonać.

- To moja wina, że żołnierze są tak blisko twierdzy. Jeśli dostaną to, czego chcą, zostawią twoją rodzinę w spokoju.

- Wyjęłaś mi to z ust. - Widząc zaskoczenie na jej twarzy, ściszył głos: - I dlatego muszę iść. Pobawię się z nimi w kotka i myszkę. Dam się schwytać w połowie drogi między Ballinarin a Dublinem.



Chciała zerwać się z łóżka, lecz nie pozwolił jej na to. W jednej chwili uświadomiła sobie swoją ślepotę. Był ubrany do konnej jazdy, a ona dotychczas tego nie dostrzegła. Serce skoczyło jej do gardła. Przyszedł tu, by się pożegnać.

- Dasz się schwytać? O czym ty w ogóle mówisz, Rory?

- Posłuchaj mnie, kochana. Stosunek moich rodziców i rodzeństwa do ciebie uległ dziś pewnej zmianie. Jakby pogodzili się z faktem, że jesteś moją jedyną. Wkrótce dojrzą i docenią twoją dobroć i szlachetność. Pokochają cię niczym siostrę i córkę. Nawet Innis już nie sroży się na twój widok. Jako zupełnie jeszcze małe dziecko był świadkiem czegoś, co okryło mrokiem jego duszę. Przez dwa lata milczał jak zaklęty. Kiedy pozna cię bliżej, otworzy się dla ciebie niczym kwiat pieszczony promieniami słońca. Ten chłopiec potrzebuje kogoś takiego jak ty.

- A kogo, jak sądzisz, potrzebuję ja? - spytała drżącym głosem.

Potrząsnął głową.

- Żadnych obietnic, kochana. Wiem, że nie mam do nich prawa. Teraz moim obowiązkiem jest odciągnąć stąd angielskich żołnierzy. Gdy w końcu mnie schwytają, powiem im, że nie żyjesz.

- W ten sposób sam siebie skarzesz na okrutną śmierć.

Nakrył dłonią jej usta. Och, jakże pragnął spędzić z nią jeszcze tę jedną, jedyną noc. Próżne marzenia.

- Zawsze wiedziałem, że nie ominie mnie szubienica. Jednak człowieka można powiesić tylko raz.

- Nigdy na to nie pozwolę. - Odepchnęła go i wyskoczyła z łóżka. - Będę krzyczała. Zbudzę cały dom. Twój ojciec powstrzyma cię. Twój brat...

Nie miał wyboru. Porwaną ze stołu serwetą zatkał jej usta. Nogi i ręce związał szarfą sukni. Rzuciła się niczym wyjęta z wody ryba. Położył ją na łóżku i nakrył kołdrą po samą brodę.

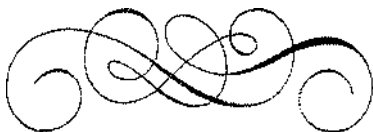
- Ufam, że z czasem mi wybaczysz, Anno Claire. Kocham cię. Nigdy nie sądziłem, że będę jeszcze zdolny do takiej miłości. - Pocałował ją w czoło. - Jak mogę obawiać się śmierci, skoro kocham cię ponad życie?

Wyszedł z sypialni, nie obejrzawszy się za siebie. Mogłoby to bowiem skrwawić mu serce i wyzbyć wszelkiej woli działania.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Anna Claire zapłakała. Łzy ciekły strumieniami po jej policzkach.

Nie mogła nic zrobić. Nie mogła powstrzymać koła przeznaczenia. Była bezradna niczym jagnię pędzone do rzeźni.

Ale to nie ją miano zabić. Miano zabić Rory'ego. Czuła, że od tej myśli oszaleje.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Innisa znów dręczył koszmar. Zawsze widział to samo. Jechał drogą wijącą się wśród pól wraz ze swą rodziną. Ubrani byli w odświętne szaty. Przed nimi wznosił się malowany słonecznym światłem wierzchołek Croagh Patrick. Dzień rozpoczął się od przelotnego deszczyku. Potem ciemne chmury przepędziła poranna bryza. Teraz niebo upstrzone było tylko nielicznymi chmurkami. Idealna pogoda na ślub. Tak powtarzał jego ojciec.

Jego ciotkę Caitlin, najmłodszą siostrę ojca, otaczała uśmiechająca się radośnie rodzina. Spieszyli ku Ballinarin, do siedziby jej przyszłego męża. Niektórzy jechali konno, inni na wozach i w powozach. Reszta szła. Ktoś śpiewał wysokim, lirycznym głosem. Słowa piosenki ulatywały ku niebu. Radosne głosy i krzyki dzieci zagłuszyły tętent zbliżających się jeźdźców. Wtem ktoś krzyknął. Tłum zatrzymał się i wszyscy spojrzeli za siebie. Zanim ktokolwiek zrozumiał, co się dzieje, rozpoczęła się rzeź.

Żołnierze okrążyli ich i zaczęli rąbać mieczami. Ofiary nie mogły wyrwać się z tego śmiertelnego kręgu i szukać ratunku w pobliskim lesie. Najpierw zaatakowano mężczyzn i chłopców, by pozbawić kobiety i dzieci wszelkiej ochrony.

Na oczach Innisa rozgrywały się straszne sceny. Jego oj-

ciec, zaatakowany, błyskawicznie wyciągnął miecz z pochwy. Zamachnął się i zwałił jeźdźca z konia, ale zanim zdążył go dobić, z boku napał nań inny Anglik. Wytrącił mu miecz z ręki i przeszył ostrzem na wylot.

Ojciec, padając, przygniół Innisa swym ciałem,  
- Nie ruszaj się, synku - zdążył jeszcze wyszeptać. - Jeśli uznają, chłopcze, że nie żyjesz, będziesz ocalony.

To były ostatnie słowa, jakie Innis usłyszał z ust ojca. Od tamtego strasznego dnia brzmiały mu one w duszy nieprzerwanie. Leżał więc przygnieciony do ziemi, prawie niewidoczny, i słuchał krzyków gwałconych i mordowanych kobiet i dziewczyn. Najgorsze żołdacy zostawili dla jego pięknej matki i uroczej panny młodej, Caitlin. A on musiał się temu beczynnemu przyglądać.

Obudził go jego własny krzyk.

Usiadł i zacisnął pięści. Nienawidził nocy. Nienawidził snów. Nienawidził tego uczucia beziły.

Gdzieś w głębi domu rozlegało się jakby walenie. Wstał z łóżka, by zbadać źródło i przyczynę tajemniczego dźwięku. Nie czuł najmniejszego strachu. Po tym, czego był świadkiem przed dwoma laty, nic już nie mogło go przerazić. Z wyjątkiem tych nocnych koszmarów.

Wziął zapaloną świeczkę i wyszedł z pokoju. Ruszył wolnym krokiem długim korytarzem. Przy drzwiach Anny Claire zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Znowu to walenie. Tym razem wyraźniejsze. Zapukał, a potem przyłożył ucho do drzwi. To, co usłyszał, zmusiło go do natychmiastowego działania.

Anna Claire leżała na podłodze, związana pasami materiału oddartymi z prześcieradła. Waliła stopami o ścianę.

Podbiegł do niej i przyświecił sobie świecą. Najpierw wyjął jej knebel z ust, a dopiero w następnej kolejności zaczął poluzowywać więzy.

- Kto ci to zrobił? - zapytał.

Była wściekła. Przypominała parsającego kota wyjętego z wody. Coś mówiła, ale on, Innis, nie mógł doszukać się sensu w jej słowach.

- Rory O'Neil, cholerny, władczy... Ale złapię go i wówczas zapłaci mi za to. Dlatego, Innis, musisz dać mi konia i jakąś broń.

- Hm... broń?

- Tak. Bo zanim wyrównam z nim rachunki, muszę ocalić to jego nędzne, żałosne życie.

Anna Claire nie namyślała się ani chwili. Nie było czasu do stracenia. Rory pędził prosto ku kłęsce.

Zarzuciła na siebie płaszcz podróżny i zbiegła szybko po schodach. Wypadła na dziedziniec.

Przy stajniach, tak jak obiecał, czekał Innis. Już z daleka widziała, że trzyma za cugle dwa konie.

- A ty co znowu planujesz? - zapytała ostro.

- Jadę z tobą, Angielko. - Przytrzymał jej strzemień, a potem wskoczył na drugiego konia.

- Ani mi się waź. - Chwyliła wodze jego konia. - Schodź natychmiast. Nie pojedziesz ze mną. To zbyt niebezpieczne.

- A jak zamierzasz mnie powstrzymać? Będę po prostu jechał za tobą.

- Och, Innis. - Szarpnęła gwałtownie wodzami, licząc na to, że chłopiec zrozumie powagę sytuacji. - Daj mi swój nóż i wracaj do łóżka.

- A po co ci mój nóż?  
- Przecież muszę mieć coś do obrony.  
- Ja też mógłbym się przydać. Jeśli napadną cię gromada, to postaram się ściągnąć na siebie uwagę choć kilku. - Chwyć ją za ramię, zmuszając, by spojrzała na niego. - Potrzebujesz mnie, Angielko. Nie pozwolę ci jechać samej.

Ot, znalazł się opiekun. Poza tym wiedziała, że gdyby chłopcu stała się jakaś krzywda, nigdy nie zostałoby jej to wybaczone. Ale nie było czasu do stracenia. Musiała powstrzymać Rory'ego, zanim ten spali za sobą wszystkie mosty.

- Dobrze, Innis. Jedziemy razem. I niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Uderzyła konia piętami i pomknęła jak strzała. Chłopak pognał za nią. Wypadli na srebrzącą się w świetle księżycy drogę prowadzącą do wioski.

Rory czaił się w głębokim cieniu i obserwował dwóch żołnierzy pijących na przemian z jednego dzbana. Z dużego domostwa dochodziły męskie głosy i dość częste wybuchy ochrypłego śmiechu.

Wreszcie ruszył. Przemknął niepostrzeżenie obok raczących się piwem strażników, wspiał się bezszelestnie po łączonych w zrab bierwionach i przez otwarte okno wskoczył do narożnej izby. Stamtąd wypadł na korytarz, puścił się nim i dotarł do głównej izby gospody.

Twarz miał ocienioną kapturem brązowego habitu ojca Malone. Przeliczył siedzących przy stołach żołnierzy. Było ich dwunastu. Oznaczało to, że tylu mniej więcej musiało być także gdzieś we wsi. Możliwe, że uganiali się za dziewczkami albo spali.

- Bracie, czy życzysz sobie piwa?

Roty skinął głową i wziął kufel z rąk dorodnej dziewczyny obsługującej gości. Pijąc, studiował twarze żołnierzy. Dojrzawszy postać z żółtymi włosami, znieruchomiał, jakby tknięty paraliżem.

Cały jego do najdrobniejszych szczegółów opracowany plan wziął w łeb. Założył sobie, że najpierw będzie śledził Tildena, a zaatakuje go dopiero wtedy, kiedy ten opuści wioskę i dotrze do lasu. Nagle jednak ogarnął go płomień wściekłej furii, rozniecony wspomnieniem zakrwawionego, zbezczeszczonego ciała Caitlin.

Nie spodziewał się tego. Po tych wszystkich długich miesiącach, awanturach, bitwach, fizycznych i duchowych cierpieniach, jego cel był w zasięgu ręki. To burzyło wszystkie jego zamysły. Jeśli rzeczywiście był to Tilden, nie mógł stąd odejść. On, Rory, nie będzie więcej bawił się w pościgi. Nadal jednak spokojnie sączył piwo. Czekał na moment, kiedy mężczyzna o żółtych włosach odwróci ku niemu twarz. Chciał mieć absolutną pewność. Bał się popełnić ten sam błąd co kiedyś, kiedy to zabił niewinnego żołnierza w przekonaniu, że dopełnia swej zemsty.

Grono mężczyzn wybuchło śmiechem. Żółtowołosy oficer odwrócił się. Rory wyraźnie dostrzegł szeroką bliznę, biegnącą od brody po brew.

Krew uderzyła mu do głowy. Dwa lata. Dwa lata wyrzeceń, bólu i tułaczki. Niewyobrażalnej tęsknoty za domem i rodziną. I nagle jego wróg sam się pojawił w pobliżu miejsca zbrodni. Ta wioska. Ta gospoda. Ten człowiek, który tylko z wyglądu przypomina ludzką istotę, a serce ma bestii.

Anna Claire i Innis zostawili konie na skraju wioski, po czym, bacząc, by nikt ich nie zauważył, skierowali się ku gospodarstwu.

Dotarłszy na miejsce, usłyszeli wybuch śmiechu.

- Angielscy żołdacy - powiedział chłopak.

- Skąd wiesz?

- O tej porze wieśniacy już śpią. Wstają o świcie, by nakarmić zwierzęta. - Rozejrzył się wokół. - Dziwne.

- Co takiego?

- Nie ma tu żadnych straży.

- I co w tym dziwnego?

- Nie zapominaj, Angielko, że ci żołnierze są na obcej ziemi. Nie mają żadnych powodów, by ufać ludziom z tej wioski. Chyba że...

- Że co? - spytała gorącym szeptem.

Ściągnął brwi i zamyślił się.

- Poczekaj tu - rzekł nagle.

Zanim zdążyła zapytać, co zamierza, kilkoma susami dopadł najbliższego drzewa. Ze zwinnością i szybkością wieiórki wspiął się na gruby boczny konar. Był teraz na poziomie górnego okna gospody, w którym, poruszane nocnym wiatrem, powiewały firanki.

Przez kilka chwil Anna Claire obserwowała go z dołu. Potem, przeklinając krępujące ruchy spódnicy i płaszcz, zaczęła wspinać się za nim.

Innis, który był już w izbie, miał właśnie otworzyć drzwi, gdy usłyszał szelest. Za nim stała Anna Claire.

- Powinnaś zostać na dole. Teraz musisz zaczekać tu na mnie i ani mru-mru.



- Nie będziesz mi niczego dyktował. Lepiej powiedz, co zamierzasz, Innis.

Wziął głęboki oddech.

- Dobrze. Myślę, że ktoś doniósł tym angielskim bandytom, że tej nocy przybędzie tu Czarny O'Neil. Z jakiego innego powodu nie wystawiliby straży?

- Zasadzka? Najświętsza Panienko! - Uniosła rękę do ust. - Idź zatem, Innis. Sprawdź, jak rzeczy stoją.

Z westchnieniem ni to ulgi, ni to irytacji nacisnął klamkę. Wyszedł na korytarz i ruszył na palcach.

Rory miał poczucie, że czas stanął w miejscu. Jego śmiertelny wróg był niemal na wyciągnięcie ręki. Powrócił dawny ból i dawna nienawiść. A obiekt tej nienawiści śmiał się i żłopał piwo.

Dłoń powędrowała do broni zawieszanej u boku. Na charakterystyczny zgrzyt wyciąganego z pochwy miecza żołnierze odwrócili głowy. Zapadła cisza jak makiem zasiał.

I nagle w tej ciszy błysk świadomości. Rory zrozumiał. Pojął, że wpadł w pułapkę. Włosy zjeżyły mu się na karku. Popełnił błąd. Wiedział to już. Czuł. Ostatecznie jednak zignorował to, co mu podpowiadał instynkt. Pozwolił się oślepić emocjom.

Ten, który stał tuż za nim, rzekł:

- Odłóż broń, O'Neil. Inaczej skonasz w tym plugawym miejscu.

Rory odwrócił się i ujrzał tuzin ostrzy skierowanych w swoją pierś.

- Miejsce nieważne, a śmierć prędzej czy później i tak po mnie przyjdzie - rzekł jakimś miękkim głosem. - Ale będę

przynajmniej miał tę satysfakcję, że wezmę ze sobą do piekła tego diabła w ludzkiej skórze.

Świadomy furii Rory'ego, Tilden złapał młodą dziewczynę służebną i zasłonił się nią jak tarczą. Przyłożył jej do gardła nóż i nacisnął. Pojawiła się kropla krwi.

- Rzuć broń, O'Neil, albo ta dziewczka zginie.

Dziewczyna jęknęła, a jej ojciec, właściciel gospody, padł na kolana i ze łzami w oczach zaczął błagać o darowanie życia córce.

Tak niewiele, pomyślał Rory, tak niewiele dzieli go od celu. Ale bez względu na to, jak bardzo pragnął Tildena, nie potrafił zmienić swojego sumienia. Nie wolno było mu przyłożyć ręki do śmierci tej niewinnej istoty.

Wypuścił miecz z ręki. W ciszy, jaka zaległa, słysząc było tylko uderzenie metalu o podłogę. Jeden z żołnierzy kopnął broń pod ścianę, by w ten sposób uniemożliwić Rory'emu jakąś być może planowaną sztuczkę.

- Zabić czarnego psa! - krzyknął ktoś i w tej samej chwili ostrza kilku mieczy dotknęły jego ciała. Jedno rozerwało mu ramię, inne ześlizgnęło się po żebrach. Jakby palono go żywym ogniem. Z tuzina ran trysnęła krew.

Zachwiał się i osunął na kolana. Ale zanim spadł nań ten jeden jedyny decydujący cios, zabrzmiał władczy głos Tildena:

- Zaczekajcie. Chcę mieć go żywym.

- Po co? - zapytał ostro jeden z żołnierzy.

- Rób, co mówię. Związać go i wsadzić na konia. - Tilden pchnął dziewczynę ku uchylonym drzwiom ciemnej izby. - Mam tu jeszcze coś do załatwienia. - Słyszając rechot kamratów, obrzucił ich groźnym spojrzeniem. - Ale nie powinno mi to zabrać wiele czasu. Te chłopskie dziewczki nie-

wiele się różnią od jałówek. Kiedy z nią skończę, ruszamy i pędzimy co koń wyskoczy do Dublina. Za trzy dni odpływa statek do Londynu. Chcę stanąć na jego pokładzie. Z Czarnym O'Neilem zakutym w łańcuchy.

Pewnym krokiem skierował się do ciemnej izby. Był w świetnym humorze. Wróci do kraju z Czarnym O'Neilem jako swym trofeum. Królowa z pewnością obsypie go dowodami wdzięczności. A lud ogłosi bohaterem.

- Zostaw mnie, puszczaj. - Anna Claire próbowała odepchnąć rękę, którą Innis zakrywał jej usta. - Czy nie widzisz? Muszę biec do niego. Muszę.

Chciała odsunąć chłopca, który zagradzał jej drogę. Ale pomimo młodego wieku i szczupłej budowy ciała Innis okazał się zadziwiająco silny.

- Nie, Angielko. Posłuchaj mnie. - Pchnął ją całą mocą ramion na ścianę. - Pokazać się im w tej chwili, to tak jakby wybrać pewną śmierć.

- Nie dbam o to. - Łzy cisnęły się jej do oczu. Wierchem dłoni starła je z policzka. - Czy widziałeś go? Cały pokłuty i pokrwawiony. Innis, muszę iść do niego.

- Pomyśl lepiej, Angielko, o ocaleniu mu życia - rzekł z sykiem znamionującym wściekłość. - A na pewno pokazywanie się tym zbrodniarzom nie jest właściwym sposobem. Gdy cię zobaczą, zrobią Rory'emu coś jeszcze gorszego. Będą znęcać się nad nim, torturować go, aż w końcu zabiją na twych oczach. Więc jak? Przekonałem cię?

- Skąd wiesz o takich rzeczach? - Chłopak przypominał jej w tej chwili Rory'ego. Ledwo mogła uwierzyć własnym oczom i uszom.

- Widziałem, co zrobili mojej matce. I innym. Trzeba nas więcej, by uratować Rory'ego. Na razie jest żywy, ale nie wolno nam zwlekać.

Ujął ją za rękę i pociągnął.

- Dokąd mnie prowadzisz?

- Musimy wracać do Ballinarin. Spróbujemy namówić wuja Gavina, by zwołał wszystkich dzierżawców i utworzył z nich armię.

Anna Claire była wdzięczna chłopcu za jego zdrowy rozsądek. Ale chociaż wiedziała, że słuszność jest po jego stronie, jej serce krwawiło na myśl o pozostawieniu Rory'ego w rękach tych okrutników.

Pograżona w rozpacz, łkając, wspięła się na konia, ujęła wodze i ruszyła za Innisem. Przez całą drogę powrotną miała przed oczyma zakrwawioną, poranioną postać ukochanego.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kiedy tak gnali przez pola i łąki, Anna Claire sama nie wiedziała, co uderzało mocniej - kopyta koni czy serce w jej piersi. Przepalał ją ból, który był gorszy od najbardziej żrącej trucizny. Musi go ocalić. Musi. I dlatego nie wolno jej było rozmyślać o tych wszystkich straszliwych cierpieniach, które on znosi w tej chwili. Gdyby pozwoliła działać swojej wyobraźni, załamałaby się pod brzemieniem rozpacz.

Oczywiście, w których nie było już łez, przyglądała się otulonym mrokiem nocy chatom. Zamieszkiwali je ludzie prości - wieśniacy, drobni dzierżawcy, handlarze. Od lat uginali się pod jarzmem nałożonym na nich przez butnych przybyszów zza morza. Nawet jeśli powstaną, by bronić potomka dawnych irlandzkich władców, to czy mają jakiekolwiek szanse zwycięstwa w bitwie z zaciętnym wojskiem angielskiej królowej?

Ach, Rory, pomyślała, przetrzymaj mękę, jaką ci zadają. Proszę, wytrzymaj. Znajdziemy jakiś sposób, by cię uratować.

Pędziła galopem, nisko pochylona nad szyją konia, zmuszając go do coraz szybszego biegu. Ziemia uciekała spod kopyt, wiatr świstał w uszach, aż wreszcie dotarli do zamku.

- Obudźcie gospodarzy! - krzyknęła Anna Claire do zaskoczonych gospodyni, kiedy wraz z Innisem wpadła do dużej sieni.

- Ależ, pani, oni są jeszcze w łóżkach.

- Powiedziałam, żeby ich obudzić, pani Finn. Niech natychmiast przyjdą do biblioteki. - Zrezygnowała z jakichkolwiek wyjaśnień. Nie było czasu do stracenia. Bezzwłocznie też wraz z Innisem ruszyła na miejsce spotkania.

Gavin i Moira przybyli pierwsi. Chociaż mieli na sobie ubrania, było oczywiste, że odziewali się w pośpiechu. Sądząc z ich min, wcale nie byli zachwyceni, że w ich własnym domu zostali zerwani z łóżek i wezwani jak jakies sługi.

- Oby ten alarm, Angielko, miał wystarczająco poważną przyczynę - mruknął Gavin, zarzucając sobie płaszcz na ramię i przysuwając się bliżej ognia.

Conor, w rozpiętym kubraku, z rozwianymi włosami, wpadł do pokoju tuż za Brianą.

Rozejrzał się wkoło.

- Gdzie Rory?

- On jest powodem, dla którego was tu zwołałam. - Skrzypnęły drzwi i Anna Claire spojrzała za siebie. Wchodził właśnie brat Malone. Jedyne on wyglądał, jakby był na nogach od wielu godzin. Bez wątpienia modlił się.

- Rory został schwytany tej nocy przez angielskich żołnierzy.

- A ty skąd o tym wiesz? - zapytał Gavin, nagle nieufny i podejrzliwy.

- Ponieważ stało się to na moich oczach.

Gospodarz spojrzał ostro.

- Co ty wygadujesz, kobieto? Opowiedz nam wszystko po kolei.

- Rory zaplanował sobie, że odciągnie angielskich żoł-

nierzy od Ballinarin i w ten sposób ocali tych, których kocha. Ale wpadł w pułapkę. Kiedy przybył do gospody, żołnierze już tam na niego czekali.

Oczy Briany stały się okrągłe jak u ptaka.

- Czy... zginął?

- Nie. - Słyszac to, cała rodzina wydała westchnienie ulgi. - Ale został ranny, być może poważnie. Zabrano go pod eskortą tuzina żołnierzy.

- Dokąd chcą go zawieźć? - zapytał Gavin.

- Tilden powiedział, że zabiera go do Anglii.

Conor chwycił ją mocno za ramię.

- Tilden? Ta bestia znowu się tu pojawiła?

- Tak. To on był przynętą w tej zasadzce.

Oczy Conora były pełne wściekłości.

- A jak to możliwe, że ty byłaś świadkiem tego wszystkiego? Skąd wiedziałaś, co planował Rory?

- Odwiedził mnie, gdy przygotowywałam się do opuszczenia tego miejsca.

- Chciałaś nas opuścić? -- Gavin zrobił krok w jej kierunku.

- Ja... postanowiłam udać się do wioski i oddać w ręce żołnierzy.

Teraz Gavin nawet już nie krył swej podejrzliwości.

- Lub raczej naprowadzić ich na Rory'ego?

- Nie. Chciałam, by jak najszybciej się stąd wynieśli. Lecz kiedy Rory usłyszał o moim planie, zaczął mnie przekonywać, że jego jest lepszy. Bezpieczniejszy. Kiedy próbowałam go powstrzymać, związał mnie, zakneblował i tak zostawił.

- Związał cię, a ty mimo wszystko zdołałaś jakimś cu-

dem znaleźć się w wiosce? - Było jasne, że Gavin O'Neil nie daje wiary jej słowom.

- To prawda - rzekł cichym głosem Innis. - Obudziłem się w środku nocy i usłyszałem jakiś dziwny hałas. Okazało się, że to ona szamoce się w więzach. Uwolniłem ją, ona zaś o wszystkim mi powiedziała. Wybierała się do wioski. Nalegałem i w końcu zgodziła się wziąć mnie ze sobą.

- Głupcy. Dwoje cholernych głupców. - Gavin zaczął niespokojnie chodzić po pokoju. - Wezwę przywódców klanów z każdej wioski. W ciągu kilku dni zgromadzę armię. Okrążymy i pobijemy Anglików.

Anna Claire potrząsnęła głową.

- Nawet dwa dni zwłoki przekreślą szanse Rory'ego. Do tego czasu już będzie w więzieniu.

- Do diabła. Niech piekło ich pochłonie. - Choć Gavin dyszał żądzą walki, musiał uznać słuszność tych argumentów. - Tak. Te wściekłe psy chcą paradować przed królową ze swą zdobyczą. - Odwrócił się ku młodszemu synowi. - Conor, gotuj się do drogi. Pojedziesz do Anglii i wygłosisz obronę Rory'ego w Sądzie Królewskim. Ja tymczasem roześlę wici.

- Tak, ojcze. - Conor poczuł wielką ulgę. Od razu odzyskał humor. To dobrze, iż powierzono mu jakieś zadanie. Wolał działać, niż myśleć o pojmanym bracie i jego cierpieniu.

Ruszył ku drzwiom, a Anna Claire za nim.

- Będę gotowa w ciągu godziny.

- A ty gdzie się wybierasz? - Od grzmiącego głosu Gavina zadźwięczały szyby w oknach.

- Do Anglii. Z Conorem.



- Nie, dziewczyno. Zostaniesz tutaj, tak jak życzył sobie tego Rory. To tego chciał. Zostaniesz w Ballinarin, gdzie będziesz bezpieczna. A my, do diaska, spełnimy jego życzenie.

- Możliwe, że tego chciał. Ale teraz potrzebuje czegoś innego.

- Najwyraźniej uważasz, iż to ty najlepiej wiesz, czego on potrzebuje? - Gavin zrobił pogardliwą minę.

- Owszem. Potrzebuje pomocy i wsparcia osoby, która jest obeznana z dworem. Kogoś zaprzyjaźnionego z ludźmi otaczającymi królową. Mogę przedstawić Conora tym, którzy mają wpływ na decyzje królowej. Bo chyba już zapomniałeś, panie, że jednym z nich jest mój ojciec.

Gavin uderzył pięścią w gzyms kominka.

- Twój ojciec jest cholernym Anglikiem. Czy naprawdę myślisz, że przejmie się losem wyjątego spod prawa irlandzkiego buntownika? - Jego głos był pełen niekłamanej rozpaczy.

- Nigdy jeszcze dotychczas nie odmówił mym prośbom. I cokolwiek o nim myślisz, panie, jest ojcem, który kocha swoje jedyne dziecko.

Dziedzic Ballinarin sprzeczałyby się tak bez końca. Widząc to, Moira dotknęła jego ramienia.

- Ona ma rację, Gavin. Rory potrzebuje wszelkiej pomocy. Nie wolno nam z nikogo rezygnować. Jeśli Anna Claire chce mu pomóc, to możemy być jej za to tylko wdzięczni.

Widząc, że został pokonany, Gavin obrzucił żonę spojrzeniem pełnym wściekłości. Ale cała jego złość zaraz znikła, gdyż dojrzał ból w jej oczach. Wziął w swoje ręce jej dłonie i niechętnie pokiwał głową.

- Dobrze, dziewczyno. Pojedziesz z Conorem.

Wszystkich teraz zaskoczył Innis:

- Ja również proszę o pozwolenie pojechania do Anglii.

- Do Anglii? - Briana wsparła się pod boki. - Opuściłbyś Ballinarin?

- Rory potrzebuje mnie. Co więcej, lady Anna Claire potrzebuje mnie także.

- Angielka? - Oczy Briany stały się dwa razy większe. - A po co jej ktoś taki jak ty?

- Gdybym nie pojechał z nią dziś w nocy, weszłaby do gospody w sam środek awantury. I pewnie rzuciłaby się na tego krwiożerczego psa Tildena.

Gavin spojrzał z szacunkiem na młodą kobietę.

- To ona jest taka porywcza, chłopcze?

- O tak. Kiedy zobaczyła Rory'ego ociekającego krwią, myślałem, że już po nas. Rwała się do walki. Z chęcią wydrapałaby oczy wszystkim tym żołdakom. - Innis odwrócił się, nie patrząc na Annę Claire. - Muszę jechać z nią albo zrobi znowu coś niezmiernie głupiego.

Głos Moiry drżał, dławiała się od łez:

- Nie, Gavin, nie pozwól mu nas opuszczać. Nie zniosłabym, gdybym jednego dnia straciła wszystkich moich chłopców.

Gavin pochylił się pod brzemieniem ponurych myśli. I jemu również było ciężko na sercu. Zgromadzona pod jednym dachem rodzina znów miała się rozproszyć. Znowu zostaną rozrzućeni po różnych zakątkach świata. Jeśli to było wszystko, co mógł zrobić, to przynajmniej zatrzyma w domu najmłodszego. Będzie tu bezpieczny, a i im, starym, przyniesie trochę radości.

- Zostaniesz w Ballinarin, chłopcze.
- To niesprawiedliwe. To również moja walka. Straciłem rodzinę. Wszystkich. Nie chcę stracić Rory'ego, a także... tej Angielki.

Głos Gavina stał się zimny jak stal:

- Chyba nie zrozumiałeś mnie, chłopcze. Zostaniesz z nami. My jesteśmy teraz twoją rodziną. I będziemy cię chronić.

Na te słowa Innis odwrócił się, przebiegł obok Anny Claire i Conora i popędził po schodach na górę.

- Pani Finn - Moira zwróciła się do gospodyni, która stała niedaleko drzwi, chlipiąc i brzegiem fartucha ocierając oczy - proszę zanieść chłopcu coś do jedzenia. I niech pani wyda dyspozycje, by w związku z wyjazdem Anny Claire i Conora przygotowano prowiant na drogę.

Gospodyni kiwnęła głową i odeszła.

Ojciec Malone przysłuchiwał się w milczeniu. Dostrzegł zasadniczą zmianę w stosunkach chłopca i Angielki. Najwyraźniej zbliżyli się do siebie i stali się sobie niezbędni.

Możliwe, że połączyła ich wspólna dola, bo oboje znaleźli się w Ballinarin za sprawą tego samego człowieka, o ile człowiekiem można było nazwać Tildena. Ale starzec podejrzewał, że przyczyną było coś bardziej skomplikowanego. W ciągu swego długiego życia w stanie duchownym ojciec Malone poznał tajemnice ludzkiej natury dostatecznie dobrze. Gdyby w takim razie miał się pokusić o zgadywanie, powiedziałyby, że chłopak miał głęboko zakorzenione poczucie winy, iż tamtego pamiętnego dnia nie zdołał uratować matki od przerażającej śmierci. Śmierci, której obraz wycisnął się na kształt pieczęci w jego umyśle. Może chłopak zo-

baczył w Annie Claire słabą i kruchą niewiastę, którą należy chronić przed okrucieństwem tego świata. A może po prostu w osobie Angielki ujrzał swoją matkę?

Duchowny potrząsnął głową. Miał nadzieję, że Innis nigdy nie zostanie zmuszony dowodzić swej odwagi. Bo jeśli tak, to mając tylko ten jeden cel przed oczyma, poświęci wszystko, łącznie ze swoim tak młodym życiem, by go osiągnąć.

- Szczęśliwej podróży - wyszeptała Moira i pocałowała Annę Claire w policzek.

- Niech Bóg będzie z wami. - Ojciec Malone zaintonował Pater noster i podniósł rękę w geście błogosławieństwa.

Anna Claire i Conor dosiedli koni. Wóz z bagażami i Velią, którą wyznaczono do usługiwania Annie Claire podczas tej długiej podróży, już odjechał.

Anna Claire rozejrzała się. Cała służba zebrała się na dziedzińcu. Było też trochę wieśniaków z okolicy.

- Nie widzę Innisa - zauważyła.

Briana puściła rękę brata i przysłoniła oczy.

- Ostatni raz widziałam go w jego pokoju. Miał strasznie ponurą minę.

- Chciałam się z nim pożegnać. I jeszcze raz podziękować za pomoc. Okazał się taki dzielny. Myślę, że nie przesadzę, mówiąc, że ocalił mi życie.

- A ja myślę - szepnęła Briana - że to, co robisz dla mojego brata, też świadczy o wielkiej odwadze. Kochasz go, prawda?

Anna Claire przytaknęła.

W oczach dziewczyny zabłyśły łzy. Odwróciła twarz.

Podeszła Moira, by przycisnąć dłoń Anny Claire do swego policzka. Spojrzała w górę, napotykając wzrok młodej kobiety.

- Chcę cię zapewnić o mojej wdzięczności.

- Nie mam wyboru. Muszę zrobić wszystko, by uratować Rory'ego.

- Teraz wiem, że kochasz go równie mocno jak ja. - Jej wargi drżały, ale starała się panować nad wzruszeniem. - Czy wierzysz, że mój syn powróci tu jeszcze?

Anna Claire kiwnęła głową. Tylko na to było ją stać w tej chwili.

- I jeszcze jedno - rzekła Moira, cofając się o krok. - Chcę, byś wiedziała, że nasz dom jest również twoim domem. - Trąciła łokciem męża. - Potwierdź moje słowa.

O'Neil odchrząknął.

- Angielko... - przełknął ślinę i zaczął od początku: - Anno Claire Thompson, będziemy czekać na ciebie jak na córkę. Powinnaś... - Urwał i poprawił się: - Jeśli uda ci się uwolnić naszego syna, wracaj tu do nas z nim, a my przyciśniemy cię do naszych wdzięcznych serc.

- Dziękuję. - To wszystko, co Anna Claire zdołała wyszeptać. Wzruszenie ścisnęło jej gardło.

- Jedźmy - powiedział Conor, zbierając wodze. - Mamy przed sobą długą podróż.

- Żegnajcie. Z Bogiem. - Chór głosów zagłuszył na chwilę stukot kopyt na bruku dziedzińca.

Anna Claire obejrzała się przez ramię, mając nadzieję zobaczyć w którymś z okien Innisa. Wszystkie były puste.

Ta siedziba przypominała w tej chwili zamek jakiegoś legendarnego księcia. Poprzez otulające ją mgły przebijało

słońce. Zapowiadał się piękny dzień. Ale nawet w słotę ten dziki i surowy kraj przemawiał do jej duszy. Podbił jej serce, podobnie jak mężczyzna, którego miała ratować przed śmiercią w męce i upokorzeniu.

Anna Claire, oparta o reling, obserwowała ład niknący w oddali. Tak zielony, jakby pokryty kożuchem mchu. I to dziwne światło tworzące nad nim jakby aureolę. Subtelność i delikatność barw. Wręcz nie dawało się tego opisać słowami. Falujące łąki z pasącymi się na nich stadami owiec. Ciosane piorunami głązy, niemi strażnicy dalekich wzgórz. Wyniosłe wieże zamków i skupiska krytych strzechą chałup. A w zatoce rybacy w swoich krótkich i szerokich łodziach, zarzucający sieci, podobnie jak ich ojcowie i dziadowie.

Przyłączył się do niej Conor.

- Smutno ci, że żegnasz się z tą ziemią? Żałujesz swojej decyzji?

Potrząsnęła głową.

- Nie mogłam zostać. Nie teraz, kiedy wiem, że Rory jest w więzieniu i że grozi mu topór. - Owinęła się szczelniej płaszczem, jako że wzmógł się wiatr. Zatrzepotały żagle. Statek, prując fale, płynął na wschód. - Nie potrafię znieść myśli, że możemy przybyć za późno.

- Zdażymy i uwolnimy go, Anno Claire - zapewnił ją Conor. Uniósł jej brodę i powtórzył: - Tak, uda się nam. Zginie albo wrócimy razem z nim do Irlandii.

Dotknął delikatnie jej chłodnego policzka.

- Teraz wreszcie wiem, dlaczego mój brat cię pokochał. Odwróciła się, by nie domyślił się jej bólu.

- To nie miłość, Conor. To raczej wdzięczność za to, że udzieliłam mu schronienia i zaopiekowałam się nim.

- Jeśli tak myślisz, to popełniasz wielki błąd. Widziałem, w jaki sposób Rory spogląda na ciebie. To, co dostrzegłem w jego oczach, to nie wdzięczność, lecz miłość. - Ponownie ujął ją pod brodę i uśmiechnął się. - Zresztą ty patrzysz na niego tak samo.

- Naprawdę?

- Tak. Nie zniósłbym myśli, że Rory zakochał się w kobiecie, która nie odwzajemnia jego uczuć. Zresztą to prawdziwy cud, że poczuł się zdolny do miłości. Tylko taka kobieta jak ty mogła wskrzesić w nim to, co, zdawało się, umarło już na zawsze.

Wspięła się na palce i musnęła wargami policzek Conora.

- Dziękuję, Conor. Ja nie płaczę, to tylko słony wiatr wy-ciska łzy z moich oczu.

Zbiegła pod pokład i zamknęła się w swojej kajucie. Bała się wszystkiego. Tego, że nie sprosta narzuconemu sobie zadaniu, i reakcji ojca na wieść, że przyjechała wyprosić łaskę i przebaczenie dla irlandzkiego buntownika.

Nagle usłyszała jakiś stłumiony hałas. Dochodził stąd, z kajuty. I jakby z wąskiej szary przy luku. Podeszła i, przeżegnawszy się, otworzyła drzwi. Pod wiszącymi ubraniami kuliła się jakaś postać.

Nie wierzyła własnym oczom.

- Innis, skąd się tu wzięłeś?

- Ukryłem się w twoim kufrze. Potem, gdy już został wniesiony na pokład... och, sama widzisz.

Patrzyła nań z wyrzutem.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co najlepszego zrobiłeś?

- Tak. Złamałem zakaz wuja O'Neila. Będzie wściekły.  
- Co do tego nie mam najmniejszej wątpliwości. Ale czy pomyślałeś o swojej przybranej matce? O jej łzach i lęku o ciebie?

- Zostawiłem dla Moiry kartkę z wiadomością. Wyjaśniłem, dokąd i dlaczego wyjeżdżam. Ukryłem, kartkę pod przescieradłem. Na pewno już ją odnalazła, ale nikt i nic nie zwróci mnie już z drogi. Ty też nie.

- A skąd ta pewność?

- Ponieważ nie każesz kapitanowi płynąć z powrotem do Dublina. Chodzi o czas, a tego czasu nie ma wiele. - Zaczął rozcierać sobie ścierpięte ręce i nogi. - O mało co nie udusiłem się w tej szafie. Ale to i tak nic w porównaniu z kufrem.

- Och, Innis - westchnęła. - I co ja mam teraz z tobą zrobić?

- Daj mi coś zjeść, Angielko. Burczy mi w brzuchu.

W porywie wzruszenia objęła go i przytuliła.

- A czy uświadamiasz sobie przynajmniej, że możemy nie wyjść z tego cało?

Wyprężył się jak struna.

- Tak, Angielko. Lecz jeśli już muszę umrzeć, to niech umrę godnie, jak mój ojciec i dziadek. I będę w dobrej kompanii, bo z Conorem i Rorym.

- Conor, o Boże. A cóż on powie i jak się zachowa, kiedy cię zobaczy?

- Zrobi mniej więcej to samo co ty. Conor mnie zrozumie. - Wskoczył na koję i wyjrzał przez luk. - Nigdy jeszcze nie byłem w Anglii. Czy bardzo różni się od Ballinarin?

Patrzyła na chłopca, który chciał przekonać innych, że jest już mężczyzną. Westchnęła i odparła:



- Sam się niebawem przekonasz. A teraz pójdziesz ze mną do Conora. Nawet bym się cieszyła, gdyby złoił ci skórę.

Innis zachichotał. Był więcej niż pewien, że tak się nie stanie. W ogóle czuł się bardzo dumny z siebie. Dokonał śmiałego czynu. Przeciwstawił się woli opiekuna i teraz płynął do obcego kraju. Czekająca go wielka przygoda. Musiał pomóc uratować tego, który chciał pomścić śmierć jego rodziców, sióstr i braci.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Anna Claire i Conor szli przodem, Velia zaś z Innisem dwa kroki za nimi. Wokół nich tętnił życiem londyński port.

Dziewczyna i chłopiec wybałuszali oczy na widok różnych dziwów i cudowności. Właśnie mijali klatki z egzotycznymi zwierzętami. Ruchliwe, skoczne małpy gadały coś do siebie ku uciesze gapiów. Pręgowany tygrys, pomrukując groźnie, chodził niespokojnie tam i z powrotem, podczas gdy jego dozorczy przypatrywali mu się z bezpiecznej odległości. Dalej stały kosze z tropikalnymi owocami i leżały worki z herbatą. Przybyszów z Irlandii najbardziej jednak ciekawili ludzie. Tam oto widać było ciemnoskórych mężczyzn w turbanach na głowach i niewiasty o migdałowych oczach, odziane w lśniące powłóczyste szaty niczym czarodziejki. Żebracy błagali o datek, a marynarze śpiewali sprośne piosenki. We wspaniałych powozach siedziały piękne damy, osłaniając mleczone twarze parasolkami przed słońcem. Dżentelmeni imponowali dumną postawą i śmiałością spojrzeń; wielu z nich wróciło dopiero co z dalekich podróży do Indii, Francji czy Hiszpanii. Kupcy krzykliwie zachwalali swoje towary. Tam wrzała bójka, tu zaś dobijano targu.

Anna Claire wdzięczna była Conorowi, że wiedzie ją tak pewnie wśród tego chaosu. Było jasne, że ta podróż to dla

niego nie pierwszozna. Pamiętał o wszystkim. Najął karete i kazał woźnicy załadować bagaże.

Wsiedli i zajęli miejsca. Ruszyli.

- Jesteś pewna - rzekł Conor po chwili - że twój ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu, by dzielić dom z członkami rodu O'Neilów?

- Nie potrafię przewidzieć jego reakcji. - Uśmiechnęła się. - Mogę jednak powiedzieć przynajmniej to, że powita was równie ciepło jak Gavin O'Neil powitał mnie, kiedy się dowiedział, że w połowie jestem Angielką.

Conor skrzywił się.

- Przywykliśmy do choleryczności i wybuchowości ojca, tak jak przywykliśmy do wiatrów nawiedzających o każdej porze roku Croagh Patrick. Rozumiem jednak, że dla kogoś wychowanego w bardziej kulturalnej atmosferze musiał to być dość przykry wstrząs.

Anna Claire spojrzała na chłopca, który oglądał miasto przez okno karety.

- I jak ci się podoba Londyn, Innis?

- Tylu tu dziwnych ludzi. I każdy gdzieś się śpieszy.

Anna Claire opadła na oparcie siedzenia. Czuła się zmęczona podróżą.

- Po tych wszystkich miesiącach spędzonych w Dublinie zapomniałam już, jak szalony jest rytm życia tutaj.

Kierowali się ku centrum miasta. Wiodły ich tam szerokie i utwardzone ulice.

- Tutaj zgromadzili się krawcy, tam zaś rzeźnicy i piekarze - wyjaśniała Anna Claire, pokazując ręką na sklepy, sklepiki i kramy. Jakby dla potwierdzenia tych słów dotarł do ich nozdry zapach świeżego chleba.

W parku nad stawami dzieci bawiły się pod czujną opieką matek i nianie. Wiosenne słońce dodawało tej scenie koloru i wesołości.

Skręcili w szeroką aleję obrzeżoną żywopłotami.

- Oto londyńska posiadłość mojego ojca - oznajmiła wreszcie Anna Claire.

Elegancki dom o białych ścianach miał dwa piętra, duże okna i płaski dach. Obok widać było powozownię i pawilon dozorczy.

Gdy zajechali przed frontowe drzwi, wybiegła przez nie niewiasta, której ubiór wskazywał, że jest tu gospodynią. Gdy rozpoznała Annę Claire, twarz jej rozjaśnił uśmiech.

- Ależ to panienka we własnej osobie. Co za niespodzianka. Gdybyśmy dostali wiadomość o przyjeździe panienki, upiekłabym ciasto. A tak...

- Wiem, wiem, Wilona. Niestety, nie miałam czasu na wysyłanie listu. Czy ojciec w domu?

- Jest u królowej w Greenwich Palace.

- A więc królowa przebywa w Londynie?

- Tak, panienko. Odkąd wróciła, pan wraca do domu, jeżeli w ogóle wraca, o bardzo późnych porach, całe dni spędzając przy boku monarchini.

Anna Claire westchnęła z rezygnacją. Miała nadzieję na dłuższą rozmowę z ojcem, podczas której opowiedziałaby mu wszystko, co wydarzyło się od dnia jego wyjazdu do Anglii, i poprosiłaby go o radę w sprawie Rory'ego. W tej jednak sytuacji wydawało się, że ona i Conor skazani są tylko na swoją intuicję.

- Wilona, poznaj Velię. Zaprowadź ją do mojej sypialni.

Ja tymczasem wraz z przyjaciółmi przejdę do salonu. Niech podadzą nam coś do picia i jedzenia.

W odróżnieniu od pomieszczeń w Ballinarin, raczej ciemnych i nieprzytulnych, salon okazał się jasnym i przestronnym pokojem. W szerokich, uchylonych oknach powiewały firanki w ciepłym, brzoskwińowym kolorze, posadzka zaś lśniła bielą szlachetnego marmuru. Ściany udekorowane były draperiami, arrasami i obrazami. Na kominku, mimo iż dzień był ciepły, płonął niewielki ogień. Meble wyszły z warsztatu prawdziwego mistrza - szczególnie zachwycały inkrustacje blatu stołu i komody.

- To tutaj mieszkasz? - spytał Innis, siadając ciężko na krześle.

Anna Claire potwierdziła.

- Czasami. - Ze wzruszeniem spoglądała na drobiazgi, które przypominały jej dzieciństwo. - Mamy jeszcze posiadłość w Berkshire i inną w Surrey.

Conor podszedł do okna. Wydawał się niespokojny.

- Dlaczego mając tyle domów tutaj, przeprowadziłaś się do Dublinu?

- Bo takie było życzenie mojej matki. Miała świadomość, że umiera, i chciała dokończyć życia w swojej ojczyźnie. Wtedy tego nie rozumiałam. Ale teraz wiem, że Irlandia była jej miłością. Podobnie jak dzisiaj jest moja.

Conor i Innis przyjęli te słowa z widocznym zadowoleniem. Oni też kochali swoją zieloną wyspę i już zaczęli za nią tęsknić.

Weszła Wilona ze srebrną tacą. Rozlała do filiżanek herbatę i zdjęła z półmiska pokrywę, odsłaniając cienko pokrajane plastry wołowiny i sera.

Innis nie miał apetytu. Był bardzo zmęczony. Anna Claire poleciła gospodyni zaprowadzić go na górę. Niech prześpi się kilka godzin, a potem zje kolację razem z Velią.

Chłopak był już w drzwiach, gdy nagle odwrócił się i podbiegł do Anny Claire.

Chwycił ją za rękę.

- Czy gdy będzie już po wszystkim, wrócisz do Ballinarin razem z Rorym? - spytał z nutką niepokoju w głosie.

- To moje największe marzenie, Innis.

- Moje również. Od dawna pragnę, by Rory został moim ojcem. A teraz chcę, byś ty została moją matką. Czy zgodzisz się?

- Och, kochany chłopcze. - Objęła go i uściskała. - Mieć takiego syna jak ty to szczęście dla matki.

Spoglądał na nią z wielką uwagą, ona zaś była głęboko wzruszona. Widziała przez łzy, jak odchodzi wraz z Wiloną. Stało się coś niesłychanie ważnego. Doświadczyła daru synowskiej miłości, zanim jeszcze rozbudził się w niej instynkt macierzyński.

Wzięła się w garść i spytała Conora:

- Masz jakiś plan?

On również wydawał się wzruszony.

- Musimy wystarać się o audiencję u królowej. Myślę, że można by to załatwić przez twojego ojca. Ale najpierw muszę znaleźć sposób zobaczenia się z Rorym. Chciałbym naocznie się przekonać, że jest... - Głos mu się załamał. Słyszał straszne historie o traktowaniu więźniów, szczególnie tych ogłoszonych buntownikami i wrogami królowej.

Anna Claire domyśliła się słów, które nie padły. Serce

ścisnęło się jej z bólu, ale to nie był czas na załamywanie rąk. To był czas na działanie.

Wstała i ruszyła ku drzwiom.

- Znajdziemy sposób, żeby się z nim zobaczyć. Najprostszy to przekupić dozorcę.

Conor podbiegł i zatrzymał ją.

- Spokojnie, moja pani. Co nagle, to po diable. Więzienie to nie miejsce dla dam. Zostaniesz tutaj z Velią i Innisem.

- Mylisz się, Conor. Co zaczęłam, to dokończę. Nie mdleję na widok ludzkiego cierpienia. Poza tym znam Londyn. Potrzebujesz mnie. Więcej zdziałamy, łącząc swoje siły.

Chwilę przyglądał się jej, po czym roześmiał się serdecznie.

- Teraz już wiem, co mój brat musiał znieść. Dobrze. Pójdziemy razem. Ale uprzedzam cię. Przeżyjesz wstrząs na widok tego przeklętego miejsca.

To było coś więcej niż wstrząs. Nad wszelkimi uczuciami wzięło górę przerażenie. Ze skurczonym żołądkiem i ściśniętym gardłem schodziła wraz z Conorem po oślizgłych kamiennych schodach do lochów, które wydawały się czeluścią piekielną.

Korytarze i cele tonęły w ciemnościach, rozświetlonych tu i ówdzie płomieniami maźnic. W ciężkim nieruchomym powietrzu roznosił się smród rozkładu, potu i fekaliów. Cele były przepełnione i wszędzie dźwięczały łańcuchy. Ktoś jęczał, ktoś błagał o litość, ktoś majaczył w gorączce. Pierwsza myśl, jaka nasuwała się w tym miejscu, była taka, że Bóg wcale nie jest litościwy.

Znaleźli się tu dzięki nabitej złotem sakiewce, którą Conor

wręczył nadzorcy. Obiecał taką samą, jeśli wszystko się powiedzie i nie będzie żadnych kłopotów.

Stanęli przed ciężkimi drzwiami z otworem zabezpieczonym kratą. Strażnik wręczył Conorowi dymiącą pochodnię, po czym odszedł w głąb korytarza.

Conor zbliżył się i zajrzał do środka. Ujrzał postać leżącą na zimnej kamiennej posadzce. To był Rory.

- Dobry Boże. - Brat mógł być martwy. - Rory, odezwij się.

Więzień uniósł głowę i jęknął. Conor i Anna Claire wymienili spojrzenia. Pomimo potworności całej tej sytuacji w ich oczach zajaśniała nadzieja.

- A więc żyjesz, bracie - powiedział Conor podniesionym głosem.

Więzień mrugał. Raziło go światło pochodni. Przesłonił oczy dłonią.

- Jeszcze nie umarłem. Czy to ty, Conor?

- Tak.

- A ja jestem z nim, Rory, ukochany.

Na dźwięk głosu Anny Claire więzień dźwignął się na kolana i obrócił plecami do drzwi.

- Na miłość boską, Conor, zabierz ją stąd.

Zacisnęła dłonie na prętach kraty.

- Rory, nie mów tak. Przybyliśmy tu, by uzyskać ułaskawienie. Czeką nas audiencja u królowej. Należy wierzyć...

- Traciecie tylko czas - przerwał jej brutalnie. - Ja już pożegnałem się z życiem. Tilden powiedział, że tylko martwy będę mógł opuścić ten loch. Ten zbrodniarz fetowany jest dzisiaj jak bohater. Królowa ma go nagrodzić i zaszczyścić swoim uśmiechem. A on pewnie na tej audiencji powie swej



monarchini, że zginąłem podczas próby ucieczki. I dlatego, Conor, zabierz ją stąd. Dopilnuj też, żeby nigdy tu nie wróciła.

Głos Anny Claire drżał ze wzruszenia.

- Nie sądziłam, że jesteś aż takim tchórzem, Rory O'Neil.
- Tchórzem?
- Tak. Bo tylko tchórze poddają się bez walki.

Rory próbował podnieść się na nogi. Teraz dopiero Anna Claire i Conor mieli okazję się przekonać, jak straszliwie jest umęczony. Przesiąknięte krwią ubranie wisiało na nim w strzępach. Zmasakrowana twarz była opuchnięta. Nad prawym okiem czerniała głęboka rana. Udo przewiązane miało jakąś szmatą w celu zatamowania krwi. Lewe ramię zwisało *bezwładnie wzdłuż ciała*.

- Och, mój ukochany. Co oni z tobą zrobili! - Anna Claire zalała się łzami. - Jeśli musisz się poddać, trudno, niech tak będzie. Ale ja nigdy nie ustane w próbach uwolnienia cię. - Wyjęła spod płaszcza niewielkie zawiniątko i przez kratę wrzuciła je do celi. - W tej paczce jest płótno do opatrywania ran, maście gojące i trochę jedzenia. Jutro ja i Connor staniemy przed królową. Padniemy przed nią na kolana i będziemy błagać. Zrobimy wszystko co w ludzkiej mocy, żeby oddać ci wolność. Żebyś mógł wrócić do Ballinarin. - Otarła wierzchem dłoni łzy. - Kocham cię, Rory. Moja miłość czyni mnie silną. Będę walczyła o ciebie do ostatniego tchu.

Zataczając się niczym pijany, podszedł do drzwi. Dotknął palcem jej policzka.

- Och, moja umiłowana. Moja dzika, nieposkromiona bogini. Czyżbym mógł poddać się, wiedząc, że ktoś tak mnie

kocha? Oczywiście, że będę walczył. Ale cierpię podwójnie na myśl, że widzisz moje upokorzenie.

Okryła pocałunkami jego dłoń.

- Conor próbował przekonać mnie, żebym została w domu. Ale ja musiałam przyjść.

Przez chwilę patrzyli na siebie z żarem i bezgranicznym oddaniem.

Nagle dał się słyszeć chrapliwy głos nadzorcy:

- Już czas. Nadchodzą żołnierze. Gdyby was tu nakryli, wszyscy zapłacilibyśmy głową.

Conor prawie siłą musiał odciągnąć Annę Claire od celi. Poszli za strażnikiem korytarzem jakby wykutym w skale. Potem już tylko kręte schody i wolność. Zachłystnęli się świeżym wiosennym powietrzem.

Przez całą drogę powrotną do miasta nie wymienili ani jednego słowa. Siedzieli obok siebie w powozie, pogrążeni w myślach równie posępnych i czarnych jak ta więzienna otchłań, na której dnie znajdował się Rory. I gdzie go pozostawili.

Po powrocie z więzienia Anna Claire przede wszystkim wykapała się i przebrała. Kończyła właśnie z Conorem jeść zimną kolację, gdy weszła Wilona z dobrą wiadomością:

- Lord James jest już w domu. Oczekuje panienki w bibliotece.

Anna Claire spojrzała na Conora.

- Chyba będzie najlepiej, jeżeli najpierw sama porozmawiam z ojcem.

Był tego samego zdania. Ruszył więc za Wiloną do sy-

pialni na górze, zaś Anna Claire pośpieszyła do biblioteki na tyłach domu.

Zastała ojca stojącego przy oknie. Spoglądał w ciemność.

- Ojcze, żebyś tylko wiedział, jak za tobą tęskniłam.

Padli sobie w ramiona.

- A ty żebyś wiedziała, córeczko, jak bardzo martwiłem się o ciebie.

Całował ją, ścisnął, gładził i pieścił. Była jego jedynym dzieckiem. Przesłaniała mu świat.

W końcu odsunął ją od siebie na długość ramion i chwilę przypatrywał się jej w milczeniu.

- Mam wrażenie, że się zmieniłaś. Na pewno zmizemiałaś. - Ściągnął brwi. - Nie chorowałaś czasami? O'Neilowie dobrze cię traktowali?

- Byłam traktowana niczym członek rodziny. A zatem dostałeś mój list?

- Dostałem dwa listy. Od ciebie i od tego, którego nazywają Czarnym O'Neilem. Przysięgał w nim na honor dżentelmena, że jesteś bezpieczna i zdrowa. Wiedząc jednali o jego sławie zabijaki i buntownika, słysząc też opinie o nim wydane przez Dunstana i lorda Davisa, wciąż obawiałem się najgorszego. Dlatego czekam na twoje słowa, córeczko.

Podprowadził ją do krzeseł. Siadając, klasnął w dłonie.

- Wilona powiedziała mi, że nie przyjechałaś sama.

- Przybyłam w towarzystwie... przyjaciół.

- Czy to przyjaciele z Dublina?

- Nie. Mieszkają daleko od Dublina, w górskiej kotlinie.

- Nerwowo przemierzała trasę od okna do kominka i z powrotem. - Tyle się wydarzyło od naszego rozstania. Jak mam ci o tym wszystkim opowiedzieć, ojcze?

Rozsiadł się wygodniej na krześle.

- Po prostu zacznij od początku.

Anna Claire wracała do swoich pokoi. Dom o tej porze pogrążony był w ciszy. W oknach widać było rozgwieżdżone niebo. Nie myślała jednak ani o tajemnicy gwiazd, ani o czekającym ją śnie. Myślała o ojcu.

Wysłuchiwał jej opowieści w milczeniu i skupieniu. Był przeciwieństwem Gavina O'Neila. Zawsze opanowany, nigdy się nie unosił. Tym razem też udało mu się zachować chłodny dystans. Dawno już zresztą pogodził się z faktem, że ona, jego córka, jest dorosłą osobą i ponosi pełną odpowiedzialność za swoje decyzje. A jednak domyślała się, że czuje się dotknięty i zraniony. Wszystko z powodu jej bezmyślności.

- Czy nigdy nie przewidujesz skutków swych działań?  
- zapytał w pewnym momencie.

- Ależ ojczcze...

- Chociażby to, co zrobiłaś ostatnio. Zjawiłaś się w moim domu z członkami rodu O'Neilów. I ośmielasz się prosić o pomoc w uzyskaniu audiencji u królowej. - Spoglądał na nią oczyma, w których malował się smutek pomieszany ze zmęczeniem.

Zbliżyła się do drzwi sypialni Conora. Chciała zapukać, gdy Conor, który widocznie już usłyszał jej kroki, stanął na progu.

- Och, przestraszyłeś mnie.

- Nie mogłem zasnąć.

Weszła do środka. Na węższym łóżku spał Innis. Wydawało się, że nawet huk dział nie mógłby go obudzić.

- Powiedziałaś ojcu o wszystkim?

Kiwnęła głową.

- I jak to przyjął?

Wzruszyła ramionami.

- Tak jak oczekiwałam. Sprawiałam mu ból. Poza tym obawia się, że z powodu córki zostanie okrzyknięty głupcem.

Conor pokiwał głową.

- W tej sytuacji ja, Innis i Velia szukamy jutro nowego mieszkania. I zaczynam obchód po domach przyjaciół i znajomych mojej rodziny. Prędzej czy później ktoś poda mi pomocną dłoń. Muszę stanąć przed obliczem królowej.

Uśmiechnęła się.

- Conor, ja jeszcze nie dokończyłam. Jakkolwiek mój ojciec gniewa się na mnie, wciąż czuje się moim ojcem. Długo musiałam go przekonywać, lecz w końcu zgodził się jutro wziąć nas ze sobą.

- Wziąć nas ze sobą?

- Tak. Do pałacu. Żeby przedstawić nas królowej. - I pocałowała go w oba policzki.

Kiedy zaś pół godziny później zasypiała, jej ostatnią myślą było, że młoda monarchini, nieustępliwa w tylu sprawach, być może teraz okaże swą łaskawość.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W końcu ukazała się przed nimi imponująca budowla.

- To Greenwich Castle - wyjaśniła Anna Claire Conoro-wi i Innisowi.

Monarszy sztandar powiewał na szczycie wieży na znak, że królowa przebywa w swojej rezydencji. Widać było całą kolumnę stojących na baczność żołnierzy. Ich piękne mundury przyciągały oko.

- Po co królowej aż tylu zbrojnych? - spytał Innis. Jego głos nieco się załamywał. Chłopak uparł się, żeby jechać z nimi. Anna Claire podejrzewała, że widział siebie w roli jej obrońcy.

- To królewska gwardia przyboczna. Jest tu po to, żeby nic złego nie mogło przytrafić się królowej.

Lord Thompson przypatrywał się przystojnemu młodemu człowiekowi siedzącemu przy jego córce. Jakkolwiek wymienili dotychczas niewiele słów, zdążył już odkryć, że Conor O'Neil odebrał staranne wykształcenie i nie brak mu ogłady.

- Czy już wiesz, kawalerze, z czym zwrócisz się do królowej?

Ponieważ z tamtej strony padło tylko krótkie potwierdzenie, lord Thompson pochylił się ku córce i zapytał szeptem:

- Uważasz, że mądrą rzeczą było brać ze sobą tego malca?

- Ja i Conor nie mogliśmy pozostać głusi na jego prośby. Gdybyśmy mu odmówili, mógłby posunąć się do czegoś nieobliczalnego. Nie chciałam, by dołączył do Rory'ego w więzieniu.

- Czy to tak Irlandczycy wychowują swoje dzieci? - zapytał z przekąsem.

- Nie sędzę, żeby była to tylko irlandzka słabość. Wczoraj wieczorem nazwałaś mnie, ojczu, zbuntowaną córką.

Uśmiechnął się.

- Zdaje się, że tę potrzebę niezależności odziedziczyłaś po swoich rodzicach. - Pocałował ją w dłoń, na co zareagowała prześlicznym rumieńcem zadowolenia. - Czy już mówię ci, że jestem z ciebie dumny, kochanie?

Poczuła się szczęśliwa. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, powóz zatrzymał się i czas było wysiadać.

Prowadził lord Thompson. Wiódł ich amfiladą wspianych pokoi, pełnych dworzan i służby. Tak doszli do przedsiionka sali audiencyjnej, gdzie się zatrzymali.

- Muszę zapytać was o broń - rzekł lord Thompson do Conora i Innisa. - Jeśli posiadacie jakąś, zostawcie ją tutaj.

Conor dotknął wiszącego u pasa krótkiego korda.

- Dlaczego mam to zrobić?

- Dlatego, że staniesz, kawalerze, przed obliczem królowej. Jeśli gwardziści zobaczą u ciebie broń, zaaresztują cię natychmiast.

Conor niechętnie wyjął broń z pochwy i położył na wskazanym miejscu.

Anna Claire widząc, że Innis nie idzie w ślady Conora, szturchnęła go w ramię.

- Wiem, że masz nóż. Musisz się z nim rozstać.

- Przenigdy.

Spojrzała na Conora, niemo błagając go o pomoc. Wystarczyło mu tylko kiwnąć głową. Chłopiec posłusznie wyjął sztylet z cholewy i oddał go lordowi Thompsonowi.

- Teraz jestem bezbronny - rzekł z ponurym wyrazem twarzy.

- Lepiej być bezbronnym niż wtrąconym do więzienia - odparła.

Wokół nich zrobiło się tłoczno. Dworzanie przyszli obejrzeć kolejną codzienną audiencję, która zawsze miała w sobie coś z widowiska. Elżbieta, korzystając ze swej władzy, rozstrzygała wszystkie sprawy. Stawali przed nią zarówno drobni przestępcy, jak i szlachetnie urodzeni. Słynęła z ciętego dowcipu. Chwalono ją za mądrość, ale jej cierpliwość bardzo szybko mogła przemienić się w gniew.

Lord Thompson szepnął kilka słów dworakowi w złotych i szkarłatnych szatach. Tamten kiwnął głową i zniknął za drzwiami. Lord Thompson podszedł do córki.

- Czekajcie, aż zostaniecie wezwani przed oblicze królowej - rzekł i natychmiast się oddalił.

Conor odprowadził go wzrokiem.

- Twój ojciec nie wejdzie razem z nami?

Anna Claire potrząsnęła głową.

- Mój ojciec jest jednym z doradców królowej. Podczas audiencji stoi u jej boku. Rozstrzyga kwestie prawne. Powiedzia mi, iż w naszej sprawie niewiele może pomóc.

Spojrzała w bok i wydała okrzyk trwogi. Szedł ku niej lord Dunstan.

- Witam panią. Właśnie spotkałem pani ojca i usłyszałem z jego ust dobrą wiadomość. - Zgiął się i pocałował ją w ręk-



kę. - Pomimo ciężkich przejść w ostatnim okresie wygląda pani olśniewająco.

- Nic mi też nie dolega.

Popatrzył na nią sceptycznie.

- Będzie jeszcze lepiej, gdy uda się pani zmyć z warg smak owej plugawej wyspy. - Położył jej dłoń na swoim ramieniu. - Chodźmy. Dołączymy do lorda Davisa i lady Thornly.

- Są tutaj? - Rozejrzała się wokół i zobaczyła pod oknem swoich dawnych przyjaciół, którzy uśmiechali się do niej.

- I owszem. Przypłynęliśmy na jednym okręcie. Uznali, że w tych trudnych dla pani ojca chwilach muszą być u jego boku. Na szczęście udało się pani wyrwać z rąk tego szaleńca. - Spojrzył na Conora i Innisa. - Mogę wiedzieć, z kim mam przyjemność?

- Z bratem szaleńca - odpowiedział Conor.

Anna Claire dokonała dokładniejszej prezentacji.

Lord Dunstan nie ukrywał zdumienia.

- Dlaczego przestajesz, pani, z krewnymi swojego dręczyciela, skoro jesteś wolna?

- Bo poznać nas, to nas pokochać - rzucił Conor z uśmiechem.

Innis zachichotał.

Otwarto na oścież wysokie drzwi i towarzystwo przeszło do sali audiencyjnej. Królowa nie dała na siebie długo czekać. Marszałek dworu oznajmił jej nadejście. Mężczyźni zgięli się wpół, kobiety zaś zniżyły w ukłonach. Elżbieta zasiadła na tronie.

Miała na sobie królewską purpurę, a we włosach diadem.

Biła od niej monarsza wspaniałość. Samym swoim wyglądem budziła posłuch i szacunek.

Władczyni towarzyszyli doradcy. Siedzieli na taboretach. Za nimi, ustawieni półkolem, prężyli się na baczność gwardziści. Dokładnie w punkcie środkowym tego półokręgu stał ten, którego znano jako Tildena.

Anna Claire spojrzała na Innisa, który chwycił ją za rękę tak mocno, że z bólu zagryzła wargi. Oczy błyszczały mu jakimś dziwnym światłem, usta zaś miał otwarte jak do krzyku. Przeniosła wzrok na Conora. Był blady niczym chusta.

- Bestia - syknął. - Gdybym miał miecz, rozsiekałbym go na kawałki.

Dotknęła jego ramienia.

- Dysponujesz lepszą bronią, Conor. Gdy prawda się objawi, Rory wyjdzie z więzienia, a Tilden szczególnie w hańbie.

Mimo wszystko czuła ogromną ulgę, że Conora i Innisa zmuszono do oddania broni. Po tym, co Conora ujrzał w więzieniu, bardzo łatwo mógł zachować się nieobliczalnie. Wszakże płynęła w nim krew O'Neilów. Anna Claire nie miała wątpliwości, że porwałby za miecz i rzucił się na Tildena. Tym samym straciłaby sposobność uratowania życia Rory'emu. Co do Innisa, to nie można było przewidzieć jego reakcji.

Królowa przystąpiła do rozstrzygania spraw, przedkładanych jej w porządku, w jakim napływały. Wiele z nich było smutnych bądź wręcz tragicznych. Było tak z akuszerką, która powiedziała płaczącej młodej matce, że jej dziecko urodziło się martwe, by oddać noworodka bezpłodnej przyjaciółce. Elżbieta zaskoczyła wszystkich postanowieniem, by

położna oddała swoje własne dziecko nieszczęśliwej matce na okres roku.

Prócz ważnych były też sprawy błahe bądź śmieszne. Stopniowo Elżbieta stawała się coraz bardziej kaśliwa i zniecierpliwiona. Było jasne, że późna pora i bezmiar nieszczęść, które poznawała, wywierały na nią fatalny wpływ.

Nagle dał się słyszeć głos marszałka dworu:

- W sprawie aresztowania irlandzkiego buntownika, Rory'ego O'Neila, zabierze głos jego brat Conor O'Neil, który uprasza jej wysokość, by więzień mógł stanąć przed jej obliczem.

Rozległ się szmer. Posypały się komentarze. Mało kto nie był zły bądź wściekły, że brat takiego infamisa ośmielił się zbliżyć do królowej Anglii.

Ale najgorsze miało dopiero nastąpić. Bo oto wprowadzono więźnia. Był w kajdanach, których brzęk odbijał się echem od ścian i sufitu sali audiencyjnej. Mężczyźni krzyczeli i przeklinali, kobiety zaś na widok łachmanów, brudu i krwi zbliżyły do nosów perfumowane chusteczki.

Tilden obnażył kły niczym dziki zwierz i położył dłoń na rękojeści miecza.

Anna Claire wiedziała, że nie wolno jej płakać. Ale na ból nic nie mogła poradzić. Krajało jej się serce na widok ukochanego, którego traktowano tu niczym pospolitego złooczyńcę.

Rory jął się rozglądać, aż wreszcie odnalazł w tłumie ukochaną. Cień uśmiechu pojawił się na jego wargach. Widząc to, Dunstan objął ją i zniżył głowę, by szepnąć jej coś do ucha. Chciała się odsunąć, lecz tamten trzymał ją mocno.

- Wydaje się, pani - szepnął - że Czarnego O'Neila pozabawiono całej jego siły. Już nie podniesie ręki na ciebie.

Kiedy wreszcie udało jej się uwolnić z objęć Dunstana, było już za późno. Rory patrzył w przeciwnym kierunku.

Dał się słyszeć chłodny głos Elżbiety:

- Nie ulega wątpliwości, że ten człowiek był torturowany.

Tilden wystąpił z szeregu.

- Za pozwoleniem Waszej wysokości, postaram się wyjaśnić.

Władczo machnęła ręką.

- A zatem masz moje pozwolenie.

- Ten więzień, a zwań go Czarny O'Neil, zasłynął, jak zresztą wielu irlandzkich wieśniaków, z takiej buntowniczości, z takiego okrucieństwa, z takiego nieposzanowania prawa - powiódł wzorkiem po widzach i słuchaczach, z których większość kiwała potakująco głowami - iż jedynym sposobem poskromienia jego hardej duszy było użycie środków fizycznego przymusu. Ja i moi ludzie niechętnie uciekamy się do tej ostateczności, ale on po prostu nie dał nam wyboru.

- Rozumiem - rzekła Elżbieta. - Czasem niewdzięczna bywa służba tych, którzy chronią królową i kraj. Kto będzie przemawiał w imieniu więźnia?

- Ja, Wasza wysokość. - Conor wysunął się o trzy kroki przed zgromadzenie i nisko skłonił przed niewiastą na tronie.

Królowa i dworzanie ujrzeli pełnego wdzięku kawalera. Już sam sposób, w jaki trzymał głowę, nakazywał skupienie i uwagę.

- Jestem Conor O'Neil, brat Rory'ego, a syn Gavina

i Moiry O'Neilów. Gniazdo rodu zwie się Ballinarin i leży w Ukrytym Królestwie w Irlandii.

- A cóż to znowu za Ukryte Królestwo? - spytała Elżbieta z lekkim przekąsem.

- Ukryte, gdyż trudno tam trafić naszym wrogom. Wierzmy, że krainą tą opiekują się dobre duchy. Krainą i jej mieszkańcami.

- Mówisz o duchach, kawalerze. To pewna nowość podczas tej audiencji. - Elżbieta uśmiechnęła się. Lubiła miłe niespodzianki. Poza tym ten młody człowiek prócz tego, że był piękny, miał także gładkie obojętne. - Z jaką prośbą się zwracasz?

Conor zbliżył się do tronu o kolejny krok. Spojrzał w oczy królowej. Było to wykalkulowane ryzyko. Elżbieta jako królowa znajdowała się na niebotycznym szczycie. Niemniej była kobietą. On natomiast był mężczyzną, który dobrze wiedział, co zrobić, by kobieta poczuła się doceniona w swojej kobiecości. - Moja prośba jest skromna. Pragnę być jedynie wysłuchany. I wysłuchany zostanę, albowiem słyniesz, pani, z głębokiego poczucia sprawiedliwości.

Elżbiecie wracał humor. Lubiła mężczyzn, którzy w cieniu korony dostrzegali kobietę.

- Sprawiedliwość jest największą cnotą. Słuchamy zatem. Otrzymasz to, o co prosisz. Czyli sprawiedliwą ocenę racji. I nic więcej.

- Pokornie dziękuję Waszej wysokości.

I Conor zaczął mówić. Mówił o swoim kraju i swej rodzinie. Opisał tamten dzień, dzień ślubu, kiedy jego brat oczekiwał na przybycie oblubienicy.

Anna Claire słuchała, a jednocześnie rozglądała się po słu-

chaczach. Wrogość i drwina znikwały stopniowo z twarzy dworzan. Szmery słabły i zapadła całkowita cisza. Nikt nie chciał uronić ani jednego słowa. Kiedy zaś Conor przeszedł do sceny rzezi oraz męki brata, damy, które wyjęły chusteczki w zgoła innym celu, zaczęły używać ich do wycierania łez. Nawet królowa wydawała się poruszona.

Uniosła dłoń.

- Dopuszczasz się zniewagi, kawalerze. Czy chcesz powiedzieć, że wszystko to stało się za moim przyzwoleniem, a może nawet wskutek mojego rozkazu?

- Żołnierze, którzy popełnili tę zbrodnię, powoływali się na rozkazy Waszej wysokości. Ale mało kto wierzy, by królowa Anglii kazała mordować niewinne kobiety i dzieci.

- Czynię zatem wiadomym wszem i wobec, że ów haniebny czyn dokonany został poza moją wiedzą i intencją. Sprawcy tej okrutnej zbrodni zachętę do tego znaleźli we własnych obumarłych sercach.

- Wasza wysokość, któż by się ośmielił myśleć inaczej? Twoja dobroć i łaskawość każą sądzić, iż potępiasz takie okrucieństwo.

- Królowa dziękuje ci, kawalerze, za zaufanie. Lecz słowa, choćby i najcelniejsze, nie uwolnią twojego brata od brzemienia jego win. - Wskazała palcem na więźnia w kajdanach. - Wieść głosi, że ów Czarny O'Neil zabił wielu niewinnych Anglików, by nasycić swoje pragnienie zemsty. Jeśli to prawda, niczym ów samozwancy mściciel nie różni się od wściekłego psa, którego trzeba zabić, by nie kąsał i nie czynił zła.

- Wasza wysokość, całkowicie zgadzam się z tym stanowiskiem. Co jednak sprawiedliwy powie ogółowi, jeżeli

wieść jest nieprawdziwa? Jeżeli zabitymi przez mojego brata byli tylko angielscy żołnierze? - Conor zniżył głos, w związku z czym słuchacze, nie chcąc uronić ani jednego słowa, musieli zachowywać absolutne milczenie. - Ci sami żołnierze, którzy dopuścili się bestialskiego gwałtu na niewinnych kobietach i dzieciach. Ci sami żołnierze, którzy palą chaty Bogu ducha winnych irlandzkich chłopów, dziesiątkują ich stada i trują pola?

- Gdyby to była prawda, i to prawda dowiedziona w tym miejscu, taki człowiek obwołany zostałby bohaterem, a sprawcy tych niegodnych czynów wtrąceni zostaliby do więzienia. - Elżbieta pochyliła się do przodu, nie spuszczać oczu z Conora. - Żądamy wszakże świadków, którzy potwierdziliby rzecz całą pod przysięgą.

- Wasza królewska mość, jeśli otrzymałbym dość czasu, przedstawiłbym takich świadków. - Conor dostrzegł kątem oka, że Tilden cofnął dłoń z rękojeści miecza, a na jego twarzy pojawił się bezczelny uśmiech. Conor był doświadczonym wędkarzem; wiedział, kiedy podczas mocowania się z rybą popuścić linki, kiedy zaś ją skrócić. Postanowił, że chwilowo da Tildenowi trochę więcej swobody. - Ze swej strony zakładam, iż są świadkowie gotowi potwierdzić pod przysięgą winę mego brata.

Królowa skinęła głową.

- Żołnierz, który schwytał Czarnego O'Neila, szczegółowo opisał jego zbrodnie. Zbrodnie, trzeba dodać, dokonywane na niewinnych kobietach i dzieciach. I za odwagę, jaką wykazał, broniąc królestwa przed tym wściekłym psem, spłynę na niego łaska i honory. - Na dany przez Elżbietę znak Tilden zbliżył się do tronu żołnierskim krokiem. - Ofi-

cera tego czynię niniejszym dowódcą królewskiej gwardii. Będzie odpowiedzialny za bezpieczeństwo mojej osoby.

Rozległy się oklaski. Twarz Tildena jaśniała niczym sierpniowe słońce.

- Czy to zatem ten człowiek, który przed chwilą ogłoszony został defensorem i bohaterem, świadczy przeciwko mojemu bratu?

Królowa potwierdziła.

- Czy wina mojego brata dowiedziona została tylko na podstawie jego zeznań?

Elżbieta sprawiała wrażenie znużonej tymi pytaniami.

- Tak, kawalerze.

- Jeżeli zatem słowo jednego człowieka, a jest on angielskim żołnierzem, świadczy przeciwko mojemu bratu, to stanie się zadość poczuciu sprawiedliwości, jeśli słowu temu przeciwstawi się słowo naocznego świadka.

Elżbieta nie kryła zniecierpliwienia.

- Najwyższa władza sądowa, jaką jest królowa Anglii, podziela ten pogląd. Ale przypominam, iż sam powiedziałeś, kawalerze, iż czasochłonne będzie znalezienie takich świadków.

- Tak, wasza królewska mość. W moim kraju żyje niezliczenie wiele mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy o chotnie stawiliby się przed twym obliczem, miłościwa pani, by świadczyć przeciwko temu żołnierzowi. Niestety, nie ma czasu na sprowadzenie ich tu. Ale jeden świadek jest tu obecny. On też powinien wystarczyć.

Rozległ się szmer, który stopniowo przeradzał się w harmider.

Królowa podniesieniem ręki uciszyła zgromadzonych.



- Jeżeli masz takiego świadka, kawalerze, to pozwól mu mówić.

Conor odwrócił się i spojrzał na Innisa. Chłopiec wzdrygnął się i ścisnął Annę Claire za rękę tak mocno, że poczuła ból.

Pochyliła się i spojrzała mu w oczy.

- Musisz wystąpić, by świadczyć, Innis.

Potrząsnął głową. Zdradzał pewne oznaki paniki.

- Mam mówić do samej królowej? Nie mogę. Oddaj mi mój nóż, a zabiję tego diabła Tildena. Ale nie mogę mówić przy tylu świadkach.

- Musisz. Zrób to dla Rory'ego. Pomyśl też o swoich najbliższych. Niech wiedzą tam w niebie, że ich zabójca został ukarany. Walcz słowem, a nie sztyletem czy mieczem jak Rory. Pasuj się z innymi na argumenty. Staraj się upodobnić do Conora.

I pchnęła go lekko ku miejscu, gdzie stał Conor. Stało się. Innis znalazł się w kręgu przeznaczonym dla bohaterów tej sceny.

- Wasza królewska mość - rzekł Conor - mój świadek nazywa się Innis Maguire.

- Powiedz nam, chłopcze, co wiesz o winie stojącego za mną oficera.

- Ja... - Kilkakroć przełknął ślinę. Przeniósł wzrok na Tildena. Och, jak bardzo pragnął mieć przy sobie swój nóż. Bez sztyletu czuł się bezbronny. Zaciśnął dłonie i zaczął raz jeszcze: - Widziałem żołnierzy, którzy zamordowali moich rodziców i dziadków, moich wujów, ciotki i kuzynów. Zabili nawet całkiem maleńkie dzieci, które wypadły z ramion matek. A dokonując tej rzezi, śmiali się i żartowali.

Królowa wydawała się poruszona.

- Naprawdę widziałeś to wszystko na własne oczy?

Kiwnął głową.

- I tylko ty przeżyłeś?

Przełknął ślinę.

- Tak, Wasza królewska mość.

- A jak to było możliwe?

- Mój tata zasłonił mnie własnym ciałem. Umarł, ratując mnie.

Elżbieta długo przypatrywała się chłopcu.

- I widziałeś dokładnie sprawców tego mordu?

- Tak. Dowódca miał żółte włosy i bliznę na twarzy biegnącą od brwi do podbródka.

Znów rozległ się głośny szmer, który królowa musiała uciszyć.

- Mów dalej, chłopcze. Znasz tego żołnierza?

- Tak, Wasza królewska mość. On to właśnie stoi za tobą, miłościwa pani. To Tilden. Znam to nazwisko z ust jego kamratów.

- To bardzo ciężkie oskarżenie, chłopcze. Rzeczą trzeba starannie rozważyć. Moi żołnierze odprowadzą kapitana Tildena do jego kwatery, której nie będzie mógł opuścić aż do czasu ostatecznego rozstrzygnięcia.

Kiedy idący pod strażą Tilden mijał Rory'ego, obrzucił go pełnym nienawiści spojrzeniem i syknął:

- Tym razem, O'Neil, nie wymkniesz się śmierci.

Anna Claire usłyszała te słowa. Wydostała się z tłumu i padła przed królową na kolana.

- Pokornie upraszam Waszą królewską mość, by nie odsyłała Rory'ego O'Neila do więzienia.

Elżbieta poszukała wzrokiem lorda Thompsona.

- Co to znaczy? Czy to twoja córka, panie?

Lord Thompson powstał z taboretu.

- To moja córka, Wasza królewska mość. Ma na imię Anna Claire.

- To ona została porwana przez tego buntownika?

Kolejne potwierdzenie.

- Zabierz zatem tę zuchwałą pannę na moje pokoje.

I zrób to szybko, bo stracę cierpliwość.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Anno Claire, moja droga, proszę cię. - Lord Thompson szedł z wysoko uniesioną głową i uśmiechem na twarzy. Zmierzał razem z córką do królewskich apartamentów. - Nauczyłem się odgadywać nastroje Elżbiety. Toteż mogę zapewnić cię, że osiągnęła kres cierpliwości. Naucz się kontrolować swoje słowa, inaczej zapłacisz wysoką cenę. Zrozumiałaś?

- Tak, ale muszę powiedzieć jej, co usłyszałam. Tilden...

- Milcz, niemądra dziewczyno. - Weszli właśnie do salonu, gdzie już była królowa. Otaczali ją ścisłym kręgiem dworzanie.

Elżbieta przyjęła kufel piwa z rąk podczaszego, ugasiła pragnienie i usiadła na florenckim krześle o rzeźbionym oparciu. W milczeniu patrzyła na przybyłą. Mijała chwila za chwilą. Serce Anny Claire waliło jak młotem.

W końcu królowa przemówiła:

- Lord Dunstan powiedział nam, że zostałaś porwana z własnego domu przez tego buntownika. Dlaczego więc teraz współ z jego bratem występujesz w jego obronie? Jak mamy rozumieć tę wielkoduszność?

- Bo to jest dobry człowiek, Wasza królewska mość, o czym wielokrotnie miałam okazję się przekonać. Pochodzi ze szlacheckiego, a nawet starożytnego rodu. Wiele przecier-

pieł. Utracił kobietę... - głos jej zadrżał - ...kobietę, którą miłował i z którą chciał się ożenić.

Słuchając Anny Claire, Elżbieta przewiercała ją wzrokiem na wylot. I nagle stało się coś dziwnego. Rozkazała zgromadzonemu opuścić salon.

Na wszystkich twarzach malowało się zdumienie. Lordowie Thompson i Dunstan wyszli ostatni.

Kiedy drzwi zostały zamknięte, Elżbieta wstała i podeszła do kominka. Zatopiła wzrok w tańczących płomieniach.

- A zatem zakochałaś się w tym irlandzkim buntowniku. - To nie było pytanie, tylko stwierdzenie, wypowiedziane tak cicho, jakby rozmawiała sama ze sobą.

Anna Claire przełknęła ślinę.

- Tak, Wasza królewska mość.

Elżbieta odwróciła się. Jej oczy płonęły osobliwym światłem.

- Nie zawsze łatwo być kobietą. Są takie chwile, kiedy zdradzają nas nasze serca. Wtedy opuszczają nas siły i stajemy się słabe, narażone na atak. Tym bardziej potrzebujemy kogoś silnego, kto by nas bronił. Kto chroniłby nas przed popełnianiem błędów.

- Wasza kró...

- By do mnie mówić, trzeba uzyskać wpierrw moje pozwolenie - rzekła Elżbieta kategorycznym tonem.

Anna Claire przygryzła wargi i spuściła głowę.

- Raz czy dwa poszłam za porywem serca. Byłam wszak dostatecznie mądra, by wiedzieć, że nic z tego nie będzie. Nie wolno mi poddawać się uczuciu i namiętności. Są jednak tacy, którzy namawiają mnie do małżeństwa. - W głosie królowej zabrzmiał sarkazm. - Chcą mieć udział w rządzeniu.

Proponując mi męża, chcą osłabić moją siłę. Głupcy. Nie znają mnie. - Dumnie uniosła głowę. - Jestem Elżbieta, królowa Anglii, Szkocji i Irlandii. I żaden mężczyzna, żaden mężczyzna - powtórzyła - nie podporządkuje mnie swej woli.

Wbiła w Annę Claire płonący wzrok.

- Na razie trochę pocierpisz, ale nadejdzie dzień, gdy będziesz błogosławiła mnie za to, że wybrałam takie, a nie inne rozwiązanie. Zamierzam uratować cię przed twoim własnym sercem. W związku z tym ani słowa więcej o miłości do Czarnego O'Neila. Nie jest wart angielskiej szlachcianki. - Sięgnęła po srebrny dzwoneczek i potrząsnęła nim. - Przedyskutuję irlandzki problem z moimi doradcami. A potem raz jeszcze spotkam się z tym przystojnym, czarującym, złotoustym kawalerem. - Uśmiechnęła się. - Bawi mnie. Wierzę, że uda mi się zatrzymać go na dworze.

Drzwi otworzyły się i weszli doradcy. James Thompson uważnie przyjrzał się córce. Domyślił się z wyrazu jej twarzy, iż właśnie królowa odrzuciła jej prośbę.

- Moja droga, czy dobrze się czujesz? - zapytał, biorąc ją za rękę.

- Twojej córce nic nie dolega, lordzie Thompson - powiedziała Elżbieta władczym tonem. - Wróci z tobą do domu, jak przystało posłusznej córce. Czyż nie tak, Anno Claire?

- Postąpię zgodnie z twym życzeniem, miłościwa pani.
- A zatem jesteś wolna.

Łykając gorzkie łzy, Anna Claire wyszła na korytarz. Zdążyła jeszcze usłyszeć słowa królowej, która zwróciła się do sługi:

- Przeprowadź Conora O'Neila. Po skończonej naradzie spotkam się z nim w błękitnej komnacie.

Na korytarzu Anna Claire wpadła na Innisa. Chłopiec był ciekaw, jak potoczyła się rozmowa. Zobaczył w jej oczach łzy, których nie udało się jej ukryć. Spoglądał na nią z sympatią i szczerą troską. W niczym już nie przypominał tamtego Innisa, który z pogardą w głosie nazywał ją „An-gielką”.

- Och, Innis, tylko pokomplikowałam i tak już skompli-kowane sprawy.

- Jednak Conor jest zdania, że wciąż jeszcze możemy przekonać królową. Powiedział, że chyba spodobał się Elż-biecie. A kobiety, które lubiły Conora, zawsze dawały mu to, czego chciał.

- Ale może już być za późno. Słyszałeś przecież groźbę Tildena.

- Gdybym miał swój sztylet, dałbym go Rory'emu do obrony.

Potrząsnęła głową.

- Rory'ego z pewnością odprowadzono już do więzienia. Jest teraz w rękach ludzi, którzy nie znają litości.

- A więc nie wolno nam zwlekać. Musimy go uwolnić.

Anna Claire uniosła brwi. Innis wciąż jeszcze był dziec-kiem. Nie miała prawa nawet myśleć o tym, o czym powie-dział takim lekkim tonem. A jednak to on miał rację. Dzieci czasami bywają mądrzejsze od dorosłych.

Przystała więc na to.

- Dobrze, spróbujemy. Przecież nie cofniemy się, skoro zaszliśmy tak daleko. - Ruszyła ku wyjściu z pałacu.

- Czy masz jakiś plan?  
- Jeszcze nie. - Oddychała jak po biegu. Bała się. Równocześnie gotowa była podjąć największe ryzyko. - Coś jednak wymyślimy, zanim dotrzemy do więzienia.

- Po co kupiłaś te ciasteczka? - zapytał Innis.  
Anna Claire zawiązała rogi płóciennej serwetki.  
- Zamierzam obłąskawić nimi więziennego dozorcę. - Uśmiechnęła się. - Nie jestem pewna, czy moje kobiece fortele wystarczą.

- Co za fortele?  
- Wykaż trochę cierpliwości. - Na widok ponurej kamiennej budowli zadrżało w niej serce. Czy nie przeceniła swoich sił? Czy znajdzie w sobie dość odwagi, by po raz drugi zstąpić w tę piekielną czeluść?

Przywołała całą swoją wolę i przyśpieszyła kroku. Czas decydował teraz o wszystkim.

Gdy była tu za pierwszym razem, usiłowała zapamiętać wewnętrzny układ korytarzy, schodów i pomieszczeń. Zaczęli schodzić do podziemnych lochów. Stopnie śliskie były od krwi i ekskrementów.

Innis chwycił ją za rękę.

- Boję się.  
- Ja również - szepnęła. - Ale pamiętaj. Nie wolno się nam bać. Strach paraliżuje wolę. Czy pamiętasz nasz plan? Zrobisz to, o co prosiłam?

- Spróbuję. - Chłopiec szedł dzielnie, mimo iż trząsał się niczym liść osiki.

- Dokąd to? - rozległ się nagle gardłowy głos.  
Zmartwieli na chwilę, po czym powoli się odwrócili.



Szedł ku nim zwalisty dozorca, szczerząc w uśmiechu czarne zęby.

- Czyżby to była ta sama panna, od której dostałem wczoraj sakiewkę wypchaną złotem?

- Tak. Dzisiaj przyniosłam dragą taką. Będzie twoja, ale najpierw muszę zobaczyć się z więźniem.

Spoglądał to na chłopca, to na dziewczynę. Niewiele znaczyli. Nie było też z nimi nikogo, kto mógłby ich bronić.

- Niech będzie. Co macie w tym zawiniątku?

Anna Claire odchrząknęła.

- Jedzenie dla więźnia.

- Podziękuję się z nim. - Wyciągnął rękę, jednak Anna Claire cofnęła się o krok. - Jeśli mam wam pomóc, lepiej spełniajcie wszystkie moje żądania.

- Ależ oczywiście. - Anna Claire odwiązała serwetę i patrzyła, jak kolejne ciasteczka znikają w ustach grubasa.

Innis trącił go w ramię.

- Zostaw coś, panie, dla naszego przyjaciela.

- Uważaj, szczeniaku. Jak śmiesz mnie dotykać? Waszemu przyjacielowi nie w głowie zresztą słodkości. Chyba że innego rodzaju. Wystarczy mu, jak obejrzy sobie kobietkę.

- Wykrzywił się lubieżnie. - Użyj sobie chłop chociaż w wyobraźni. - Przełknął ostatnie ciastko. - Chodźcie. Będę prowadził.

Zeszli w dół jeszcze jedno piętro, a potem w ciemny korytarz. Wokół słychać było krzyki i jęki nieszczęśników.

- Miło tu nie jest - zachichotał strażnik. - Zapach różni się od tego w ogrodzie. Nieba nie widać, a i ptaki nie zagładają. Natomiast sporo mamy szczurów. Spójrzcie chociażby pod nogi.

Spodziewał się usłyszeć z kobiecych ust krzyk przerażenia, był więc rozczarowany, gdy odpowiedziało mu milczenie. Szedł jednak dalej, gdyż w głowie miał tylko jedno: - zaprowadzić ich w ustronne miejsce, a potem zabawić się z dziewczyną. Gdy jednak już dotarł tam i spojrzał za siebie, nikogo nie zobaczył. Przeklął straszliwie i ruszył spiesznym krokiem w drogę powrotną.

- Jesteś pewna, że to ten korytarz?

- Tak. Rozpoznaję tę zbiorową celę. - Anna Claire wstrząsnęła się na widok więźniów w łańcuchach. Byli bardziej podobni do mar niż do żywych ludzi.

Śpieszyła się. Musieli dotrzeć do celi Rory'ego, zanim strażnik odkryje ich podstęp.

Korytarz skręcał w prawo. Było tu ciemno jak w grobie, Daleko przed nimi płonęła maźnica.

- To tam.

Innis sięgnął do kieszeni po klucz, który ukradł dozorca, gdy ten obżerał się ciastkami. Dopadli do drzwi. Klucz znalazł się w zamku. Został przekreślony i... drzwi ani drgnęły.

- Rory! - krzyknęła płacząco Anna Claire. - Mimo że mamy klucz, drzwi nie chcą się otworzyć. Pomóż nam. Potrzebna nam twoja siła. Pośpiesz się. Błagam.

Nie mieli pochodni. W celi zalegała ciemność. Dobiegi ich uszu jakiś szmer.

W tej samej chwili u wylotu korytarza zabłysło światło. Ktoś nadchodził z łuczywem. Mógł to być tylko strażnik.

- Rory, na Boga, pośpiesz się. Błagam. Inaczej już nic cię nie uratuje.

Światło było coraz bliżej. Rozpoznawali już zarys postaci. Dały się słyszeć kroki i przekleństwa.

- Myślałaś, ptaszyno, że uda ci się oszukać starego Colby'ego? - Strażnik biegł ku nim z uniesioną niczym maczugą pochodnią.

Drzwi skrzypnęły i drgnęły wreszcie. Z celi wysunął się Rory. Zamachnął się, trafił pięścią w szczękę i dozorca runął na ziemię. Pochodnia wypadła mu z ręki.

- Uciekajmy stąd, Rory. Tilden może się zjawić w każdej chwili. - Anna Claire chwyciła Innisa za rękę.

- Czy ktoś wymienił tu moje imię?

Tilden szedł ku nim z obnażonym mieczem.

- Widzę, że chciałaś pokrzyżować mi plany, irlandzka suko. Zapłacisz mi za to.

- Pozwól im odejść, Tilden. - Głos Rory'ego miał w sobie chłód śmierci.

- A dlaczego miałbym pozwolić? - spytał tamten szycerco.

- Bo wtedy być może cię oszczędzę.

Tilden odchylił głowę i wybuchnął śmiechem.

- Ty mnie oszczędzisz? Gołymi rękoma chcesz walczyć z trzymającym miecz żołnierzem i liczysz na zwycięstwo? Prawdziwy z siebie błazen.

- Nawet bezbronny potrafię zadawać ciosy. Ale masz moje słowo. Jeżeli puścisz kobietę i chłopca, nie będę się bronił.

- Co za szlachetna postawa. Tym razem nie zamierzam zostawić żywych świadków. Zacznę od ciebie, O'Neil. Potem przyjdzie kolej na chłopaka. A kobieta będzie żyła, aż się nią nasycę. Niebawem spotkacie się w zaświatach.

Uniósł miecz i spojrzął z uśmiechem na jego lśniące ostrze. Lubił zabijać. Miał duszę mordercy.

Ciął z góry, z ogromną siłą. Rory zdążył uskoczyć. Brzezczot skrzesał na kamiennej ścianie snop iskier. Tilden odwrócił się z przekleństwem i ponownie zaatakował. Rory zgiął się, dał nura i walnął Tildena kolaniem w krocze. Ten z jękiem zgiął się w pół. Ale gdy Rory już spuszczał pięść na jego głowę, Anglik ciął z dołu. Z ramienia, które nie zdążyło się jeszcze zagoić, trysnęła krew.

- Ciekaw jestem, ile bólu zdolny jest znieść irlandzki wieśniak.

- Na pewno więcej niż angielski łotr - odrzyknął Rory, a uniknąwszy kolejnego ciosu, rąbnął pięścią prosto w nos przeciwnika.

- Zapłacisz mi za to, O'Neil - ryknął Tilden czerwonymi od krwi ustami.

I odpłacił się, gdyż końcem miecza zdołał dotrzeć do uda Rory'ego. Cios nawet nie był bolesny, sprawił jednak, że prawa noga stała się całkiem bezwładna. Rory osunął się na kolana. Teraz mógł już tylko czekać. Nic nie wskazywało na to, by miało to być długie czekanie.

Miecz wznosił się ku górze prosto nad jego głową.

- Tamtego dnia nie wiedziałem, że zabijam twoją kobietę, O'Neil. - Oczy żołnierza płonęły szaleństwem. - Był z niej smakowity kąsek. Ja i moi chłopcy pohulaliśmy również z matką tego chłopaka. Darła się i błagała o litość dla swoich dzieci. To dodawało smaku potrawie.

Rozległ się zduszony jęk bólu.

- Rory miał rację. Jesteś wściekłym zwierzęciem, Tilden. Nie zasługujesz, by żyć.

Na dźwięk piskliwego głosu chłopca Tilden odwrócił głowę. Zobaczył, że dzieciuch wyjmuje coś zza pasa leżącego strażnika. Potem usłyszał świst. Coś srebrzystego trafiło go w pierś. Jakby długie żądło. Zabolało. Ciałem wstrząsnął dreszcz. Ze zdumieniem stwierdził, że kurtka nasiąka krwią. Kolejne zaskoczenie - miecz wypadł mu z rąk.

I błyskawicznie znalazł się w rękach O'Neila. Ten zaś nie zwlekał. Czekał na ten moment ponad dwa lata. Pchnął z całych sił i wraził ostrze w cielsko ludzkiej bestii niemal po rękajeść. Oczy Tildena zaszyły mgłą. Jał kopać nogami. Po chwili wyzionął ducha, a duszę jego pochwycili diabli.

Zbyt słaby, by stać o własnych siłach, Rory wsparł się na ramieniu Anny Claire. Ciężko było im iść, ale podtrzymywała ich na duchu myśl, że idą ku wolności. I udało się. Ujrzeni słońce i bezchmurne niebo.

- Musimy zabrać go do domu lorda Thompsona - powiedział zdyszany głosem Innis, kłękając przy Rorym, który osunął się na ziemię. Ulica biegła tuż obok.

Chcąc go ukryć przed przypadkowymi świadkami, wspólnymi siłami zawlekli bezprzytomnego za żywoplot.

- Nie, Innis. Czy nie rozumiesz, że właśnie od tego miejsca zaczął poszukiwania?

- Jeżeli tego nie zrobimy, wykrwawi się na śmierć.

Ulicą co jakiś czas przemykały powozy i wolanty. Anna Claire zacisnęła zęby. Wolność była na wyciągnięcie ręki. Czyżby mieli jej nie dosięgnąć? Musiał być jakiś sposób.

- Zostań tu z nim - rzuciła i wyszła z ukrycia na ulicę.

Wiedziała, że jej suknię znaczą krwawe plamy i że ktoś

może je dostrzec. Dlatego idąc, modliła się o łut szczęścia. Doszła w ten sposób do targu, gdzie okoliczni wieśniacy handlowali swoimi produktami. Na niewielkim placyku stały ich wozy i dwukółki. Wystarczyło jedno uważne spojrzenie, by przekonać się, że właściciele pojazdów są bardziej zaprzęgnięci handlem niż losem swych koni.

Wybrała zaprzężoną w kucyka dwukółkę, na której piętrzyły się worki z owocami i jarzynami. Ujęła kuca za kantar i poprowadziła go ku wylotowi ulicy. Dopiero tam wskoczyła na kozioł i chwyciła za bat i lejce. Kucyk ruszył żwawym kłusem. Po krzykach za plecami zorientowała się, że zauważono tę bezczelną kradzież.

Gdy dojechała na miejsce, Innis nie posiadał się z podziwu i radości. Nazwał ją „cudowną złodziejką”.

Nie bardzo przypadło jej do gustu to określenie.

- Wiem, że dopuściłam się najzwyczajniejszej kradzieży, za którą idzie się na szubienicę, a potem do piekła. Ale musimy uratować Rory'ego.

Na miejscu dwóch worków z kapustą, które zrzucili za żywopłot, umieścili na wozie rannego.

- Dokąd jedziemy? - spytał Rory, gdy ujechali już kawałek drogi.

- Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale to jedyne miejsce, gdzie Rory będzie bezpieczny. Tam nie będą go szukać.

- „Tam” to znaczy gdzie?

- W królewskim pałacu. Mój ojciec ma własny apartament w Greenwich Castle.

- Podejź, kawalerze. - Elżbieta odwróciła się od lustra i wskazała na srebrną tacę z dwoma kielichami i smukłą bu-

telką zatkniętą korkiem. - Mam ochotę napić się wina, ty zaś możesz mi w tym towarzyszyć.

- Dziękuję, Wasza królewska mość. To naprawdę zbytek łąski. - Conor napełnił kielichy słonecznym płynem, po czym jeden wręczył królowej.

Usiadła i kazała mu zrobić to samo.

- Opowiedz mi o sobie i swojej rodzinie. Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o tym Ukrytym Królestwie, Ballinarin. Podoba mi się ta nazwa. Brzmi jak muzyka.

Uśmiechnęła, dobrze wiedząc, że z uśmiechem jest mu bardzo do twarzy.

- Samo miejsce też jest piękne. Jakby mieszanina dzikości i łągodności. Błękit nieba może rywalizować jedynie z błękitem oczu królowej Anglii. Zieleń pagórków i pól to zieleń szmaragdów w jej naszyjniku.

Uniosła dłoń ku szyi i dotknęła klejnotów.

- Widzę, że potrafisz docenić jubilerski kunszt.

- Jak również niewieście piękno.

Zaskoczona poczuła, że policzki jej okrywają się rumieńcami. Ten irlandzki nicpoń poczynął sobie w najlepsze.

- Czy panują u was barbarzyńskie obyczaje?

Znowu pozwolił sobie na uśmiech.

- Naszego domu nie można porównać z tym pałacem. Ale nasza kucharka potrafi tak przyrządzić łososia, że człek dziękuje Bogu za dar życia. Ta ocena dotyczy również pieczonych przez nią ciast i mięs. Poza tym mamy wierną i lojalną służbę, a nasi dzierżawcy są skrzętni i pracowici. Wszyscy miłujemy Boga, pokój i naszą królową.

Potrząsnęła głową i roześmiała się jak mała dziewczynka.

- Twoja mowa, kawalerze, jest jak wonny miód. - Opad-

ła na oparcie krzesła. Niewątpliwie ten uroczy diabeł chciał zarzucić na nią sieć. Trudno w to uwierzyć, lecz po tych Irlandczykach wszystkiego można było się spodziewać.

- Czyżbym przesadził w oznakach uszanowania, Wasza królewska mość? Bo w oczach twych widzę, pani, jakby zmieszanie.

Opróżniła kielich i odstawiła na stolik.

- Nie jestem pewna jego przyczyny. Może to wskutek działania twojego czaru, kawalerze. A może tak ujawnia się słabość mego własnego serca. W każdym razie zdecydowałam się wydać rozkaz, by twojego brata ponownie przyprawiono przed moje oblicze. Jeśli zdoła przekonać mnie o swej prawdomówności... - Wzruszyła ramionami. - Zresztą zobaczymy.

Elżbieta zadzwoniła na służbę. Conor dopił wino. Na radość było jeszcze zbyt wcześnie. Pomyślał jednak o zaufaniu, jakim obdarzyła go rodzina. Zrobił wiele, ale gotów był zrobić wszystko, by wyciągnąć brata z tego piekielnego miejsca.

Sposobność była. Nie mógł jej zmarnować.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

- Co rozumiesz przez to, że więzień uciekł?

Żołnierz, który przekazał królowej tę złą nowinę, zbladł jak płótno. W głosie władczyni wzbierała furia.

- Wiem jedynie, że kiedy sprawdzano jego celę, znaleziono ją pustą. - Wpatrywał się w czubki swych wysokich butów. Jego jedynym pragnieniem było uciec stąd. Albo zniknąć w szparze w podłodze. - Ale to nie wszystko, Wasza królewska mość.

- Co takiego? Co jeszcze? Czyżby z więzienia uciekli wszyscy więźniowie? Czy armia irlandzkich chłopów szturmuje więzienie, żądając uwolnienia swego przywódcy?

- Nie, miłościwa pani. Tylko doniesiono, że więzień uciekł dzięki pomocy jakiejś pięknej młodej kobiety i chłopaka o rzyżych włosach.

- Kobieta i dzieciak? A więc to takie rzeczy dzieją się w moim państwie? Głupcy nie potrafili zatrzymać jednej chorej z miłości kobiety i dzieciucha? Wielu zapłaci za to głową.

Elżbieta wyładowała swój gniew, ciskając kryształowym kielichem pełnym francuskiego wina. Kielich rozpadł się na tysiączne części, a wino zabrudziło śnieżnobiały obrus.

- Natychmiast poślij po lorda Jamesa Thompsona - zwróciła się do sługi.

Kiedy ten wyszedł, spojrzała groźnie na przystojnego

młodego człowieka, w którego towarzystwie spożywała obiad. Jego mina zdradzała zaskoczenie.

- Co o tym myślisz, Conorze O'Neil?

- Nie przeczę, że spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba, miłościwa pani. - Conor poczuł, że ogarnia go dziwna słabość. Całe to wyśmienite jedzenie wydało mu się nagle nie do przełknięcia. Poczuł ucisk w żołądku.

Wstał od stołu i zaczął nerwowo chodzić.

- Powinienem był coś takiego przewidzieć. Teraz zostałem ukarany za swoją ślepotę. - Spojrzał w bok i dostrzegł, że królowa przeszywa go wzrokiem. - Proszę wybaczyć mi, Wasza królewska mość. Anna Claire i Innis oddaliby życie za mego brata. Wiem, jak bardzo pragnęli go uratować. Ale w najśmielszych snach nie przeczuwałem, że uczynią coś tak głupiego.

- Byli głupi, ale skuteczni. Teraz musimy zgadnąć, dokąd go zabrali. - W jej oczach płonął gniew. - Biada śmiałkowi, który chce oszukać swoją królową. Czy w pełni rozumiesz moje słowa, kawalerze?

- Tak, Wasza królewska mość. - Tarł nerwowo czoło, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Chwilę później stanął w nich lord Thompson. Był blady i wyglądał na człowieka do głębi czymś poruszonego.

- Dotarły do mnie wieści o twym, miłościwa pani, kłopotcie.

- Nie, James, to nie jest mój kłopot. Raczej twój. O'Neil uciekł z więzienia. - Oczy Elżbiety groźnie się zweżyły. - Z pomocą młodej kobiety i wyrostka. Gdzie twoja córka?

Thompson rzucił okiem na Conora.

- Wiem od gosподyni, że Anna Claire nie wróciła jeszcze do domu.

- Gdzie jest w takim razie?

Przez chwilę się namyślał.

- Nie wiem, Wasza królewska mość. Jest zbyt daleko do Irlandii, by zdecydowali się wsiąść na statek. W stanie, w jakim znajduje się Rory O'Neil, musieli szukać schronienia raczej w Londynie.

- Lepiej módl się, James, byś ją znalazł przede mną. Bo kiedy to ja znajdę twoją upartą córkę, sprawię, że będzie załowała dnia, w którym sprzeciwiła się swojej królowej.

- Rozumiem, Wasza królewska mość.

Lord Thompson zamierzał już odejść, kiedy weszła jedna z panien służebnych. Zauważywszy go, lekko skinęła głową i uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, milordzie, że smakował ci chleb i rosół. Uniósł brew w wyrazie zdumienia.

- Chleb i rosół?

- Owszem, trzy miski rosółu. Bochenek chleba i trochę sera. Zaniósłam to wszystko do twoich komnat godzinę temu. Twoja córka podziękowała mi i powiedziała, że właśnie odpoczywasz.

Królowa uniosła głowę.

- Czyżbym nazwała ją upartą, James? Powinnam była raczej powiedzieć, że jest bezczelna. Przywiodła go tutaj, do Greenwich, nawet nie starając się o moje pozwolenie. - Spojrzała na służącą. - Zawiadom moich doradców. Powiedz im, że znajdują mnie w komnatach lorda Thompsona. Pośpiesz się.

Elżbieta wstała zza stołu i wyszła na korytarz. James i Connor ruszyli za nią. Intuicja podpowiadała im, iż zbliżają się rozstrzygające chwile.

- Wreszcie czuję, że powracam do życia. - Rory wyszedł z komnaty sypialnej, gdzie właśnie się wykapał i ubrał. Anna Claire postarała się o balsam na jego rany i teraz ponownie zakładała mu opatrunki, które zabezpieczała czystymi bandażami. Udało się jej nawet znaleźć w miarę pasujące na Rory'ego ubranie ojca, całkiem przyzwoite, choć skromne. Było trochę za ciasne w ramionach, lecz nad tym można było przejść do porządku.

Spojrzał na drzemiącego na kozetce chłopca.

- Był taki dzielny. - Chwycił rękę Anny Claire i przycisnął do ust. - I ty również. Cóż bym zrobił bez ciebie, moja ukochana? Zwróciłaś mi nadzieję. Życie. Marzenia o przyszłości. - Podprowadził ją do kominka. - Jakim cudem udało się wam przemycić mnie przez całe miasto do tych komnat?

- Ukradliśmy dwukółkę zaprzężoną w kuca.

- Ukradliście...?

Położyła palec na jego ustach.

- Wiem. Postąpiłam bardzo źle. Spróbuję jednak wynagrodzić stratę właścicielowi. W potrzebie należy chwycać się wszelkich możliwych sposobów, kochany.

Patrzył i szeroko się uśmiechał. Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Kiedy ta do gruntu, uczciwa istota zdążyła nauczyć się przebiegłości i stosowania forteli?

- Kiedy dotarliśmy do Greenwich, powiedziałam strażnikom, że wieziemy zamówione świeże owoce i warzywa na kolację dla samej królowej. W pobliżu pomieszczeń kuchennych Innis znalazł mały wózek. Przełożyliśmy na niego ciebie i przykryliśmy workami. Nikt nie zaczepił kobiety i chłopca pchających przed sobą wózek wyładowany kapustą

i jabłkami. Poczekaliśmy, aż służący wyjdą z pokoi ojca, i wtedy dopiero przenieśliśmy cię tutaj.

- Ależ z ciebie przebiegła figlarka, moja panno. - Głos królowej rozbrzmiewał gniewem, a ona sama szła od drzwi w kierunku Anny Claire. Za nią kroczyli lord James i Conor.

Innis obudził się, zerwał na równe nogi i przetarł oczy.

Widząc wściekłość malującą się na twarzy królowej, Rory wysunął się przed Annę Claire.

- Odsuń się, Irlandczyku. Nie z tobą będę rozmawiać, tylko z tą podstępna dziewczyną. - Królowa stanęła przed Anną Claire.

Rory otwierał już usta, żeby coś powiedzieć, ale Conor pokręcił głową, jakby mówił, że nie jest to czas na heroizm. Widząc ostrzeżenie brata, Rory cofnął się o krok, ale zarazem ujął dłoń Anny Claire, by dodać jej odwagi.

- Popełniłaś błąd, wracając więźniowi wolność bez mego zezwolenia i wbrew mojej woli - rzuciła królowa gniewnie.

- Tak, Wasza królewska mość. Dlatego proszę o wybaczenie. Postąpiłam tak, gdyż usłyszałam, że Tilden planuje torturować Rory'ego. Zdecydował się go uśmiercić, aby nie mieć z nim już więcej kłopotów.

- Jak Tilden mógł w ogóle czynić takie pogrożki? Rozkazałam przecież, by trzymano go pod kluczem aż do dnia sądu.

Innis podbiegł do Anny Claire i stanął po jej prawej stronie. Zdecydowany był bronić jej przed gniewem królowej.

Anna Claire spojrzała na niego, po czym odpowiedziała:

- Możliwe, że przekupił strażników. Albo może uwolnił się siłą. Jakkolwiek to zrobił, przybył do więzienia z zamia-

rem zabicia nie tylko Rory'ego, ale i nas obydwójga, by pozbyć się na zawsze niewygodnych świadków.

- Trudno mi uwierzyć w to, co mówisz, moja panno. - Elżbieta spojrzała na Innisa. - Czy to prawda, chłopcze?

- Tak, Wasza królewska mość.

- Nie powiedziałaśbyś nieprawdy swojej królowej?

Innis gwałtownie pokręcił przecząco głową.

- A co się stało z Tildenem?

Rory ubiegł Annę Claire i Innisa.

- Leży martwy na zimnej, kamiennej posadzce więzienia. Zginał z mojej ręki. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność.

Anna Claire spojrzała na ojca, dostrzegając w jego oczach zdumienie pomieszane ze smutkiem. Potem przeniosła wzrok na Conora. Jego twarz był pełna zadowolenia i ulgi. Ich nieprzejednany wróg leżał wreszcie martwy. Więcej już nikogo nie skrzywdzi. Żadna już matka nie będzie przez niego płakała. Wielką niewiadomą było teraz tylko zachowanie Elżbiety.

Drzwi otworzyły się i do komnaty weszli doradcy królowej. Był między nimi również lord Dunstan. Z nie skrywanym zdumieniem wysłuchiwał najświeższych wieści.

Głos królowej był teraz spokojniejszy. Zamiast gniewu pojawił się chłód.

- I chcesz powiedzieć, że nie miałeś wyboru? Musiałeś zabić żołnierza królowej?

- Tak, miłościwa pani, ale nie żałuję tego, co zrobiłem.

- Nie pytam, co czujesz, Irlandczyku. Pytam jedynie, czy to było konieczne.

- Okoliczności tak się ułożyły, że albo my byśmy stracili życie, albo Tilden. Wolałem, by to był on.

Uważnie przyglądała się aroganckiemu rozbójnikowi, który doprowadził do niezgody dwóch narodów. Od dwóch bez mała lat Czarny O'Neil był tematem rozmów przy posiłkach w całej Anglii. Teraz, kiedy zmył z siebie krew i brud, wiedziała, dlaczego mógł stanąć na czele buntu. Miał groźną postawę urodzonego wojownika-przywódcy, hardość w oczach i dumę wypisaną na czole. Dworskie szaty nie ujmowały mu żadnej z tych cech.

Odwróciła się ku doradcom.

- Prawdopodobnie, lordzie Dunstan, myliłeś się, twierdząc, że ujarzmienie tych ludzi będzie łatwą rzeczą. Być może zamiast poskramiać ich serca, ich królowa spróbuje czegoś innego.

Splotła ręce na plecach i zaczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju, zastanawiając się nad całą sytuacją. Zatrzymała się przed Rorem i wskazała na niego palcem.

- Zdecydowałam się podarować ci wolność, Irlandczyku.

Przez kilka sekund Rory nie potrafił nic powiedzieć. W końcu, znalazłszy właściwe słowa, skłonił głowę i rzekł:

- Dziękuję, Wasza królewska mość. Jestem twoim dłużnikiem, miłościwa pani.

- Rzeczywiście, jesteś nim. - Odwróciła się do Conora, rozbawiona wyrazem zdziwienia malującym się na jego przystojnej twarzy. - A ty, kawalerze, interesujesz mnie do tego stopnia, iż życzę sobie twojej tu stałej obecności.

- Tutaj? W Anglii?

Uśmiechnęła się po raz pierwszy podczas tej rozmowy.

- Tak. Przy moim boku. Przekażesz mi swoją wiedzę o Irlandii i jej mieszkańcach. Będiesz moim doradcą we wszystkich sprawach dotyczących twojego kraju. - Kątem

oka dostrzegła, że lord Dunstan uniósł głowę. Widać było, że nie jest zadowolony z takiego obrotu spraw, nauczył się jednak przyjmować porażki.

- Ale najpierw, Conorze O'Neil, wrócisz do rodzinnego domu ze swym bratem. Załatwisz wszystkie swoje prywatne sprawy i przygotujesz się do życia na dworze.

Conor schylił głowę.

- Zastosuję się do twoich słów, Wasza królewska mość. - Łatwo mógł wyobrazić sobie reakcję ojca, kiedy usłyszy nowiny. Marzeniem Gavina O'Neila było, by któryś z jego synów reprezentował go na dworze królewskim. Jednak dla Conora miało to oznaczać zerwanie z wygodnym życiem rodzinnym, w którym się rozmiłował, i rozpoczęcie życia między ludźmi pokroju Dunstana, intryganta gardzącego Irlandczykami.

Gdy w głębokim ukłonie całował podaną mu przez królową dłoń, przyszło mu do głowy, że Elżbieta będzie zainteresowana nim, dopóki on, Conor, będzie ciekawił ją i intrygował. Kiedy znudzi się nim, usunie go z dworu bez mrugnienia okiem.

Zadowolona królowa odwróciła się od Conora i spojrzała na Annę Claire.

- Muszę jeszcze rozstrzygnąć, co zrobić z tą upartą młodą niewiastą.

Anna Claire zaczerwieniła się.

- Jak mam ukrócić twoją samowolę? - Elżbieta, dotykając szczupłym palcem dolnej wargi, przyglądała się jej z uwagą. - Przekonałaś mnie, że rzeczywiście jesteś opętana jakąś głupią romantyczną wizją swojej przyszłości. - Jej oczy zwięzły się. - Czy zaprzeczysz temu?

- Nie, miłościwa pani. - Serce Anny Claire zaczęło walić



jak oszalała. Czyż to możliwe? Czy mogła liczyć na to, że królowa spełni jej najskrytsze, a jednocześnie największe pragnienie? Ujrzała oczyma duszy, jak wspólnie z Rorym wraca do Ballinarin. Jak wychowuje Innisa, który wyrasta na wspaniałego, dzielnego mężczyznę. Jak rodzi i wychowuje swoje własne dzieci. Ach, jakże pragnęła, by królowa pobłogosławiła ją na takie życie.

- Mówiłam ci już, co myślę o małżeństwie w ogólności. Ale przypuszczam, że w niektórych konkretnych przypadkach jest to najlepsze wyjście. Jeśli chodzi o ciebie, to głęboko wierzę, że tym, czego potrzebujesz najbardziej, jest silna męska dłoń. Tylko mąż zdoła uchronić cię przed tobą samą. Tak więc... - Elżbieta zawiesiła głos dla podkreślenia dramatyzmu chwili - ..wyrażam zgodę.

- Ach, miłościwa pani. - Anna Claire padła na kolana i chwyciwszy dłonie Elżbiety, okryła je gorącymi pocałunkami. - Z głębi serca dziękuję.

Królowa wyniośle machnęła ręką, odprowadzając dworzan.

- Zatem postanowione. - Zwróciła się do ojca Anny Claire. - James, przygotuj swojej córce wiano. Z tego, co wiem, jej narzeczony wyraził zainteresowanie waszą posiadłością w Irlandii. Jak mi się zdaje, nosi nazwę Clay Court.

James Thompson kiwnął głową.

- Clay Court rzeczywiście jest częścią posagu Anny Claire. Podpiszę formalny akt zrzeczenia się w dniu zaręczyn mej córki.

- Na ten dzień nie musimy czekać. Już dzisiaj, jako twoja "królowa, oficjalnie ogłaszam zaręczyny lady Anny Claire Thompson z lordem Lynleyem Dunstanem.

- Z lordem Dunstanem? - wykrzyknął Rory, nie wierząc

własnym uszom. Oburzenie i zaskoczenie pozbawiły go jasności myślenia. - Och, gdybym miał przy sobie mój miecz.

Innis, biorąc przykład z Rory'ego, mruknął:

- Gdybym miał przy sobie swój nóż.

Twarz Conora miała barwę popiołu. Wyszeptał:

- Brakuje mi słów.

Anna Claire była załamana. Coś dziwnego działo się w jej duszy. Czuła, że jeśli natychmiast nie weźmie się w garść, niechybnie oszaleje.

Na widok jej przerażenia, Elżbieta sucho dodała:

- Myślałam, że wiesz. Dunstan prosił o twoją rękę. A ja wyraziłam zgodę.

- Ale ja... - Nie mogła nic więcej powiedzieć. Zdobyła się jeszcze tylko na jedno słowo: - Myślałam...

- Wiem, co myślałaś - rzekła Elżbieta kategorycznym tonem. - Ale chyba uświadomiłam ci już, że pozostaje to poza wszelkim prawdopodobieństwem. Zrobiłam i tak dużo, ratując Czarnego O'Neila od szubienicy. W zamian za tę przysługę będziesz posłuszna woli królowej. Czy wszystko jasne?

Anna Claire czuła, jak jej oczy napełniają się łzami. Zamrugała szybko, by ukryć ból i rozpacz. Ugryzła się w dolną wargę, aż poczuła smak krwi. Tym razem nie było takiego słowa, które mogłoby jej przynieść ocalenie. Musiała zapłacić cenę za życie i wolność Rory'ego. Wyszeptała:

- Tak, miłościwa pani.

- Dobrze. Teraz ty i Dunstan pójdziecie ze mną. Musimy omówić pewne rzeczy. - Przeniosła wzrok na Conora. - Ty, kawalerze, i twój brat wyjedziecie o świcie.

Conor nawet nie spojrział na Rory'ego, obawiając się tego, co mógłby wyczytać z jego oczu.

- Uczynimy zgodnie z wolą Waszej królewskiej mości.

Mężczyźni złożyli przepisowy ukłon, po czym patrzyli, jak Anna Claire, Dunstan i królowa opuszczają komnatę.

W drzwiach Anna Claire odwróciła się, po raz ostatni obejmując spojrzeniem Rory'ego i Innisa. Lecz Dunstan zacisnął dłoń na jej nadgarstku i pociągnął za sobą.

Przez dłuższą chwilę nikt nic nie powiedział. Nikt też się nie poruszył.

Nagle Rory zaklął. Głośno. Soczyście. A potem grzotnął pięścią w ścianę z taką siłą, że stojące na kominku świece spadły na podłogę.

Czuł straszny ból gdzieś w okolicy serca.

Po dwóch latach trudów i cierpień zatriumfował wreszcie nad swym śmiertelnym wrogiem. Zdobył wolność, również wolność od koszmarów przeszłości. Myślał, że w takiej chwili wszystkie jego marzenia zostaną ostatecznie spełnione. Tymczasem nie czuł smaku zwycięstwa, jedynie gorzyc porażki.

W ciągu jednej strasznej chwili stracił wszystko, na czym mu naprawdę zależało. Ból, jaki czuł, był prawie nie do zniesienia. Najchętniej wyłby niczym dziki zwierz.

## EPILOG

Moira i Gavin siedzieli już w powozie. Wciąż jeszcze trwała wiosna, lecz lato ostatnio często zapowiadało swoje nadejście wyjątkowo ciepłymi dniami. Ten dzień był przepiękny. Ciepły i rześki zarazem.

- Briana, gdzie jest Rory? - spytała matka.

- W swoim pokoju - odparła dziewczyna, zajmując miejsce przy rodzicach. - I jak zawsze, gryzie się i smuci.

Moira rzuciła na męża niespokojne spojrzenie.

Gavin wzruszył ramionami.

- Widocznie ten Londyn nie przypadł mu do smaku.

Moira westchnęła.

- Wie, że wybieramy się do miasta?

- Tak, ale kazał nam jechać bez siebie.

- Dzisiaj Velia wychodzi za mąż. - Moira spojrzała na młodszego syna. - Conor, porozmawiaj z bratem. Ty potrafisz przekonywać ludzi. Wyjaśnij mu, że swoją nieobecnością sprawi ból Velii.

- Mamo, przestań się do wszystkiego wtrącać. - Conor dosiadł wspaniałego karego ogiera. - Ostatnim miejscem, w którym chciałby być Rory, jest właśnie izba weselna. Ruszajmy, bo inaczej spóźnimy się na ślub.

- Musimy jeszcze poczekać na Innisa.

- Innis również zostaje. - Briana starannie umieściła

w kącie siedzenia koszyczek z różnymi płatkami, które jako druhna miała sypać po skończonej ceremonii na głowy nowożeńców. - Znów włączy się gdzieś po polach. Robi to każdego dnia. Zachodzi do miejsca, gdzie oni wszyscy zginęli, i oddaje się smutnym rozpamiętywaniom. Przyznał mi się, że tęskni za Angielką, którą wybrał na swoją matkę. Teraz jest tak, jakby po raz drugi stracił najbliższą, najbardziej kochaną osobę.

Moira westchnęła i powóz ruszył. Zawsze pragnęła mieć przy sobie wszystkie swoje dzieci. Ale teraz, gdy jej modlitwy zostały wreszcie wysłuchane, czuła jeszcze większy niepokój i lęk niż wówczas, gdy Rory i Conor byli daleko od Ballinarin.

Rory po przyjeździe od razu zamknął się w swoim pokoju niczym mnich w celi. Innis wydawał się bardziej milczący niż przed wyjazdem do Anglii. Spojrzała na jadącego konno tuż przy powozie młodszego syna. Wspaniałe się prezentował. Cóż z tego, kiedy niebawem miała go utracić. Wyruszał w podróż do Londynu, skąd mógł wrócić dopiero za kilka lat.

Była jeszcze Briana. Czuła się opuszczona, gdyż ostatnio bracia jak gdyby oddalili się od niej. Tak szybko dojrzewała. Zbyt szybko. I już nie spuszczała oczu na widok kawalerów z sąsiedztwa. Zmienił się też jej sposób chodzenia. Widać było, że jest świadoma swojej urody i kobiecości.

Moirę przeszedł dreszcz. Jakby nagle słońce schowało się za chmury i powiało północnym chłodem. Czyżby wszystko miało być w jej życiu nie tak, jak to sobie wymarzyła?

Rory stał w oknie i spoglądał w dół na dziedziniec, gdy powóz odjeżdżał. Wiedział, że Velia wychodzi dziś za męża. Dla niego jednak była to uroczystość zbyt bolesna, by mógł w niej uczestniczyć.

Jak wytrzyma te dni, tygodnie, miesiące i lata bez swojej Anny Claire? Już raz pozbawiono go szczęścia i jakoś zdołał to przeżyć. Ale wtedy miał swoją misję. Poszukiwanie i zemsta nadały sens jego życiu. Dziś z przerażeniem patrzył w przyszłość. Żył, ale przypominało to raczej vegetację. Rankami nie chciało mu się nawet wstawać z łóżka i ubierać. Przejechał dłonią po zarośniętym policzku. Niebawem może nawet przestanie przyjmować pokarmy. Każdemu bowiem działaniu człowieka winien przyświecać jakiś cel. Tymczasem jego życie stało się puste i bez znaczenia.

Wiedział, że pewnym ratunkiem byłby wyjazd. Myśl ta nęciła go i kusiła. Ale była przecież nierealna. I tak już zbyt długo przebywał poza rodzinnym domem. Conor wybierał się do Anglii, rodzice nie młodnieli. On, Rory, musi zostać i wziąć się do pracy.

A więc zostanie. I będzie widział ją każdego dnia. W ogrodzie. W pokojach tego domu. I będzie tęsknił za nią. Każdego dnia swego nieudanego, straconego życia.

Wyszedł na korytarz i ruszył w kierunku pokoju, który zajmowała podczas swojego tu pobytu. Do dzisiaj nie zachodził tam. Byłoby to zbyt bolesne. Wszedł i spojrzął na łóżko. To w nim się kochali, śmiali i droczyli ze sobą.

Wziął poduszkę i zanurzył w niej twarz. Poszukiwał zapachu, jej zapachu, i odnalazł go. Przez jakiś czas rozkoszował się nim niczym wonią maciejki i kapryfolium.

Było to wszakże czyste szaleństwo. Odrzucił poduszkę. Mu-

si wziąć się w garść. Po co się tak zadrecza? Po co wyobrażał sobie, że słyszy jej kroki? Że widzi ją w jej cielesnej postaci?

Zląkł się i przetarł oczy. Postać nie zniknęła. Stała w drzwiach i uśmiechała się.

- Przeszukałam cały dom. Nie znalazłam nikogo. Dokąd wszyscy wyjechali?

Bał się ruszyć. Zjawa mogła w każdej chwili zniknąć. Okrywał ją podróżny płaszcz z kapturem. Miała rumieńce na policzkach, a rumieńce oznaczały ciepło życia.

~ Czy stoisz tam naprawdę? Czy tylko widzę cię oczyma duszy?

- Jestem tu, Rory. I nie jest to sen.

- Ale to nie może być. Słyszałem, jak królowa kazała ci poślubić Dunstana.

- I tym samym dała mi sposobność przekonania jej, że nie jest to trama decyzja.

Dał krok do przodu i zatrzymał się. Powoli ogarniało go szaleństwo. Ale tym razem było to szaleństwo radości. Ona tu była i mówiła doń.

- A może znowu coś komuś ukradłaś?

Zsunęła z głowy kaptur, pozwalając złocistym włosom spływać kaskadą na ramiona.

- Dręczyły mnie wyrzuty sumienia z powodu tamtej kradzieży. Toteż zwróciłam handlarzowi jego wóz z sowitym naddatkiem. Powiedział mi, że mogę okradać go, kiedy tylko zechcę.

Roześmiał się.

- Więc co zrobiłaś, by przekonać królową?

- Gdy prośby, łzy i błagania nie zmiękczyły jej serca, uciekłam się do kłamstwa.

- Kłamstwa, powiadasz? - Dał jeszcze jeden krok i jeszcze jeden. Był już tak blisko niej, że mógł jej dotknąć. Lecz ciągle brakło mu śmiałości. - Było to wielkie kłamstwo?

Kiwnęła głową.

- Więszego być już nie może. Powiedziałam, że noszę w łonie twoje dziecko.

Tym razem zrobił krok do tyłu.

- Moje dziecko?... I nosisz je?

Zaprzeczyła z uśmiechem.

Nie, wiedział, czy ma śmiać się, czy płakać. Nagle wraz z Anną Claire pojawiła się nadzieja na nowe wspaniałe życie.

- Królowa, myślę, nie uwierzyła mi. Mogła kazać mnie przebadać medykowi. Była jednak już zmęczona tą walką. Postanowiła zatem zwolnić mnie z obietnicy, jeżeli Dunstan wyrazi zgodę.

- I jak on się zachował?

- Nie czynił większych trudności. Nie kocha mnie, widział we mnie raczej środek prowadzący do celu. W końcu zadowolił się moim domem w Dublinie.

- Oddałeś mu dom swojej matki? - Rory sądził, że się przesłyszał.

- Tak.

- Ale przecież to twoje gniazdo rodzinne. Należał do twoich przodków. Kochałeś go.

- To prawda. Lecz od pewnego czasu bardziej kocham Ballinarin. I twoją rodzinę. I Innisa. Mam nadzieję, że ty i ja zastąpimy mu rodziców.

- Naprawdę kochasz ich wszystkich?

- Tak. Lecz jest to niczym w porównaniu z moją miłością do ciebie, Rory.



Wreszcie ośmielił się jej dotknąć. Przesunął dłonią po jej miękkich, ciepłych włosach.

- Powtórz to, moja cudna.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Kocham cię, Rory O'Neil. Ale uprzedzam. Jestem panną bez posagu. Mimo że ojciec z bólem serca przystał na moją decyzję, nie dał mi wiana. Mam tylko to, co na sobie. Nic więcej.

- To doprawdy niewiele. - Musnął wargami jej powieki.  
- Czy twoje oczy będą wpatrzone tylko we mnie?

- Tego możesz być pewien, kochany.

Powiódł opuszką palca po jej gorących wargach.

- Czy twoje usta będą tylko mnie całowały?

- Tego możesz być pewien, kochany.

- W takim razie mam *wszystko*, o czym *mógłbym* zamarzyć.

- Och, Rory. - Zarzuciła mu ręce na szyję i przyłgnęła doń całym ciałem. - Tak się bałam, że cię stracę. Że nie zastanę cię w Ballinarin. Wybacz też mi tamto kłamstwo.

Obsypał ją dzikimi pocałunkami.

- Kłamstwo, które niebawem stanie się prawdą.

- Mój ojciec zapowiedział się ze swoją tu wizytą za rok. Jakkolwiek puścił mnie niemal bez grosza, przyrzekł, że całą swoją fortunę zostawi naszym dzieciom. Mimo to wstyd mi, że przychodzę do ciebie niemal naga i bosa.

Potrząsnął nią jak niegrzeczną dziewczynką.

- Przyszłaś i tylko to się liczy. Znowu chce mi się żyć. Co zaś się tyczy twojej nagości... - Sięgnął ręką do guzików i sznurówek jej sukni.

- Czy nie powinniśmy poczekać? Czy nie wypadałoby najpierw powiadomić o wszystkim twoich...

- Tak, tak, powiadomimy ich. Za kilka godzin. Teraz jednak będziemy się kochać. - Wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. - Nie możesz dłużej żyć w grzechu. Musimy jak najszybciej przemienić twoje kłamstwo w prawdę.

Jej śmiech przypominał srebrne dzwoneczki.

- Och, Rory O'Neil. Ty mój czarny, kochany diable.

- Złocista moja. Zaraz ci pokażę, jak kochają takie czarne irlandzkie stwory.